



M A R K

E D W A R D S

GŁUSZA

WYPOCZYNEK Z DAŁA OD CYWILIZACJI
ZMIENI SIĘ W WAKACYJNY KOSZMAR

Niesamowicie klimatyczny thriller z atmosferą tak gęstą, że można ją kroić nożem. Jeśli macie ochotę wraz z Tomem i Frankie spędzić najstraszniejsze wakacje w życiu – ta książka jest właśnie dla Was.

Marta Sarnecka

[instagram.com/bookholiczka_poleca](https://www.instagram.com/bookholiczka_poleca)

Gęsta, złowieszczą atmosfera, paranormalne zjawiska i fabuła przywodząca na myśl horrory schyłku ubiegłego wieku. Głusza to thriller w starym dobrym stylu. Odrobina Kinga, szczypta Mastertona, okraszona tak typowym dla współczesnych przedstawicieli gatunku, psychologicznym sznytem. To pozycja, która nie zawiedzie miłośników powieści grozy.

Małgorzata Tinc

[ladymargot.pl](https://www.ladymargot.pl)

Ten thriller to pułapka zarówno dla czytelników, jak i jego bohaterów. Ośrodek wczasowy z mrocznym wątkiem w swojej historii? To nie wróży nic dobrego! Mnóstwo niepokoju, suspensu i zaskoczeń. To trzeba przeczytać!

Paula Sieczko

[instagram.com/ruderecenzuje](https://www.instagram.com/ruderecenzuje)

Założę się, że po pobycie w Płytkich Zdrojach nie wystawilibyście ośrodkowi pozytywnej oceny na którymś z popularnych portali turystycznych. Samej Głuszy należy się natomiast najwyższa nota! To powieść, która zabierze Was w mroczną, ale też niepozbawioną humoru podróż w głąb posępnego lasu, który skrywa wiele tajemnic. Odważycie się je odkryć?

Joanna Wójciak

[instagram.com/zupa.czyta](https://www.instagram.com/zupa.czyta)

Wstrząsająco dobra historia. W tej fabule odnajdziesz wszystko to, co zawsze Cię przerażało. Mroczne postaci, obezwładniający strach, tajemnicze wspomnienia i wydarzenia mrożące krew w żyłach... Pochłonie Cię bez reszty. Gorąco polecam!

Natalia Miśkowiec

[instagram.com/prostymislowami](https://www.instagram.com/prostymislowami)

Myślę, że sam Stephen King nie powstydziliby się takiej książki. Głusza mrozi krew w żyłach od pierwszych stron, a z biegiem wydarzeń niepokój tylko narasta, nie dając

czytelnikowi ani chwili na złapanie oddechu. Powieść grozy i thriller psychologiczny w jednym. Mistrzostwo.

Tomasz Maj

[instagram.com/tomekandbooks](https://www.instagram.com/tomekandbooks)

Idealnie dopracowany, mroczny thriller, który niejednokrotnie przyprawił mnie o dreszcze. Całą lekturę czułam się tak, jakbym była w środku niepokojącej głuszy razem z bohaterami. Jedno jest pewne – w najbliższym czasie nie wybiorę się do lasu...

Pamela Olejniczak

[instagram.com/polish.bookstore](https://www.instagram.com/polish.bookstore)

Zakończenie tej historii wbiło mnie w fotel i wywołało ciary na całym ciele. Mroczna, klimatyczna i intrygująca już od pierwszej strony. Absolutnie nieodkładalna. Polecam!

Joanna Ćwiertka

[instagram.com/panda_zksiazka_](https://www.instagram.com/panda_zksiazka_)

Sięgając po thriller, oczekuję napięcia, manipulacji i wielu znaków zapytania. Głusza dała mi dużo więcej. Od gęsiej skórki na rękach, po strach przed wejściem do lasu. Jestem pewna, że tak jak u mnie, również i u Was, ta książka wywoła mnóstwo emocji.

Anna Linka

[instagram.com/zlakarma](https://www.instagram.com/zlakarma)

Zwyczajny wyjazd, chęć odpoczynku od zgiełku i codziennych spraw. Czy taki obraz może przekształcić się w prawdziwy koszmar? Polecam z całego, zakochanego w mroku, serca.

Marta Dobrzyńska

[instagram.com/misera_ble](https://www.instagram.com/misera_ble)

M A R K
E D W A R D S
G Ł U S Z A

przełożyła
Agata Suchocka



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: ***The Hollows***

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redakcja: *Malwina Kozłowska*

Redaktor prowadzący: *Mariola Hajnus*

Redakcja techniczna: *Grzegorz Włodek/MAGiK*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lilianna Mieszczkańska, Monika Łobodzińska-Pietruś*

Fotografia wykorzystana na okładce © Jr Korpa/Unsplash

Niniejsza powieść jest fikcją. Wszystkie nazwy, imiona i nazwiska, miejsca i organizacje są wytworem wyobraźni autora lub użyte zostały w kontekście fikcyjnym. Podobieństwo do osób żyjących bądź zmarłych oraz autentycznych wydarzeń jest czysto przypadkowe.

Text copyright © 2021 by Mark Edwards. All rights reserved.

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2022

© for the Polish translation by Agata Suchocka

ISBN 978-83-287-2200-2

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2022

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46

ROZDZIAŁ 47

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

EPILOG

POSŁOWIE

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

SOBOTA

WITAMY W PŁYTKICH ZDROJACH.

Do znaku ustawionego tuż przy wjeździe do kurorciku przywiązano kilka balonów wypełnionych helem. Obijały się o siebie obojętnie, poruszane lekką bryzą, jakby zamierzały się uwolnić i odlecieć w siną dań, hen, ponad wierzchołki drzew, ale nie mogły się zebrać w sobie, żeby to uczynić.

Obok budynku recepcji widniał kolejny znak, informujący o tym, że trwa właśnie TYDZIEŃ OTWARCIA. Zaparkowałem nieopodal i wszedłem do środka, by odebrać nasze klucze. Za ladą stały dwie osoby: wielki facet i chuda kobieta. Mężczyzna, na oko trzydziestopięcioletni, skinął na mnie. Miał na sobie czerwoną koszulkę polo, która opinała się na jego potężnym ciele, a guzik pod szyją wyglądał tak, jakby miał lada moment wystrzelić komuś w oko. Spojrzałem na plakietkę, która informowała, że nazywa się Greg Quinn i jest tu kierownikiem.

Wręczyłem mu paszport i patrzyłem, jak wstukuje moje dane do komputera paluchami grubymi jak serdelki.

– Aż z Anglii pan do nas przyjechał? – zapytał, oddając mi dokument tożsamości.

Ten przyjazd wynikał z wielu zapętlnionych ze sobą czynników, ale odpowiedziałem po prostu „tak”, bo to było łatwiejsze niż wyjaśnianie.

– Hej, Vivian, słyszałaś? Pan Anderson przybył aż z Wysp Brytyjskich!

Vivian, siwowłosa kobieta, roztaczająca wokół siebie aurę osoby, z którą lepiej nie zadzierać, mruknęła coś w stylu: „To pewnie jeden z tych”, co nie miało dla mnie większego sensu. Jeden z „czych”? Pewnie się przesłyszałem.

Greg wręczył mi klucze i paczkę powitalnych gadżetów.

– Pierwszy raz w Maine? – zapytał kurtuazyjnie.

– Owszem.

– No to czujemy się połączani! – Wyciągnął dłoń i uściśnął moją zbyt mocno. – Jeśli będziecie czegoś potrzebować, czegokolwiek, bez wahania uderzajcie do mnie albo do Vivian.

Kobieta, jakby dla potwierdzenia, mruknęła coś w stylu: „Raczej do niego”.

Kilka minut później, odtwarzając sobie w głowie dla beki szopkę z udziałem Grega i Vivian, parkowałem wynajętym wozem przed chatką z numerem czternastym, która znajdowała się na samym końcu. Nowiutka, jak zresztą wszystkie pozostałe, stała sobie pośród drzew, łypiąc na nas czystymi szybami, które połyskiwały w słońcu. To był nasz dom na kolejne dziesięć nocy.

Spojrzałem przez ramię. Frankie, moja czternastoletnia córka, wciąż drzemała, więc wysiadłem z auta i postanowiłem się rozejrzeć, zanim ją obudzę. Wciągnąłem powietrze głęboko do płuc. Było tak świeże, że natychmiast pomyślałem o zimnym piwie pod koniec ciężkiego dnia pełnego niewdzięcznych zadań – takie to było uczucie. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio tak głęboko oddychałem, pewnie minęło kilka miesięcy. Chciałem, by córka też to poczuła, więc popukałem delikatnie w szybę.

Ocknęła się dopiero, gdy otworzyłem drzwiczki. Zamrugła zdezorientowana i odgarnęła zabłąkany kosmyk włosów, który przyłgnał jej do czoła.

– Jesteśmy?

– Jesteśmy! – Zadzwoniłem kluczami. – Lecisz zobaczyć do środka?

Zmrużyła oczy, patrząc na domek.

– No chyba...

W środku było idealnie. Dwie sypialenki i wspólny pokój z telewizorem, odtwarzaczem DVD i strefą kuchenną, do tego spora łazienka i druga malutka, przy moim pokoju. Taras z grillem i dużym stołem, więc mogliśmy jeść na zewnątrz. Łóżka okazały się szerokie i wygodne. Spory domek, ale pewnie nocą, w takim otoczeniu, będzie wydawał się przytulny. Sprawdziłem na mapie: lasy faktycznie okalały ośrodek wypoczynkowy ze wszystkich stron. Tylne ściany budynku prawie opierała się o gigantyczne pnie. Przepiękne miejsce.

Nawet Frankie była pod wrażeniem.

– Ale mam wielki pokój! – powiedziała, wkraczając do kuchni, gdzie rozkminiałem działanie ekspresu.

Trzymała w dłoni drogą butelkę na wodę, jakby to była jakaś maskotka. Zaczęła napełniać ją wodą z kranu czy też „z wodotrysku”, jak ostatnio mawiała.

– Fajnie, że ci się podoba – zauważyłem. – Powiedziałaabyś, że tu jest w dechę?

– Tato! – Zmarszczyła się ze wstrętem. – Jesteś taki...

– W dechę?

Wydała z siebie niezrozumiały gulgot i po raz kolejny obiecałem sobie, że przestanę być „po amerykańsku” wyluzowany, by jej nie drażnić. Trochę ciężko mi było się pozbierać po tym, gdy odebrałem ją z nowego domu w Albany. Spodziewałem się małej dziewczynki, mojej córki, a z wnętrza wyłoniła się kobietka. Piękna młoda kobieta o wspaniałych ciemnych włosach, po matce, i z piegami na nosie. Po mnie dostała orzechowe oczy, wzrost i przerwę między jedynekami. Nie widziałem jej od roku i żadne zdjęcia na Instagramie czy Facebooku nie przygotowały mnie na taką zmianę.

– Możemy zaraz pójść nad jezioro – rzuciłem. – Może zapiszemy się na jakieś rozrywki? Myślałem o łucznictwie. Wspominałem ci, że dziadek był mistrzem w tej dyscyplinie? Może odziedziczyłaś...

– Tato, wyluzuj, dobra? Dopiero przyjechaliśmy!

Snuła się po domu, strzelając fotki przestarzałym iPhone’em, który dostała od matki, robiąc głupie miny i rozkładając palce w znak zwycięstwa. Patrzyłem, jak stuka w ekran. Pewnie wybierała najbardziej udane, dodawała jakieś filtry, pucowała rzeczywistość na potrzeby mediów społecznościowych.

Nagle znowu się zmarszczyła.

– Nie widzę dostępnej sieci Wi-Fi...

– Pewnie dlatego, że żadnej tu nie ma.

Spojrzała na mnie tak, jakbym właśnie jej oznajmił, że na kolację musimy sobie zarzącać małego prosiaczka.

– Mówiłem ci, gdy rezerwowaliśmy domek.

– Wcale nie mówiłeś!

– Mówiłem, jestem prawie pewien!

– Co za... W ogóle nie ma tu Internetu, nawet 4G nie działa! – Jej głos brzmiał coraz bardziej histerycznie. – Masz zasięg?

Sprawdziłem. Nic.

– Frankie, przecież o to właśnie chodzi w tym wyjeździe. Żeby się odciąć. Uciec od wszystkiego. Bez fejbuków. Bez jutubów. Bez wiadomości. Półtora tygodnia bez ekranów. Tylko ty i ja.

Dobra, przyznaję, że nawet dla mnie to było wyzwanie. Dziesięć dni bez Twittera i sprawdzania maili? Przemyślałem to jednak i ostatecznie stwierdziłem, że to będzie frajda.

– No przestań... – rzekłem przymilnie. – Prawie się nie widzujemy. – Już miałem walnąć przemowę o tym, jak to świetnie będziemy się bawić, zamiast gapić w telefony, ale się powstrzymałem. Kiepsko by to wyszło. – Tutaj naprawdę jest co robić – rzuciłem krótko, chcąc zwrócić jej uwagę na pozytywy.

– Co na przykład? – zapytała, trzymając kurczowo telefon, jakby miał wyfrunąć jej z dłoni.

– Możemy wyjść w głąszę! – No właśnie, postrzelać z łuku albo popływać puchówką po jeziorze. – Dobrze nam to zrobi. Może zaczniesz pisać pamiętnik? Poczytasz coś fajnego. A tam na stoliku widziałem chyba krzyżówki.

– Krzyżówki? – Tak, zabić prosiaczka, a z jego flaczków wydziergać kocyk do przykrycia się w nocy... – A jeśli zdarzy się coś złego? Albo będę chciała pogadać z mamą?

– Pewnie jest tu jakaś budka w pobliżu...

Teraz to już kompletnie się zawiesiła.

– No wiesz, taka z telefonem na monety...

Popatrzyła na mnie tak, jakbym palnął jakąś kompletną durnotę.

– Będzie super, obiecuję!

Nagle przypomniałem sobie dziadków, którzy wspominali, jak to drzewiej bywało, używając frazesów w stylu: „Tylko nudnym ludziom się nudzi!”, po czym podniecali się, wspominając gry zręcznościowe, które wymyślali, mając do dyspozycji wyłącznie puszki po konserwach i patyki.

Chyba parsknąłem śmiechem.

– I co niby jest takie zabawne? – zapytała sfochowana Frankie.

– Nic, nic... A może pójdziemy na szaber? Po jakieś jabłuszka?

Rzuciła mi pełne pogardy spojrzenie, jedno z tych, w jakich specjalizują się czternastolatki, po czym demonstracyjnie zatrzasnęła za sobą drzwi do swojego pokoju. Powściągnąłem irytację. Byliśmy na wakacjach, razem, więc musieliśmy zachowywać się jak dorośli, w końcu była prawie dorosła, choć ja nie dopuszczałem do siebie tej świadomości.

Wyszedłem do samochodu, wciąż wmawiając sobie, że brak Internetu to dobra rzecz, i wyciągnąłem z kufra walizki.

– Cześć.

Uniosłem gwałtownie głowę.

Jakieś pięć metrów ode mnie, tuż przy linii drzew, stał mężczyzna. Podobnie jak ja dobiegał pięćdziesiątki; miał na sobie szorty i T-shirt z wypłowiałym logo Guns N' Roses, na głowie baseballówkę, a na nogach czarne trampki.

Podszedł bliżej, szczerząc się w uśmiechu.

– David Butler – przedstawił się, podając mi rękę, a drugą wskazując na ścieżkę. – Zajmujemy następną chatkę, dwunastkę. Trzynastki nie ma, bo po tym, co tu się wydarzyło, zdecydowali, że więcej pecha nie trzeba.

– Tom Anderson – odrzekłem i szybko zapytałem: – A co tu się wydarzyło?

Nie odpowiedział.

– Angol, co? Naprawdę przyleciałeś taki kawał, żeby spędzić tu wczasy? – W jego głosie pobrzmiwało uznanie.

Zauważyłem tatuaż, jakiś krzywy krzyż obwiedziony kołem, nad łokciem. Ten znaczek wyglądał znajomo.

– To skomplikowane...

– Co ty nie powiesz?

Przecież to obcy facet, nie musiałem mu niczego wyjaśniać. Ale skoro i tak wszyscy będą o to pytać, to może lepiej po prostu im powiedzieć.

– Jestem tu z nastoletnią córką, Frankie. Młoda mieszka z mamą w Albany, rozwiedliśmy się. Wpadam raz do roku, latem. Ostatnio zabrałem córkę do Nowego Jorku, ale było tak gorąco, że w życiu bym tego nie powtórzył.

– No i mądrze.

– No właśnie, też tak uważam. Ale moja córka ma, zdaje się, na ten temat inne zdanie.

– Niech zgadnę, wkurzyła się za brak Internetu? Uznała to za znęcanie się nad nieletnią? Mój syn zareagował dokładnie tak samo.

– Ile ma lat?

– Właśnie skończył piętnaście. – David zdjął czapeczkę z logo Gigantów i podrapał się po głowie w miejscu, w którym sterczały mu włosy. – Usiłuję sobie przypomnieć, czy byłem równie jęczący w jego wieku. Pewnie tak. Connie, moja żona, twierdzi, że na pewno. – Na jej wspomnienie chyba przypomniał sobie o czymś ważnym, bo dodał: – Muszę spadać.

– Miło było poznać.

Przeszedł ze dwa kroki, po czym odwrócił się jeszcze na chwilę.

– Wiesz co, skoro będziemy sąsiadami, to może się lepiej poznamy? Może wpadniecie później? Mam świetne steki na grilla i całą lodówkę piwka. Wino też się znajdzie.

– Ciężko będzie... Jestem wykończony. Przyleciałem z Londynu przedwczoraj i nie spałem chyba od... – Policzyłem w myślach. – Od doby?

– Trzeba nie spać, ile się da, przyzwyczać się do nowej strefy czasowej.

– No i jesteśmy wegetarianami.

– Nie ma sprawy, znajdą się i warzywka. – Odszedł, zanim zdążyłem zaprotestować, i rzucił jeszcze przez ramię: – To do zobaczenia o siódmej!

Wróciłem do domku. Frankie nie wyszła z pokoju, pewnie się rozpakowywała. Chciałem zapukać, ale się powstrzymałem. Przypomniał mi się David krytykujący swojego syna za „jęczenie”. Przecież nie chciałem być takim rodzicem. Nie mogłem pozwalać sobie na takie zachowanie, gdy na co dzień córkę dzieliły ode mnie tysiące mil.



Frankie pomarudziła, ale zgodziła się pójść ze mną, twierdząc, że i tak nie ma tu nic innego do roboty. No i nie zdążyliśmy kupić nic do jedzenia.

– Powinienem był omówić z tobą ten brak Internetu, przepraszam.

Odburknęła coś, ale widziałem, że poczuła się doceniona.

David stał już na tarasie przepasany fartuchem i dźgał szczypcami mięso na grillu. Powitał nas wylewnie, po czym wrzasnął:

– Hej, Connie!

Pojawiła się jego żona. Miała długie, ciemne włosy i uderzająco niebieskie oczy. Podpierała się laską.

– Cierpię na artretyzm – wyjaśniła, widząc, że oboje się gapimy. – Straszne gówno. Ale przynajmniej mogę zawsze nosić przy sobie tę śmiercionośną broń!

– To na mnie, gdy się nie zachowuję – rzucił David, posyłając jej pełne uwielbienia spojrzenie, które odwzajemniła. Było widać, że daliby się za siebie pokroić, niektóre pary już tak mają. – Tom, przypilnujesz chwilę mięsa, a ja skoczę po drinki?

Stałem przy grillu, a on zniknął na kilka minut, by pojawić się z przenośną lodówką wyładowaną piwem i winem.

– To Ryan – przedstawił towarzyszącego mu nastolatka.

Zauważyłem nagłą zmianę w zachowaniu Frankie; jeszcze przed chwilą ryła w ziemi czubkiem buta, odczuwając boleśnie skutki odstawienia TikToka, a teraz nagle się wyprostowała i stała czujna jak łania.

Nic dziwnego, bo Ryan był przystojniakiem. Po matce odziedziczył ciemne włosy, a kośćmi policzkowymi mógłby ciąć papier. Przypominał mi któregoś młodego gwiazdora z serialu *Riverdale*, który uwielbiała Frankie. Kiedyś, przynajmniej. Gdy wcześniej w aucie zapytałem o jej dawną idolkę, Taylor Swift, tylko przewróciła oczami, więc może nie byłem na bieżąco.

– Cześć – rzuciła Frankie, nie patrząc na niego.

Poczułem w sobie zew zaborczego tatuśka, który każdemu chciał własnym ciałem zagrozić drogę do córki, ale to byłby przecież kolejny rodzicielski błąd. Może przy nim Frankie przestanie się tak garbić.

– Czego się napijecie, dzieciaki? Cola? Sprite? Coś innego? – David zanurkował w lodówce.

Młodzi wzięli po dietetycznej coli i dosłyszałem, jak Ryan zagaduje moją córkę:

– Właśnie miałem iść obczaić jezioro.

Spojrzała na mnie jakby błagalnie i musiałem skinąć przyzwalająco, w końcu nie była już dzieckiem.

– Letnia miłostka, co? – rzucił David, gdy się oddalili i już nas nie słyszeli, a ja odruchowo się wzdrygnąłem. – Hej, wyluzuj! – zaśmiał się. – Nie wiem, jak to jest mieć córkę, ale Ryan to dobry dzieciak.

– Wpoiłam mu szacunek do kobiet – dodała Connie. – Przecież to nie seryjny morderca.

Teraz zaśmiali się oboje.

– Connie by się domyśliła, zna się na tym – wyjaśnił David.

– Na nastolatkach?

Znowu śmiech.

– Nikt nie jest ekspertem od nastolatków. Connie zna się na seryjnych mordercach.

– Serio?

– No. Zapytaj o któregoś. Ted Bundy. Richard Ramirez. Zodiak. – Wskazał na swój tatuaż i teraz go rozpoznałem. Był to symbol, który Zodiak wysłał policji. – To hołd dla ofiar. Przypomina mi, że nigdy go nie złapano. – Wydało mi się to dziwne, ale David nie dał sobie przerwać. – Wy tam, za wodą, mieliście paru niezłych świrów. Ten doktorek, Harold Shipman. I ten koleś, co trzymał zwłoki w swoim mieszkaniu. Dennis Nilsen.

– Czytałam świetną książkę o Żmii z Shropshire – wtrąciła Connie. – I jeszcze Lucy Newton, Mroczny Anioł. Ta była ekstra!

„Ekstra?” – pomyślałem.

– Nie chodzi tylko o morderców – ciągnęła Connie, sadowiąc się na krześle i nalewając sobie wina do kieliszka. – Kręci mnie wszystko, co dotyczy prawdziwych zbrodni.

– Nas oboje kręci – uzupełnił David. – Dlatego tu jesteśmy. – Zatoczył krąg ręką.

– Ale co to ma do rzeczy? – zapytałem i od razu poczułem, że chyba nie chcę znać odpowiedzi.

Wyglądali na zbitych z tropu.

– Czekaj, ty nie wiesz, co to za miejsce? Nie widziałeś reklam?

– Jakich reklam? Wpisałem w wyszukiwarkę „chatki na wynajem w Maine” i to wyskoczyło najpierw.

Connie ledwie utrzymała wino w ustach.

– Serio? To przezabawne! Pewnie wszyscy pozostali, którzy się tu doturlali w weekend, znaleźli info na Węszycielu.

– Na wężycielu? A co to, do cholery, jest?

– Strona turystyczna na dark necie – powiedział David. – Nie no, nie wierzę... Nie masz pojęcia, co tu się stało?

– Nie.

– O w mordę! – David wręczył mi warzywny kotlet w bułce, migając tatuażem Zodiaka.

– No to teraz opowiemy ci o Zdrojowym Horrorze! – Connie, cała podniecona, odstawiła kieliszek i zaczęła mówić.

ROZDZIAŁ 2

Connie i David naprzemiennie opowiadali mi o wydarzeniach sprzed niemal dwudziestu lat, a ja czułem się tak, jakby ktoś dmuchał mi zimnym powietrzem w kark. Włosy stawały mi dęba.

– To się wydarzyło w lipcu dziewięćdziesiątego dziewiątego – podsumowała Connie. – Za chwilę będzie dwudziesta rocznica. Dokładniej dwudziestego szóstego.

– Kiedyś to było takie zwykłe pole kempingowe – wyjaśnił David. – Wiesz, polanka dla namiotów i kamperów. Żaden tam kurort, jak teraz, z wygodnymi domkami.

– Przyjeżdżały tu głównie szkolne wycieczki, a w czasie, o którym mówimy, była tu grupa ze szkoły średniej Wendta, z Portland.

– No i po tych wydarzeniach od razu zamknęli to miejsce.

– Ale co się dokładnie stało? – dopytałem, usiłując nie brzmieć desperacko.
– Czekać, na pewno to było w ciemną, burzową noc.

– Mam cię! Było ciepłutko, jak dzisiaj. Parka nastolatków, Jake Robineaux i Mary-Ellen Pearce, ustawiła się na spotkanko po zmroku, gdy wszyscy już spali. Mieli po jakieś czternaście lat, prawda, kochanie?

– Zgadza się! – Connie pokiwała głową. Byli w wieku Frankie! – Pięć lat temu Jake napisał o tym książkę i wydał ją własnym sumptem.

– *Noc w lesie*, taki jest tytuł – uzupełnił David, ocierając sos barbecue z ust. Siedział sobie wygodnie, jakby nigdy nic, kończąc drugą butelkę piwa. – Jake opisał, jak znalazł Mary-Ellen na polanie. Zamarła, mierząc w coś latarką.

– Ale w co? – zapytałem.

Żadne z nich nie odpowiedziało od razu. Zachowywali się jak zgrana kapela starych rockmanów, którzy doskonale wiedzą, jak sobie igrać z publicznością.

- Dwójkę swoich nauczycieli – powiedziała w końcu Connie.
- Erica Danielsa i Sally Fredericks – uzupełnił usłużnie David.
- Zamordowanych.
- Zatłuczonych!
- I do tego na golasa.

No i przez kolejne pół godziny Butlerowie ze szczegółami wyłuszczeni mi, co dokładnie się stało.

Eric Daniels uczył angielskiego, miał trzydzieści osiem lat, żonę i dwójkę dzieci. „Świetny facet” – tak mówili o nim wszyscy, którzy go znali. Fan baseballa, choć ciągle siedział w książkach. Lubił omawiać tło historyczne *Zabić drozda*, ale i majsterkować w domu. Taki pan idealny, zbyt idealny jak dla mnie.

Ale najwyraźniej ideałem nie był, skoro miał romans z koleżanką z pracy.

Sally Fredericks była nauczycielką geografii i to właśnie ona zorganizowała wycieczkę, co zresztą robiła co roku, odkąd zaczęła pracę w szkole imienia Wendta. Starsza od Danielsa o dwa lata, fanatyczka fitnessu rok przed śmiercią przebiegła nowojorski maraton. Była chuda jak typowy długodystansowiec. Gdy później szukałem jakichś zdjęć i opisów tamtych wydarzeń, na fotkach Sally nie była ani piękna, ani na pierwszy rzut oka specjalnie atrakcyjna. Miała jednak w sobie to coś. Ślad cynicznego uśmiechu na ustach, ogniki w oczach. Mówiono, że była bystra, wyluzowana i łagodna. Wszystkich, a przede wszystkim kolegów z pracy i jej męża Neala, zdruzgotała jej śmierć.

– Czyli co, wymknęli się do lasu na szybki numer? – zapytałem, zerkając na drzewa, które rosły tuż za chatką Butlerów.

– Taa jest! – potwierdził David. – Po prostu nadarzyła się świetna okazja. Piękna, ciepła noc, kto by chciał to przepuścić? Myśleli, że wszystkie dzieciaki już śpią. Pewnie uznali, że to będzie podniecające. Romantyczne.

– To było niedaleko. – Connie wskazała laską. – Kiedyś biegł tędy szlak, z polaną nieopodal. Idealne miejsce na bzykanko na łonie natury.

– Nie ma to jak obcowanie z naturą! – David mrugnął do żony, a ona się skrzywiła.

– Weź przestań, nie wyobrażaj sobie niczego, koleżko! Nie mam zamiaru wystawiać tyłka moskitom na pożarcie!

– Kto by się dziwił? Taki tyłek! – Pocałował ją. – Sam bym go chętnie dziabnął!

Walnęła go w pierś otwartą dłonią i przewróciła oczami.

– Ale jak dokładnie zginęli? – zapytałem, nie mogąc się nadziwić, jak Butlerowie z trybu *Strefa mroku* przeszli do flirtowania, jakby byli parą nastolatków na horrorze w kinie, a nie dorosłymi ludźmi wspominającymi realne morderstwo.

Znali szczegóły tak dobrze, jakby sami byli patologami, którzy badali ciała. Sprawdziłem to i wszystkie elementy się zgadzały. Zbyt łatwo wyobraziłem ich sobie w fartuchach i chirurgicznych maseczkach, dzierżących piły i skalpele i radośnie chlastających trupy pod pełgającymi mdło świetlówkami w kostnicy.

Eric otrzymał śmiertelny cios czymś ciężkim, prawdopodobnie sporym kamieniem. Zmarł od razu. Patolog zanotował, że uderzono go trzykrotnie w tył głowy, roztrzaskując czaszkę. Podejrzewano, że podczas seksu musiał być na górze i to jego zaatakowano najpierw. W takiej chwili nikt nie zauważyłby skradającego się w ciemności napastnika.

Sally została uduszona jakimś prowizorycznym narzędziem, chyba paskiem, który zaciskano stopniowo, aż zadławiła się na śmierć. Obrażenia dłoni wskazywały na to, że walczyła i usiłowała się oswobodzić, rozluźnić pasek.

Płyny ustrojowe w jej ciele należały do Erica. Nie miała obrażeń wskazujących na gwałt, choć otarcia na nadgarstkach sugerowały, że ktoś przycisnął ją do ziemi. Patolodzy odnotowali to jako uszkodzenia, które mogły powstać zarówno podczas seksu, jak i przy duszeniu. Może zabójca zamierzał ją wykorzystać, ale rozmyślił się lub nie był w stanie i po prostu ją udusił.

David i Connie opowiadali, a ja nie mogłem przestać się zastanawiać nad tym, co było w tej zbrodni takiego niezwykłego. Morderstwo jest okropne, to prawda, ale zdarza się, nawet podwójne.

Dlaczego akurat ta zbrodnia przyciągnęła tutaj miłośników mocnych wrażeń?

Już miałem zapytać, ale Connie mnie uprzedziła:

– I tutaj zaczyna się robić dziwnie. W centrum polany leżał wielki płaski kamień i na nim ułożono ciała, na waleta, głowy przy stopach.

– Co?

– No wiesz, jak na karcie do gry. Ale nie to jest najdziwniejsze.

– Na kamieniu wymalowano jakieś dziwne symbole – dodała Connie.

– Ich krwią. To znaczy Erica, bo Sally nie miała ran otwartych.

No tak, teraz zaczynałem rozumieć fascynację tych dziwaków.

– Ale co namalowano?

Oczy Davida rozszerzyły się z podniecenia.

– Rogatego boga!

– I potrójny wizerunek bogini! – dorzuciła Connie nieomal nabożnie, bez cienia uśmiechu na ustach.

Zamrugalem.

– To jakieś satanistyczne symbole?

– Raczej pogańskie. Chodziło o dwa podstawowe bóstwa wiccańskie.

– Rogacz reprezentuje męską siłę. – David zniżył głos do szeptu, jakby ktoś mógł go podsłuchać. Może drzewa. – To pan życia.

– I śmierci – uzupełniła Connie. – A bogini to symbol kobiecej boskości. Narysowano je dość niezdarnie, ale eksperci byli zgodni co do znaczenia.

– Czekał, pokażę ci! – dodał David.

Co, na miłość piekieł, zamierzał mi pokazać? Nie zdążyłem dopytać, bo zniknął w chatce i po chwili wrócił z kartką i długopisem. Narysował kółko i półksiężyc nad nim i faktycznie wyglądało to jak rogaty łeb.

– To jest rogaty bóg. A to potrójna bogini. – Narysował kolejne kółko z półksiężycami po obu stronach.

– To ma symbolizować księżyc? – zapytałem.

– Dobrze kminisz! – pochwalił mnie David. – Potrójna bogini to fazy księżycy, ale ten męski to po prostu koleś z rogami. – Zaśmiał się. – Ale racja, księżyc ma dla pogan ogromne znaczenie.

– A tamtej nocy był nów – powiedziała Connie.

– Więc to... – Zatrzymałem się, nie chcąc powiedzieć tego na głos. – Jakaś ofiara?

– Jest taka teoria. – Pokiwała głową.

Z nieba jakby odpływało światło, a przestrzenie między drzewami zaczynały gęstnieć od ciemności. Spojrzałem w górę, zastanawiając się, w jakiej fazie znajduje się teraz księżyc, ale nie było go jeszcze widać. Przed oczyma stał mi obraz nieruchomych ciał, białych i zimnych, połyskujących w nikłym świetle cienkiego sierpa na niebie. Wokół nich muchy, zwabione gęstą, lepłą krwią... No i proszę, w jednej chwili przeobraziłem się w mrocznego turystę! Zdało mi się, że wśród drzew dostrzegam żółtawe ślepie jakiegoś stwora, może bożka, i wstrząsnął mną dreszcz obrzydzenia i przerażenia.

– Gliniarze rozwiązali sprawę w ciągu kilku godzin. – Głos Connie sprowadził mnie do rzeczywistości.

– Facet nazywał się Everett Miller – dodał David.

– Tubylec?

– Tak, mieszkał w Penance.

To było miasteczko znajdujące się najbliżej Płytkich Zdrojów. Studiowałem mapę przed przylotem, szukając czegokolwiek, co byłoby warte zobaczenia w tej okolicy. W Penance mieszkało nieco ponad dwa tysiące ludzi, więc podejrzewałem, że w takiej dziurze nie ma nic do oglądania. Mieli tylko kilka barów, kościół Baptystów i parę sklepów. Nawet kina nie było.

– Everett Miller był lokalnym dziwakiem, wiesz, takim, z którego wszyscy się śmieją i poszeptują do siebie, mijając na ulicy – mówił dalej David.

– Nosił się zawsze na czarno i zapuścił długie pióra – uzupełniała skwapliwie Connie. – Do tego gotycki makijaż i kolczyki, gdzie tylko się dało.

– No i słuchał black metalu, co nietrudno zgadnąć, wiesz, tych wszystkich zespołów z Norwegii czy Finlandii. Faceci growlujący o szatanie, śmierci i pogańskich pierdołach. Jego ulubioną kapelą była Wolfspear, której wszystkie teksty traktowały o mordowaniu, krwawych ofiarach i paleniu kościołów. W ostatnim teledysku wokalista biegał po lesie w przebraniu rogatego boga w towarzystwie gołych lasek, które pomordował i dopiero potem je wyru... No wiesz, tylko dla pełnoletnich, horror jak się patrzy. U nas to było zakazane, ale Everett sprowadził sobie kasetę wideo z Norwegii. Nosił skórzaną kurtkę z logo kapeli wymalowanym na plecach.

– Policjanci stwierdzili, że najprawdopodobniej tego nie planował – przejęła opowieść Connie. – W każdym razie na pewno dobrze nie przemyślał.

Pewnie przyłapał ich podczas seksu i wpadł w jakiś trans. Mógł być naćpany. Wiesz, pomroczość jasna czy coś.

– Czekajcie, oskarżono go, bo słuchał norweskiego metalu, oglądał pogańskie teledyski i nosił skórzaną kurtkę? Czy to nie są same poszlaki?

– Są, ale znaleziono również coś niepodważalnego. – Connie spojrzała przez ramię i dostrzegłem, że patrzy na Frankie i Ryana idących ścieżką w dół zbocza. Świetnie się bawili, więc coś musiało zaiskrzyć.

– Everett zawsze nosił taką chustkę, no wiesz... – David zawiesił się na sekundę. – Bandanę? I zgadnij, czym wymalowano te symbole na skale? Tą szmatą właśnie, policja znalazła ją nieopodal, unurzaną we krwi Erica.

Słyszało się o zbrodniarzach, którzy wpadli przez własną głupotę, ale coś takiego?

– Czy Everett się przyznał?

Młodzi podeszli do nas, a na twarzy Frankie nie było śladu niedawnego focha.

– O czym gadacie? – zapytała z uśmiechem.

Ryan przewrócił oczami.

– Niech zgadnę. Zdrojowy Horrorek. Starzy mają hopla na tym punkcie.

– Nie mamy żadnego hopla, Ryan! – obruszył się David.

– Prawie mnie nabrałeś!

– Nie zapominaj, że zarobiliśmy na te wakacje na naszych audycjach!

– Nie da się o tym zapomnieć, bo głądziliście o tym przez całą drogę. – Mruknął coś niewyraźnie o odpryskaniu i zniknął w domku.

Teraz David mógł odpowiedzieć.

– No to co się stało z tym Everettem Millerem? – przycisnąłem go, rzucając Frankie znużone spojrzenie. Nie chciałem gadać przy niej o takich rzeczach. – Czy w Maine jest kara śmierci?

– Nie ma – odpowiedział David. – Ale to bez znaczenia, bo nigdy go nie złapano. Zniknął w noc morderstwa.

Connie pochyliła się w moją stronę.

– I od tamtej pory nikt go nie widział...!

ROZDZIAŁ 3

NIEDZIELA

Słoneczny blask przesączał się przez listowie, gdzieś zza drzew słychać było zwykłe, niewyraźne odgłosy żyjącego ośrodka wypoczynkowego, a Frankie i Ryan ruszali właśnie do miasteczka.

On to zaproponował. Zeszłego wieczora, nad jeziorem, narzekała na brak Internetu, więc chłopak zasugerował spacer do Penance przez las.

– Tam na pewno mają cztery G – stwierdził. – A nawet jeśli nie, to może zjemy coś w którejś z sieciówek, pączka albo kanapkę. W takich miejscach na pewno jest Wi-Fi.

– Co za okrucieństwo! – rzekła dziewczyna, licząc na to, że wyczuje ironię. – Oczekiwać, że możemy egzystować bez Internetu!

Wbrew temu, co powiedziała ojcu, aż tak bardzo jej ten brak Internetu nie martwił. Odpocznie przynajmniej od dram, które Abby i Sienna urządzają na WhatsAppie; w końcu tam nie dzieje się nic takiego, w czym nie zorientowałyby się w ciągu chwili po powrocie.

No i powód, który nadał sens temu wypadowi, szedł właśnie koło niej, miał piętnaście lat, metr osiemdziesiąt wzrostu i był wyrzeźbiony jak greckie bóstwo. Przypominał nieco Harry’ego Stylesa. O, i tu by się przydał Internet, żeby pochwalić się koleżankom jego zdjęciem. Chybaby zwariowały!

Zerkała na niego ukradkiem, zastanawiając się, czy ona również mu się podoba. Najwyraźniej lubił jej towarzystwo, ale nie wyczuwała żadnych wibracji w stylu „leczę na Ciebie!”. Nawet nie opowiadał sprośnych żarcików. Zachowywał się jak jakiś cholerny dżentelmen! Co tu kryć, to ją jeszcze bardziej nakręcało.

Szli sobie leśną ścieżką i udawała, że nie czuje, jak bardzo już jest spocona. Odganiała kręcące się wokół niej komary, usiłując robić to obojętnymi

gestami; nie chciała, by wiedział, jak bardzo boi się robactwa. Na nim nie zauważyła nawet kropelki, wyglądał idealnie, jakby narzucił na siebie jakiś wyładzający filtr z Instagrama.

– Mówiłeś, że jesteście z Kalifornii?

– Mhm.

– A skąd dokładnie?

Odgarnął włosy z czoła.

– San Jose. Nie poleciłbym. Tylko wielkie korporacje i cała masa bezdomnych.

– Tym się zajmują twoi starzy? Pracują w korporacji?

Odsunął nisko wiszącą gałąź, by mogła swobodnie przejść.

– Nie. Ojciec sprzedaje ubezpieczenia, to chyba najnudniejsza fucha na świecie... Mama siedzi w domu i montuje swoje podcasty.

– Ach tak, te sławne audycje...

– No. Serio, są znane. W pewnej chwili była na trzecim miejscu listy.

– Nieźle!

– Pewnie tak. – Po jego minie można było sądzić, że wcale tak nie myśli. – To może teraz ja o coś zapytam? O co chodzi z twoimi rodzicami? Mama też jest Brytyjką?

– Nie. Pochodzi z Albany, ale studiowała na Wyspach i tam poznała tatę. Po rozwodzie postanowiła wrócić do domu i zabrać mnie ze sobą.

– A co ty na to powiedziałaś?

Za każdym razem, gdy musiała odpowiadać na to pytanie, czuła kwaśny smak w ustach.

– Nikt mnie nie pytał o zdanie. Na początku było strasznie. Szkoły w Ameryce zasadniczo się różnią. A u mnie jest tak jak w filmie *Wredne dziewczyny*.

Zaśmiał się.

– Ale przyzwyczaiałam się. Nawet z kilkoma laskami się zaprzyjaźniłam.

Dziwaczki i nerdzice. Pasowała jak ulał.

– Nie chcę się chwalić, ale mam niezłe oceny. Więc koniec końców, jest w porządku.

– A jak rodzice zarabiają na życie? – zapytał tonem sugerującym, że nic go to nie obchodzi, ale chce grzecznie podtrzymać rozmowę.

– Mama jest kadrową, a tata dziennikarzem muzycznym. Poznał wszystkie gwiazdy! – Nagle się ożywiła. – Eminema, Pink, Jaya-Z. Przeprowadził wywiad z Kurtem Cobainem na miesiąc przed jego samobójstwem.

Teraz to Ryan się ożywił.

– Serio?

– Serio. Tata pracował dla jednego z tych sławnych magazynów, w czasach gdy młodzież jeszcze czytała gazety.

– Znajomość z Cobainem i Eminemem. Chyba twój stary jest fajny.

– Hmm...

– Nie jest?

– No wiesz... Wyjechałam z Anglii, gdy miałam jedenaście lat, byłam gówniarą. On chyba dalej uważa, że tak jest, traktuje mnie jak dzieciaka, rozkazuje i nie pyta o zdanie. A mam już prawie piętnaście lat.

– Starzy! – zachnął się Ryan. – Moi są tacy sami! Nawet nie chciałem tutaj przyjeżdżać. Po co tłuc się do miejsca, w którym zamordowano parkę nauczycieli? To jest zboczone! To znaczy za dnia jest nawet ładnie, ale w nocy masz za oknem *Piątek* trzynastego!

Teraz to Frankie się zaśmiała.

– Obóz Kryształowe Jezioro!

– Skoro tak, to chyba jako prawiczek jestem bezpieczny!

Poczuła, że się rumieni.

– Prawie jesteśmy – zauważył, przerywając niezręczną ciszę.

Listowie przed nimi przeredzało się, a więc dochodzili do skraju lasu.

Dziewczyna spojrzała na wyświetlacz telefonu.

– Nie mam zasięgu, a ty?

– Nic.

Wyszli na drogę na obrzeżach miasteczka. Po lewej znajdowało się wysypisko śmieci otoczone wysokim płotem, na którym wisiał znak z napisem „Odzysk i Recycling”. Na pustawym podwórku stała rozlatująca się chałupa z powybijanymi szybami.

– No patrz, idealna scenografia do horroru! – Ryan strzelił selfiaka, potem skinął na Frankie, by stanęła obok niego na tle tej malowniczej scenerii.

Nikogo nie było widać, nie przejeżdżał tędy żaden samochód. Gdzieś z oddali dobiegało jakieś podzwanianie. Może dzwonki wiatrowe? Potarła dłońmi ramiona, bo ten dźwięk, zwykle przyjemny, w tym miejscu powodował gęsią skórkę.

– Witamy w Penance w stanie Maine! – zaanonsował Ryan, ponownie zerkając na telefon. Wciąż nie było zasięgu. – Idealne miejsce do dorastania dla mordercy, nie sądzisz?

Ruszyli drogą w pełnym słońcu. Coś ciągle podzwaniało w oddali, a oni gawędzili niezobowiązująco o szkole, kolegach, różnicach pomiędzy Anglią i Ameryką i o książkach, które podobały się im obojgu, co bardzo ucieszyło Frankie. Wcześniej nie poznała żadnego chłopaka, który czytałby dla przyjemności. W jej szkole każdy, którego przyłapano z książką, stawał się ofiarą prześladowań. A tymczasem Ryan lubił *Nienawiść, którą dajesz* czy *Gwiazd naszych win*. Był fanem Kinga i zdziwił się, że niczego nie czytała.

– Mam ze sobą *Smętarz dla zwierzaków*, pożyczę ci. Zrobisz sobie nastrój pasujący do miejsca.

Doszli do ulicy nazwanej Rajską Pętłą. Na chodniku stało trzech chłopaków i dziewczyna. Dwóch przerzucało między sobą piłkę do koszykówki, a parka przystanęła nieopodal, przyglądając się bezczynnie. Byli w zbliżonym wieku, jednak mieli w sobie coś odstręczającego, przynajmniej w odczuciu Frankie.

Ryan nie wydawał się podzielać jej obiekcji.

– Cześć – rzucił, gdy się zbliżyli.

Piłka się zatrzymała. Ucichła rozmowa parki. Dziewczyna miała długie słomkowe włosy i brwi tak jasne, że niemal niewidoczne, była blada jak śmierć. Chłopak ogolony na łyso także wyglądał tak, jakby trzymano go w piwnicy, i miał zapadnięte policzki. Zlustrował Ryana pogardliwym spojrzeniem.

– Cześć – powtórzył Ryan. – Czy można tu gdzieś złapać Wi-Fi? Jest jakiś McDonald?

– McDonald? – Dziewczyna zaśmiała się wrednie.

– Może Subway?

Teraz zaśmiali się wszyscy oprócz łysola, który wciąż gapił się na Ryana. Frankie zauważyła, że jego i dziewczynę łączyło niezwykle podobieństwo, pewnie byli bliźniętami. Taki sam kolor oczu, blada cera, wyglądali jak nastoletnie wampiry. Ci dwaj z piłką stali w takiej odległości, że Frankie zdała sobie sprawę, że grupa nie jest razem. Wampirki po prostu przystanąły, by się poprzyglądać, jak ktoś przerzuca piłkę.

– Dobra, nieważne. – Ryan wzruszył ramionami. – Miłego dnia.

Ruszył, ku uldze Frankie, a wówczas usłyszeli za sobą wysoki chłopięcy głos:

– Zatrzymaliście się w Płytkich Zdrojach?

Oboje odwrócili się niechętnie.

– Tak, a co? – rzucił Ryan.

– Widzieliście już jakieś duchy?

– Co? – spytała Frankie.

Chłopak patrzył na nią jak na idiotkę.

– Pytam, czy widziałaś już jakieś duchy.

Miał dziwaczny głos, jakby nie do końca przeszedł mutację. I wielkie oczy, jak z anime, ale jakieś dziwnie zaspane. Może był naćpany? Frankie schowała za plecami swoją designerską butelkę, widząc, że dziewczyna patrzy na nią pożądliwie.

– Wtargnęliście na teren prywatny – oznajmił chłopak, patrząc Frankie wyzywająco w oczy.

– Fajnie było was poznać. – Ryan pociągnął dziewczynę za sobą. – Chodź, Frankie!

Przyspieszył kroku, a ona prawie ruszyła za nim biegiem.



Gdy oddalili się od grupki, Frankie usiłowała się roześmiać.

– O mój Boże!

– Wszystko okej? Jesteś roztrzęsiona.

– Dobrze, ale... Jezu!

Ryanowi śmiech wyszedł naturalniej.

– „Wtargnęliście na teren prywatny!” Wow! Ale dziwadła! – usiłował brzmieć nonszalancko, Frankie jednak zauważyła, że chyba jest równie roztrzęsiony, co ona.

Skręcili za róg i wyszli na coś, co od biedy można było nazwać główną ulicą – szeroką jezdnię z kilkoma przybytkami po obu stronach: pocztą, barem, supermarkecikiem i ku zaskoczeniu Frankie, księgarnią.

Ludzi było jak na lekarstwo. Pod drzewem, na ławeczce, siedział jakiś staruszek i wachlował się kapeluszem. Minęła ich kobieta z dziećmi, które ledwie za nią nadążały. Przejechało auto czy dwa. Dojrzeli pomnik upamiętniający weteranów z czasów drugiej wojny, statuę żołnierza z plakietką *Bohaterom Penance*. Frankie zauważyła kogoś śpiącego w cieniu rzucanym przez piedestał. Bezdomny pijaczek, jak nic, bo obok leżała pusta butelka. Ryan strzelił mu fotkę.

– Takich rzeczy chyba się nie robi – zauważyła dziewczyna.

– Weź przestań, on się o tym nigdy nie dowie. Patrz, księgarnia!

Przeszli przez ulicę. Frankie miała nadzieję kupić książkę Stevena Kinga, którą wybrały dla niej Ryan, ale niestety, księgarnia okazała się zamknięta, co zauważyli dopiero po podejściu prawie pod same drzwi.

Ruszyli więc dalej, w stronę baru mlecznego.

– Umieram z pragnienia! – stwierdził Ryan. – I nic nie jadłem oprócz śniadania.

Restauracyjka również była nieczynna.

– To jakieś jaja czy co? Co to za miejsce? Wszyscy dorośli wymarli czy jak?

Frankie skupiła się na tym, co właśnie uznała za cud. Miała zasięg w telefonie! Sygnał Wi-Fi musiał dochodzić z któregoś z pobliskich budynków. I nie był zabezpieczony hasłem!

– Mam zasięg! – ucieszyła się i w sekundę po tym z telefonu zaczęły dobiegać piknięcia przychodzących połączeń i wiadomości na WhatsAppie. Przysiadła na murku i przeskrolowała je; w większości były to nastoletnie dramy, dokładnie tak, jak się spodziewała.

– Hej – zaczęła jakby od niechcienia. – Prześlij mi tego selfiaka!

– Pewnie, wpisz swój numer. – Wręczył jej telefon.

Przesłała zdjęcie przyjaciółkom i zalała ją nowa fala wiadomości.

OMG!!

KtoTo?

Frankie ma nową miłość LOL!

Uśmiechnęła się do telefonu, a gdy uniosła wzrok, zauważyła, że Ryan gmera w swoim. W Instagramie, konkretnie.

– Kogo mam szukać na Insta? – zapytał.

Przeliterowała ksywkę.

– A co robisz?

– Wrzucam pościk z wojaży. Dobra, zaobserwowałem cię, sprawdź.

Weszła na jego profil i przejrzała zdjęcia budynków, dachów, graffiti. I filmik z Ryanem przeskakującym między dwoma dachami.

– Jesteś parkourowcem? – zapytała.

– No. Mama się wścieka. Twierdzi, że skończę o lasce, jak ona.

Frankie ponownie zerknęła w telefon, odnajdując zdjęcie Ryana obejmującego jakiegoś chłopaka.

– Najlepszy kumpel?

Zerknął znad swojego ekranu i zrobił nieciekawą minę.

– To mój były. Ciągle zapominam wykasować tę fotkę.

Spojrzała w dół. Znowu ten chłopak na zdjęciach, jakaś parada, tęczowe flagi. Oczywiście – najfajniejszy, najprzystojniejszy koleś, jakiego kiedykolwiek poznała, musi być gejem.

– A masz już kogoś nowego? – zapytała.

– Jeszcze nie, ale jest taki jeden w mojej klasie, Glen Troiano. Dobra, zrobione! – Skończył zamieszczać post.

Podsunał telefon ekranem w jej stronę. Widniało na nim zdjęcie złomowiska i bezdomnego z rozmytą twarzą. I podpis:

Przybywajcie do odbytu świata! Penance w Maine. Tutaj psy na złomowisku mają wyższe IQ niż mieszkańcy. #Penance #dziura #wakacjezdupy

Była w szoku. Nie chciała, by Ryan sądził, że jest nudziarą, ale ten post wydał jej się naprawdę wredny. Faktycznie to miejsce to była dziura, do tego dziwaczna i straszna. Chyba jednak Ryanem też wstrząsnęło spotkanie z tymi nastolatkami?

Bezdomny gapił się na nich spod pomnika.

Frankie szturchnęła Ryana ramieniem, spojrzał w tamtym kierunku.

– Spadajmy stąd, zanim ktoś jeszcze nas oskarży o wtargnięcie na prywatny teren! – rzucił.

ROZDZIAŁ 4

Gdy wracałem ze spożywcza, niosąc w torbie kawę, chleb, mleko i jakieś przekąski dla Frankie, przystanąłem na chwilę przed tablicą z mapką resortu. Był całkiem spory, od południa graniczył z jeziorem. W centrum znajdowały się restauracja i dom handlowy. Korty tenisowe, strzelnica łucznicza, stajnie i plac zabaw dla dzieci. Domki leżały na obrzeżach ośrodka, po kilka obok siebie. Nasz stał na północno-wschodnim skraju. Za nim były już tylko lasy, aż po Penance.

Zastanawiałem się, jak wielu ludzi, którzy tutaj przybyli, było poszukiwaczami mrocznych atrakcji? Nie wiedziałem, co w tym takiego kuszącego. No tak, w ludziach jest coś takiego, co sprawia, że zwalniają, chcąc przyjrzeć się drogowej kraksie, albo czytają artykułiki o morderstwach i molestowaniu dzieci. Ale żeby spędzać urlop w miejscach, w których wydarzyły się takie okropieństwa?

„Dokąd lecimy na wczasy? Do Disneylandu? A może do Hiszpanii na surfing? A nie, czekaj, znam takie fajne miejsce, gdzie zaszlachtowano dwójkę nauczycieli!”

Gdybym wiedział, w życiu bym nie przywiózł tutaj Frankie. Wybrałbym jakieś przyjemne miejsce w Nowej Anglii.

Gdy podszedłem bliżej domków, zauważyłem naszych sąsiadów z piętnastki. Dwie kobiety w średnim wieku siedziały na tarasie z kubkami w dłoniach. Jedna z nich spojrzała wprost na mnie, więc podszedłem, aby się przywitać.

Obie były ubrane tak, jakby właśnie wyszykowały się na długą wędrówkę. Ta siedząca bliżej, z kręconymi włosami, w których połyskiwały pasma siwizny, przedstawiła się jako Tamara.

– Donna – rzuciła ta druga, nieco przysadzista, z załęknionym wyrazem twarzy.

Miała ufarbowane na kasztanowo włosy i wyglądała na nieco starszą od Tamary. O jej krzesło oparte były kijki do nordic walkingu, co ostatecznie utwierdziło mnie w przekonaniu, że wybierały się połączyć po głuszy.

Chwilę pogadaliśmy o pierdołach, aż w końcu postanowiłem zapytać o interesujący mnie temat, który już przecież wystawał jak dupa z za krzaka.

– Więc... Przyjechałyście tu z powodu Everetta Millera?

– Kogo?

– Nie słyszałyście o nim? Jezu, dobrze, że nie jestem jedyny!

Gdy to mówiłem, przez twarz Donny przebiegł grymas. Zauważyłem krzyżyk na złotym łańcuszku na jej szyi, bawiła się nim bezwiednie, tak samo jak bezwiednie maca się językiem ułamany ząb.

– Przepraszam – powiedziałem, czując, że się rumienię. – Czasem coś chlapnę...

Odpowiedziała mi niewyraźnym uśmiechem. Chcąc jak najszybciej skończyć to niezręczne spotkanie, w kilku zdaniach streściłem im, co opowiedzieli mi David i Connie.

– No to super – mruknęła Donna. – Przyjechałam tu, by uciec od tego wszystkiego!

Tego wszystkiego?

Być może w miejscu, z którego pochodziła, znajdowało się jakieś zagłębienie rytualnych mordów. Bałem się zapytać.

– Ostatnio miała sporo stresu – wyjaśniła Tamara, poklepując Donnę po ramieniu. – Obie miałyśmy. – Spojrzała na nią ciepło, a ja tym intensywniej zacząłem się zastanawiać, o co chodziło.

Może jedna z nich była chora? Przyjaźniły się czy może coś więcej?

– Może jednak powinnyśmy poszukać innego kempingu – zasugerowała Tamara. – Nie chcę, byś się denerwowała.

Donna nachmurzyła się i zwróciła do mnie, jakbym był najlepszym źródłem informacji.

– To się stało dwadzieścia lat temu, tak?

– Prawie dokładnie dwadzieścia. To był jednorazowy przypadek. – Szkoda, że w ogóle je o to zagadnąłem. – O ile mi wiadomo, od tamtej pory żadna inna

tragedia się tu nie wydarzyła. Gdybym uważał, że tu nie jest bezpiecznie, nie przyjechałbym tu z córką.

– Dwadzieścia lat – powiedziała Donna, znowu dotykając krucyfiks. – Na pewno nie trzeba się już tym przejmować.

Na twarzy Tamary wymalowała się ulga.

Ruszyłem do swojej chatki, ciesząc się, że moim plotkarstwem nie wywołałem u nich jakiegoś napadu paniki.

Ktoś pukał do naszych drzwi. Duży facet w czerwonej koszulce polo, z notatnikiem na podkładce w ręku. No tak, kierownik, facet, który nas zameldował. Jak mu tam było? Odwrócił się w moją stronę, więc mogłem odczytać plaketkę na jego piersi. Greg.

– Panie Anderson, właśnie robię obchód, upewniam się, że u wszystkich gości w porządku.

Był nieco zdenerwowany czy może tylko mi się wydawało? Jakby od rana zbierał same skargi i właśnie szykował się na kolejną.

– Wszystko super – odpowiedziałem.

– Bardzo się cieszę. – Na jego twarzy pojawiła się wyraźna ulga.

Pocił się w upale, więc wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł czoło. Odczepił arkusz papieru ze swoich notatek i wręczył mi go, zostawiając na kartce wilgotny ślad palca.

– Zachęcam pana i córkę do zapisania się na tyle zajęć, ile się da, zanim skończą się miejsca.

Rozgadał się o wszystkich atrakcjach, jakie oferują, i mówiąc szczerze, faktycznie nieźle to brzmiało: tratwy, kajaki, tenis, dla dzieciaków „polowanie na misia”, nawet safari dla podglądaczy łosi. No i jazda konna, to by się spodobało Frankie, a ja miałem wielką ochotę spróbować łucznictwa.

– Zapisać was na wielkie wspólne ognisko? W środę będzie barbecue i kapela, załatwiliśmy naprawdę świetny zespół. Będzie akcja integracja!

– I pogaduszki o ulubionych mordercach?

– Co proszę? – Zamarł.

– Taki żarcik.

Gregowi jednak nie było do śmiechu i zaczął się pocić jeszcze intensywniej.

– Nie, o tym raczej nie będzie pogaduszek. To się stało bardzo dawno temu, wtedy było tutaj zupełnie inaczej.

– Przepraszam – załagodziłem. – Po prostu David i Connie z dwunastki stwierdzili, że właśnie z tego powodu ludzie tu przyjeżdżają. Tacy żądni krwi turyści.

– Żądni krwi turyści? – Na twarzy Grega pojawiło się bezbrzeżne zdumienie.

– Zakładałem, że pan o tym wie. Opowiadali mi o jakichś stronach w dark necie pełnych historii seryjnych morderców i krwawych zbrodni.

Na jego twarzy nie było już cienia uśmiechu.

– Będę musiał to sprawdzić. To co, zapisać was na koncert?

Jaki koncert, do cholery?

– Na ognisko? – dopytał.

– Ach, ognisko. Tak, świetnie! Dzięki!

W domku na stole leżała notka od Frankie.

Poszłam na spacer z Ryanem. Do później. Frankie

Przyglądałem się świstkowi, usiłując ocenić, co czuję. Miałem spędzać czas z córką, o to chodziło w tej wyprawie. Przez pięćdziesiąt tygodni w roku się nie widzieliśmy. A jeszcze niedawno chciała spędzać ze mną każdą wolną chwilę. Wyobrażałem sobie, że będziemy razem spacerować, chodzić nad jezioro i brać udział w tych wszystkich pierdołach, które proponował mi Greg. Myślałem, że nacieszę się nią, zanim znowu wrócę do swojej angielskiej samotności.

A tymczasem ona wolała włączyć się z jakimś chłystkiem...

Stop.

Przecież była nastolatką. Chodziło o to, by się dobrze bawiła. Jeszcze się nią nacieszę, a teraz mogłem korzystać z czasu dla siebie. Mnie również nie zaszkodzi trochę odpoczynku, a przecież nie chciałem być natrętny.

Odstawiłem zakupy i łąziłem przez chwilę bez sensu po pomieszczeniu. Pogoda była zbyt piękna, by siedzieć wewnątrz, więc wziąłem ze sobą butelkę wody i zszedłem nad jezioro.



Przysiadłem przy stoliku piknikowym nad samą wodą. Nieopodal rodzinki i pary stały w kolejce, by wypożyczyć łódki i rowery wodne. Były nawet żaglówki. Nie znałem dokładnych wymiarów zbiornika, ale odległy brzeg był rozmyty. Spokojna toń połyskiwała błękitem. Niedaleko było widać styliska wędkarzy i przypomniałem sobie, że w tych wodach można było złowić okonie, a nawet łososie. Przepłynęła z hałasem motorówka, ciągnąc za sobą kogoś na nartach wodnych. Na brzegu, pod sosnami, odbywały się zajęcia jogi.

– Ale tu pięknie, co?

David. Dosiadł się bez pytania. Connie stała przy budce z lodami, pogrążona w rozmowie z parą sześćdziesięciolatków.

– Wiesz – zaczął konfidencjonalnym szeptem – usłyszałem dziś coś ciekawego.

– Tak?

– Pamiętasz, jak mówiłem, że Everett Miller zniknął i nigdy się nie odnalazł?

– Mhm.

– A więc ktoś go podobno widywał. Jedna z kucharek coś o tym przebąkiwała. Kilkoro turystów wypatrzyło wśród drzew jakiegoś brodacza, a jeden z budowniczych ośrodka opowiadał, że działy się tu dziwne rzeczy. Ktoś przynosił sprzęt. Spuszczał powietrze z opon. Budowlańcy czuli się obserwowani. Znajdowali w lesie śmieci, jakieś papierki po cukierkach i inne bzdety.

– Czekaj, usiłujesz mi powiedzieć, że ten cały Miller od dwudziestu lat ukrywa się w tych lasach? Przecież na pewno zwiałyby do Kanady!

Do granicy było kilkadziesiąt kilometrów.

David mruknął coś niewyraźnie i odwrócił się do nadchodzącej Connie.

– Kto to był? – Skinął głową w stronę parki.

– Moi fani, nawet poprosili o autograf! Przyjechali tutaj, bo dowiedzieli się o tym miejscu z mojego podcastu. Cześć, Tom!

– Cześć! – To ona miała fanów? Byłem pod wrażeniem.

– Gotowy? – zapytała Davida.

– Nigdy nie byłem bardziej gotowy! – Wstał. – Idziesz z nami, Tom?

– A dokąd się wybieracie?

Wyszczrzył zęby.

– Idziemy sobie obejrzeć miejsce zbrodni!

ROZDZIAŁ 5

Przedzieraliśmy się przez gęstwinę drzew, idąc po nierównym gruncie, pełnym odłamków skał, i przez zarośniętą wysoką trawą polanki. Nie miałem pojęcia, jak David się orientuje, w którą stronę mamy iść, bo wszystko wokół wyglądało identycznie, a ścieżka biegnąca na północ była ledwie widoczna. Zachowywał się jak ogar, który wyczuł trop. Co chwilę przystawaliśmy, czekając na Connie, a potem znów nurkowaliśmy pod wiszącymi nisko gałęziami.

– To tutaj – powiedział w końcu David, łapiąc z trudem oddech, jak odkrywca, który właśnie natrafił w ruinach na zapomnianą komnatę pogrzebową.

Postąpił kilka kroków i rozejrzał się bez słowa, zauroczony i z pewnym namaszczeniem.

Na środku polany, dokładnie tak, jak to opisał, widniała duża, płaska skała o średnicy jakichś dwu i pół metra. Zbliżyliśmy się, a on wyciągnął rękę i dotknął jej gładkiej powierzchni.

- Czuję ich – szepnął po chwili.
- Co to niby znaczy?
- Ich. Ofiary. Nie czujesz tej energii?

Oczywiście, że nie czułem. Dzień był piękny, promienie słoneczne przesączały się przez gałęzie. Krwawe symbole dawno zmył deszcz i ciężko było sobie wyobrazić, że stało się tutaj coś strasznego. David i Connie poświęcili tej sprawie mnóstwo czasu, zagłębili się w nią na potrzeby podcastu, aby wiernie wszystko opisać słuchaczom. A dla mnie to była zwykła polana i zwykła skałka.

- Eric i Sally to nie jedyne ofiary – rzuciła Connie.
- A kogo jeszcze masz na myśli?

– Jake’a Robineaux.

– Chłopaka, który ich znalazł?

– Taa. Popęcił samobójstwo kilka lat po premierze swojej książki. – Connie oparła się na lasce i spojrzała na skałę. – Gdy się to czyta, można wyczuć, że to, co tu widział, głęboko nim wstrząsnęło. Uwielbiał Sally Fredericks, była jego ulubioną nauczycielką. Więc teraz sobie wyobraź, co czuł, gdy ją zobaczył w takim stanie. Nagą, z posiniałą od duszenia twarzą, a obok kochanek z mózgiem wyciekającym z roztrzaskanej czaszki.

Zaczynałem rozumieć, dlaczego jej podcast był popularny. Umiała zbudować mroczny nastrój.

– To na pewno zryło mu beret – dodał David.

– Co ty nie powiesz... – mruknąłem. Choć nie interesowały mnie takie rzeczy, za sprawą Butlerów i ich drobiazgowych opisów czułem, że ta historia mnie wciąga. Obrazy same rysowały się przed oczami. – A co wiecie o tym całym Everecie Millerze? Jaki był, pomijając jego miłość do death metalu?

Odpowiedziała Connie:

– Wszyscy twierdzili, że był dość pizdowaty. Pacyfista. Nie miał nic na sumieniu. Dzieciaki w szkole nie mogły wyjść z szoku, bo to zawsze on był ofiarą prześladowań, taką, co to nigdy się nie broni.

– Właśnie takim ludziom najczęściej się ulewa. Pękają – uzupełnił David.

Nic dziwnego, choć to przecież była podwórkowa psychologia. Zacząłem się jednak zastanawiać, ilu morderców przed popełnieniem zbrodni nigdy nie ukradło nawet batonika. Można było zrozumieć ofiary przemocy domowej, które zabijały, by ocalić własne życie, wyrwać się z kręgu zła. Albo te, jak im tam, zbrodnie w afekcie. Ale taki mord? Coś takiego mógł zrobić jedynie ktoś, kogo fascynowała przemoc. Czy naprawdę chłopak dokonał tego pod wpływem muzyki i teledysków?

A może po prostu, tak jak zasugerował David, miał dosyć bycia popychadłem i coś w nim pękło.

– A czy on zajmował się jakimiś pogańskimi wierzeniami? – dopytałem.

– Tak jakby – odrzekł David. – Ta jego muzyka była przesycona takimi rzeczami. W jego pokoju znaleziono talię tarota i tablicę ouija oraz pokaźną kolekcję horrorów.

– Ale to przecież nie dowodzi wiary w pogańskie bóstwa, prawda?

Connie się rozejrzała.

– Nie wiem. W tych małych miasteczkach, w środku nicości, ludzie wierzą w przeróżne pierdoły. Może faktycznie zrobił to, do czego nawoływał wokalista...

– Albo trafił na orgietkę w lesie i chciał się dołączyć, ale wszystko się, nomen omen, popieprzyło – zasugerował David. – Pewnie nigdy się nie dowiemy, jak było.

– Chyba że on naprawdę gdzieś tutaj jest – powiedziałem głośno, sam sobie nie dowierając. – I ktoś go w końcu złapie.

– O, tak! To by było coś, nie, Connie? Trzasnęłabyś z nim wywiadzik do swojej audycji!

– Ale bym miała słuchalność! – rozmarzyła się.

David pstryknął kilka zdjęć komórką i już miał coś powiedzieć, ale usłyszeliśmy głosy. Damski i męski, gawędzące beztrosko. Jakieś śmiechy.

David gestem pogonił nas do schowania się między drzewami. Kucnęliśmy w cieniu, za zwalonym pniem.

– Co my wyrabiamy? – spytałem.

Uniósł palec.

– Czekać!

Na polanę, prawie dokładnie w miejsce, gdzie przed chwilą staliśmy, wkroczył łysawy brodaty facet w T-shircie z podobizną Charlesa Mansona. Za nim podążała kobieta, wysoka i korpulentna, odziana na czarno. W rozjaśnionych włosach miała fioletowe pasemka.

– O Boże, jesteśmy, to jest to miejsce! – powiedział mężczyzna, a kobieta w odpowiedzi pisnęła podekscytowana.

Przystanęli przed skałą.

– Znacie ich? – syknąłem.

David pokręcił głową.

– O Jezusie najśłodszy, oni chyba nie zamierzają...!

Zamierzali.

Objęli się, ich usta się połączyły. Po chwili leżeli na kamieniu, kobieta zaczęła majstrować przy szortach partnera.

Gapiliśmy się na siebie rozszerzonymi oczyma. Nie mogłem się zdecydować, czy wybuchnąć śmiechem, czy się porzygać. Connie zasłaniała usta dłonią, bo chyba czuła to samo.

– Musimy stąd spadać! – szepnąłem.

Rozległ się głośny, przenikliwy chichot. Kobieta podwijała spódnicę, facet opuszczał spodnie. Odwróciłem wzrok od tej scenki rodzajowej.

Wycofaliśmy się między drzewa, starając się nie robić hałasu. Dobrnęliśmy do głównej ścieżki; głosów pomyłonej parki nie było już słychać.

– Mam nadzieję, że nie pomyślałeś sobie, że nas też to kręci.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy.

– To dobrze. Pieprzeni zboczeńcy. Rzygać się chce! – David zrobił pauzę. – Ludzie nam często zarzucają... Jakie to było słowo?

– Lubieżność – odpowiedziała Connie.

– O, właśnie! No więc my nie jesteśmy lubieżni. Interesują nas ofiary. Sprawiedliwość. To nas napędza.

Wyglądał na porządnie wkurzonego, jakbym nazwał go zboczeńcem, więc musiałem jakoś to załagodzić.

– W porządku, wierzę ci!

I faktycznie wierzyłem, choć nie byłem do końca pewien, że chodzi wyłącznie o sprawiedliwość. Raczej o mroczną stronę ludzkiej duszy i dryg do rozwiązywania zagadek. Rozumiałem to, bo czułem, że i we mnie są takie ciągotki.

Coś zaczęło kiełkować w moim umyśle.

Nie zdążyło jednak się rozwinąć, bo ktoś nadchodził. Zza drzew pobrzmiwały młode głosy i jeden z nich rozpoznałem, zanim ukazała się właścicielka.

To byli Frankie i Ryan.

Na nasz widok byli zaskoczeni.

– Tata? – zapytała Frankie.

– Czołem, młodzieży! – przywitał się David. – Gdzie się szwendaliście?

– Przespacerowaliśmy się do Penance – wyjaśniła Frankie.

Wyglądała na przejętą.

– Wszystko dobrze? – zapytałem.

– Tak, a co?

– Wydajesz się trochę... Dobra, nieważne. Jakie wrażenie zrobiło na was Penance?

Młodzi wymienili znaczące spojrzenia, które wskazywały na to, że coś się wydarzyło, ale tylko wzruszyli ramionami, jakby nie było to warte opowiadania. Przyglądałem im się uważnie, szukając jakiegoś iskrzenia, ale nie bardzo wiedziałem, co bym zrobił, gdybym je zauważył.

Ruszyliśmy z powrotem do ośrodka. Rozległy się szelesty i nieopodal pojawiła się zgrzana i ewidentnie usatysfakcjonowana parka; gdy nas dojrzeli, ruszyli przodem, przytuleni, śmiejąc się.

– Zboki! – rzucił David, a syn spojrzał na niego pytająco.

– Co?

– Nie, nic... Po prostu na ten tydzień zjechało się tu mnóstwo dziwadła.

– Takich jak ty i mama?

David się zaśmiał i zmierzwił synowi włosy, a chłopak usiłował uciec spod jego ręki.

„Zjechało się tu mnóstwo dziwadła”.

Coś znowu zaświtało mi w głowie; a nawet nie zaświtało, tylko darło się, domagając się uwagi.

– Hej, Frankie, może oprowadzisz mnie po miasteczku? Też bym chciał zobaczyć, co tam jest ciekawego.

Spojrzała ukradkiem na Ryana.

– Właśnie stamtąd wracam...

– Wiem, ale...

– Chcesz połączyć z nami, kochanie? – zapytała Connie. – A tata sobie sam pozwiedza.

– Pewnie, byłoby miło. Dzięki!

To nie tak miało być. Chciałem spędzać czas z córką. A ona oczywiście wolała spędzać go z Ryanem.

– To może wszyscy połączymy? – zasugerowałem. – Do miasteczka skoczę innym razem.

– Przestań, tato, nie musisz być moją niańką!

– To ci dogadała! – zauważył David irytującym tonem. – Idź i rób tam sobie, co chcesz, a my się zaopiekujemy Frankie.

Chyba nie miałem już wyboru.

– No dobra – powiedziałem zrezygnowany. – Widzimy się u nas w domku o pierwszej.

Patrzyłem, jak odchodzą w kierunku ośrodka, po czym ruszyłem w przeciwną stronę, obchodząc polanę łukiem. Gdy tylko moja córka i Butlerowie zniknęli z pola widzenia, poczułem, jak osiada na mnie jakiś dziwny mrok. Jakby słońce nie było już w stanie przebić się przez korony drzew, a ścieżka stała się ciemnym tunelem. Zostałem sam i wróciły do mnie słowa Davida o odczuwaniu morderczej energii. Miałem wrażenie, że właśnie teraz ją czuję, tę aurę zła, zawisłą w powietrzu na zawsze, piętno zbrodni odcisnięte na tym miejscu.

Oddaliłem się od polany prawie biegiem.

ROZDZIAŁ 6

Jak się później okazało, Frankie i Ryan udali się do miasteczka w poszukiwaniu zasięgu, a teraz ja robiłem to samo. Pomysł, który wpadł mi do głowy na polanie, wydawał się coraz bardziej ekscytujący. Mogłem tutaj znaleźć historię wartą opisaną. Przede wszystkim morderstwa. Parka niewiernych nauczycieli, jedno zatłuczone, drugie uduszone. Na szkolnej wycieczce! No i cała ta rytualna otoczka. Szokująca zbrodnia, a o ile mi było wiadomo, w Wielkiej Brytanii takie się nie zdarzały. Nie sądziłem, by podcast Connie dotarł na Wyspy.

Do tego nierozwiązana tajemnica Everetta Millera, którego uznano za winnego, ale nigdy go nie ujęto. Gdzie zniknął? Czy żył gdzieś z fałszywą tożsamością? A może ktoś pomógł mu uciec? Czy popełnił potem jakieś inne zbrodnie? Pytań było dość, by wzbudzić ciekawość każdego, kto choćby powierzchownie interesował się takimi sprawami.

No i kluczowa sprawa: otwarcie ośrodka wypoczynkowego, który zwabił rzesze miłośników zbrodni, i fakt, że większość z nich dowiedziała się o sprawie Millera z internetowego podcastu.

Nigdy wcześniej nie pisałem artykułu o zbrodni ani nic, co miałoby jakiś detektywistyczny wydźwięk, ale mimo to sam pomysł mnie ekscytował. To mógł być nowy początek, o jakim marzyłem, bo choć długo wypierałem to ze świadomości, szczególnie podczas koszmarnego rozwodu z Sarah, teraz musiałem zmierzyć się z faktem, że moja kariera zawodowa zdechła.

Bycie dziennikarzem muzycznym to jedyna ścieżka zawodowa, jaką rozważałem. Zaczynałem w połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy brytyjska scena kwitła i ukazywało się mnóstwo magazynów, gotowych płacić za artykuły dobrą kasę. Przez kilka lat żyłem jak we śnie: podążałem za brytyjskimi kapelami do Los Angeles czy Nowego Jorku, by opisywać, jak sobie radzą w trasach za oceanem, szlajałem się z raperami i brałem udział

w imprezach, podczas których rockmani pokazywali maluczkim, jak się żyje. Biby, rozdania nagród, prywatne odrzutowce pełne producentów i muzyków, darmowe bilety na koncerty i stopy płyt CD.

Jednak każdy balon w końcu pęka. Gdy rynek zalała fala muzycznego piractwa, Internet dobił muzyczne gazety. Nikt już nie musiał czekać na wydania kolejnych numerów, żeby sprawdzić, co tam słychać u ulubionych gwiazd. Każdy mógł pisać opinie, a dostęp do nich był darmowy. I nagle tytuły, które przez lata święciły triumfy, zaczęły upadać, jedno się zwijały, inne przechodziły do sieci. Patrzyłem, jak rzesze moich przyjaciół żegnają się z lukratywnymi posadkami. To było jak wirus wykańczający populację, jednakowo bezlitosny dla silnych i słabych. Przemysł, który znałem, który był całym moim życiem, umierał.

Stałem się ziarenkiem piasku na pustyni freelancerów walczących o jakiegokolwiek zlecenia, a że było nas mnóstwo, wynagrodzenia spadały. Przez lata żyłem od zlecenia do zlecenia, ciułając każdy grosz. Kilku zaprzyjaźnionych gwiazdorów poratowało mnie, prosząc o stworzenie notek na ekskluzywne kolekcjonerskie wydania boksów płytowych. Książka, którą napisałem o Davidzie Bowiem, doczekała się wznowienia po jego śmierci. Z bólem serca wyprzedłem przeróżne pamiątki po gwiazdach: platynową płytę podpisaną przez członków Depeche Mode, skórzaną kurtkę Courtney Love. Zacząłem chlać i zachowywać się jak ostatni dupek. Udawałem, że nie słyszę próśb Sarah o to, bym znalazł jakąś konkretną robotę. Nie chciałem ruszyć z miejsca, nie chciałem niczego zmieniać. I to w końcu Sarah – trzy lata temu – ruszyła się, z dała ode mnie, zabierając ze sobą Frankie.

Cierpiałem. Moja kariera się wykrwawiała, małżeństwo rozpadło, a do tego straciłem córkę.

Czasami nawet nie chciało mi się wstawać z łóżka. Wszystko, z czego byłem dumny, zwiędło.

Czułem do siebie odrazę.

Nie zamierzałem mówić „hop”, ale skoro świetna historia sama do mnie przyleciała, czy może raczej ja zostałem wrzucony w sam jej środek, to być może była to szansa na odbicie się od dna. Często myślałem, by zająć się innym rodzajem dziennikarstwa; czy to była okazja do nowego otwarcia?

Najpierw musiałem jednak zrobić jakiś research, bo rozmowy z Davidem i Connie to było zdecydowanie zbyt mało. Poczytać o tej sprawie. Pogadać z tubylcami. Jeśli wyniucham potencjał, wyślę zarys do kilku wydawców.

Próbowałem zbytnio się nie ekscytować, ale to nie było łatwe. Gdy jesteś głodny od tak długiego czasu, nie sposób nie rzucić się na łakomy kąsek dyndający tuż przed twoim nosem.



Penance sprawiało wrażenie miasteczka, które ktoś właśnie ewakuował w obawie przed nadchodzącą katastrofą. Zauważyłem tylko dwóch tubylców, z czego jeden był menelem siedzącym u podnóża pomnika po zachodniej stronie głównej ulicy. Miał gęstą brodę i ogorzałą twarz, był ubrany w bojówki i czarny T-shirt, który wisiał na jego chudoszczawym ciele jak na wieszaku. Wyciągnąłem z kieszeni kilka jednodolarówek i wręczyłem mu, gdy przechodziłem obok. Wyglądał na zszokowanego, jakby pierwszy raz ktoś zdobył się wobec niego na taki gest.

– Jesteś z ośrodka? – zapytał. – Ze Zdrojów?

Zapewne chodziło mu o Płytkie Zdroje.

– Tak, tam się zatrzymałem.

Pokiwał głową.

– Nie przetrwają długo.

Postąpiłem krok w jego stronę, osłaniając ręką oczy przed palącym słońcem.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Tutaj nic nie jest w stanie przetrwać, a przynajmniej nic dobrego. Na tym miejscu ciąży klątwa, od bardzo dawna... – Coś tam jeszcze mamrotał, ale słowa ugrzęzły gdzieś w jego brodzie. – Ej, masz jeszcze jakąś forszę?

– Niestety.

Znowu niewyraźne pomruki.

– Jak się nazywasz? – zapytałem.

Spojrzał na mnie podejrzliwie, po czym rzucił krótko:

– Wyatt.

– A ja Tom. Gdzie tu jest posterunek?

– Tu nie ma żadnego posterunku! – zaśmiał się. – Najbliższy oddział policji jest w Houlton.

– A gdzie to?

Uśmiechnął się smutno.

– Jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. Tam jest stanowy posterunek. – Zakaszłał. – Jesteś pewien, że nie masz więcej kasy?

Naprawdę nie miałem. Odprawił mnie niedbałym gestem, jakby chciał powiedzieć, że bym już dał mu spokój, więc przeszedłem na drugą stronę ulicy i stanąłem przed księgarnią, zdziwiony, że w takim maleńkim miasteczku w ogóle jakaś jest. Za szybą wisiała kartka *ZAMKNIĘTE*, ale w środku paliło się światło i według informacji godzinowych na drzwiach właśnie powinno być otwarte. Pomyślałem, że pewnie ktoś z obsługi zapomniał odwrócić wywieszkę, więc nacisnąłem klamkę.

Drzwi ustąpiły, więc po chwili wahania wszedłem do środka.

Wewnątrz panował przyjemny chłodek, a na półkach poustawiano książki dla dzieci, trochę nowości i antykwaryczne starocie. Za ladą nie było nikogo, więc krzyknąłem: „Halo?“, ale gdy odpowiedziała mi cisza, postanowiłem wyjść.

Nagle mój wzrok przykuła jedna z półek, podpisana *SPRAWY LOKALNE*. Co mi szkodziło zerknąć? Znalazłem album zatytułowany *Penance na starych fotografiach*, ze zdjęciem głównej ulicy na okładce. Fotografia w sepii przedstawiała tętniącą życiem uliczkę, nie to, co teraz. Obok stały jeszcze dwie pozycje: *Życie w poszyciu: moja drwalska historia* i *Szalona Rodzinka Johnstonów*, które wyglądały na *self-pub*, czyli coś, co zawsze trafia wyłącznie do lokalnych księgarenek.

Szukałem memuaru Jake’a Robineaux, ale go nie znalazłem.

Byłem tak zajęty myśkowaniem na półce, że ocknąłem się dopiero na dźwięk głosu tuż przy moim uchu:

– Mogę w czymś pomóc?

Odskokczyłem, prawie upuszczając trzymaną w dłoniach książkę.

Spodziewałem się zdziwaczałego staruszka, takiego, co to wyłania się z mrocznego zaplecza, aby zaoferować małpie łąpki albo jakieś egzotyczne gryzonie, ale zamiast tego uśmiechała się do mnie kobieta po trzydziestce. Miała na sobie elegancką garsonkę, a na nosie równie eleganckie okulary.

– Nie macie może *Nocy w lesie* Jake’a Robineaux?

Przyjazny uśmiech zniknął.

– Nigdy nie mieliśmy.

Ukrywając rozczarowanie, wróciłem do stolika z powieściami i chwyciłem pierwszą lepszą zakurzoną książkę, myśląc, że jeśli będę wyglądał na kogoś, kto faktycznie chce zostawić tu kilka dolarów, to może wyciągnę ze sprzedawczyni jakieś interesujące informacje, ale tylko kichnąłem od pyłu.

– Na zdrowie! – powiedziała.

Wyciągnęła rękę i dopiero po chwili zorientowałem się, że chce, abym oddał jej trzymaną książkę. Zrobiłem to, a ona wyciągnęła chusteczkę i otarła okładkę z kurzu.

– To dobra powieść, o wiele lepsza niż to badziewie Robineaux.

– Czytała je pani?

Nie odpowiedziała.

– Mam na imię Tom, zatrzymałem się w Płytkich Zdrojach.

– Jestem Nikki. Tak właśnie myślałam, skoro chcesz przeczytać *Noc w lesie*.

– Ludzie u nas gadają o sprawie sprzed dwudziestu lat.

– Nie wątpię. – Przyglądała mi się uważnie przez chwilę takim wzrokiem, że poczułem przymus przyznania się do jakiejś zbrodni, której nie popełniłem.

– Jak tam jest, w ośrodku? – westchnęła w końcu.

– Nie byłeś tam, by się rozejrzeć?

– Nie włączę się po lasach, przynajmniej nie bez naprawdę palącej potrzeby.

Mówiła o tym tak, jakbym namawiał ją do łożenia po jakiejś menelowni albo zapyziałym centrum handlowym, a nie po pięknej okolicy tuż za progiem.

– A może powinnaś – skontrolować. – To naprawdę ładny ośrodek, pełen turystów. Nie ma telewizji ani Internetu, więc pewnie znajdą się amatorzy książek.

– Tak myślisz? Gdy otwierali ponownie to miejsce, zapewniali nas, że ono uratuje Penance, że powstaną nowe miejsca pracy, napłyną turyści. Będą odwiedzać miasteczko, wydawać tu pieniądze, sprawią, że to miejsce odżyje.

– Zatoczyła ręką po pustej księgarni.

– Ośrodek działa od niedawna. Może trzeba zanieść tam jakieś ulotki, dać znać o swoim istnieniu? Zrobić dział kryminalny dla miłośników nierozwiązanych zbrodni.

Zmarszczyła czoło.

– Mieszkałaś tu w czasach, gdy to się stało? Te morderstwa?

– Tak, byłam dzieciakiem. Ale wszyscy to pamiętamy; tamto lato.

Bez słowa obróciła się na pięcie, minęła ladę z kasą i zniknęła na zapleczu. Po minucie wróciła, dzierżąc jakąś książkę – to był egzemplarz *Nocy w lesie*.

– Proszę. – Wręczyła mi go. – Nie sprzedaję jej, ale czytałam.

Sądząc po stanie książki, czytano albo przynajmniej wertowano ją wiele razy. Na okładce widniało zdjęcie polany, a na skrzydełku portret Everetta Millera.

– Pożyczę ci.

– Ja... Dzięki – mruknąłem. – Znałaś go?

– To małe miasto, wszyscy go znali.

– Gdy to się stało, ile miałaś lat?

– Piętnaście.

– Jaki był? – spytałem.

– W porządku koleżka. Ludzie traktowali go jak śmiecia, bo inaczej się ubierał i słuchał gównianej w ich mniemaniu muzyki. Ale nie był dziwakiem, przynajmniej nie sprawiał takiego wrażenia.

– Ludzie gadają, że on wciąż gdzieś tu jest – zacząłem, obserwując jej reakcję. – Że ukrywa się w lasach.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Raczej w Kanadzie.

– To samo im odpowiedziałem.

– Myśliciele się znaleźli, co?

Spojrzała na mnie tak, że aż odjęło mi mowę. Czy ona ze mną flirtowała? Od tak dawna nie przydarzyło mi się nic takiego, że nie byłem pewien, czy właściwie odczytuję jej mowę ciała.

– Naprawdę myślisz, że zwiął do Kanady? – podjąłem niepewnie.

Miała bardzo zielone oczy i intrygującą małą bliznę nad ustami. Trudno było nie patrzeć na jej twarz.

– Ja bym tam właśnie zwiąła. – Wzruszyła ramieniem.

– Myślisz, że on naprawdę to zrobił? Że zamordował tych nauczycieli?

– Z tego, co pamiętam, to za szkołą nie przepadał.

Teraz to ja się uśmiechnąłem.

– Przepraszam – powiedziała smutno. – Jestem już zmęczona słuchaniem i opowiadaniem w kółko o tym samym. Minęło dwadzieścia lat. Nie wiem, czy chcę, by codziennie przyłaził tu ktoś z ośrodka i wypytywał.

Miałem właśnie rzucić jakąś ciętą ripostę, ale w tym momencie na zapleczu rozległo się jakieś chrupanie, potem pisk i z pokoiku wytoczył się ogromny kocur i wskoczył na ladę. Jego ogon miał grubość mojego ramienia.

– Nigdy w życiu nie widziałem większego kota! – stwierdziłem, głaskając go.

– To Cujó, maine coon. – Nikki uśmiechnęła się jak dumna matka.

– Cujó...?

– No wiesz, mnie to bawi.

Kot podłożył głowę pod moją dłoń i zamruczał.

– Przepiękny...

– I dobrze o tym wie – potwierdziła.

Przez chwilę rozkoszowałem się miękką sierścią.

– Czy Everett Miller zostawił tu jakąś rodzinę, przyjaciół?

– Nie. – Znowu nieprzyjemny grymas. – Dlaczego tak wypytyjesz? Jesteś reporterem?

– Tak, jestem dziennikarzem – potwierdziłem.

– W takim razie muszę poprosić cię o opuszczenie mojego sklepu.

Zanim zaprotestowałem, odeskortowała mnie do wyjścia. Bałem się, że wyrwie mi książkę, ale tylko przytrzymała przede mną skrzydło drzwi. Wyszedłem, skonfundowany.

– Lepiej będzie dla ciebie, jeśli przestaniesz się tym interesować. Przestań wypytywać.

Musiałem wyglądać na naprawdę zbitego z tropu.

– Prędzej czy później wpadniesz na kogoś, kto nie będzie tak uprzejmy jak ja.

Zamknęła drzwi i przekręciła zamek.

Tym stwierdzeniem tylko rozbudziła moją ciekawość.

ROZDZIAŁ 7

PONIEDZIAŁEK

Coś leżało na ziemi przed domkiem Butlerów. Stałem przy kuchennym oknie, gapiąc się w przestrzeń i wspominając dawną ostrość wzroku. Byłem zmęczony, a przez jet lag nie mogłem zasnąć. Ślęczałem więc nad notatkami do artykułu, który zamierzałem napisać.

Zanim opuściłem Penance, nieco roztrzęsiony po niefortunnym spotkaniu z Nikki, udało mi się złapać zasięg. Wklepałem w wyszukiwarkę „zabójstwa Penance 1999” i wyskoczyło kilka notek prasowych z gazety z Portland i nieistniejącego już periodyku z hrabstwa Aroostook. Zdjęcia ofiar, Erica i Sally, w tym jedno z jej ślubu, na którym stała uśmiechnięta przy Nealu, swoim mężu. Chyba redaktor z „Orła Aroostook” chciał w ten sposób ustosunkować się do zdrady i było to widać również po języku, jakim została napisana notka. Autor sugerował, że nauczyciele zapłacili za zdradę. Między wierszami wyczytałem coś w stylu „śmierć za zdradę”.

Bardziej jednak interesował mnie przedruk portretu Everetta Millera ze szkolnej kroniki. Zszokowała mnie informacja o jego wieku, bo w dniu zabójstwa miał zaledwie siedemnaście lat.

Na fotografii widniał chłystek z długimi, czarnymi włosami i rzadką brodą. Oczy miał obwiedzione ciemną kreską, jakby niedokładnie zmył makijaż, zanim zrobiono zdjęcie. Rozbiegane spojrzenie nie było skierowane w obiektyw. W gazecie z Portland pojawiły się krótkie rozmowy z ludźmi, którzy określali go mianem „dziwadła” albo „odmieńca”. Kilkoro z nich zrzucało winę na „szatańską muzykę”, jakiej słuchał. Ktoś stwierdził, że z pewnością jest fanem Marilyna Mansona.

Cofnąłem się myślami do przeszłości. To morderstwo wydarzyło się kilka miesięcy po strzelaninie w Columbine. Sprawcy masakry deklarowali, że są

członkami grupy zwanej „Mafią Płaszczową”, ale media skupiły się na fakcie, że słuchali Mansona. Swego czasu napisałem o tym felieton. Latem dziewięćdziesiątego dziewiątego na muzyka i jego fanów zwalano całe zło tego świata. Z tego, co się zorientowałem, Everett gustował w jeszcze cięższym graniu, w utworach, których nawet MTV nie chciało puszczać, więc jakoś specjalnie mnie nie dziwił fakt, że mieszkańcy Penance właśnie jego uznali za winnego zbrodni, zwłaszcza gdy przypomniałem sobie teledysk Wolfspear, o którym opowiadał David. Znalazłem go w sieci na Reddicie i faktycznie był mocno niepokojący z całym tym seksem i krwawą jatką w lesie. Potrafiłem sobie wyobrazić odtwarzanie tego w sądzie w celu przekonania przysięgłych, że Everett lubuje się w przemocy. Taki dowód mógł posłać człowieka za kraty.

Nie było jednakże również jednoznacznych dowodów poświadczających jego niewinność. Na miejscu zbrodni technicy znaleźli jego bandanę, no i gdy tylko pojawił się cień podejrzenia, chłopak zwał. Z tego, co wywęszyłem, ostatni raz widziano Millera na kilka godzin przed morderstwem, podczas kolacji. Matka nie była w stanie stwierdzić, czy w ogóle położył się do łóżka tamtej nocy, bo miał w pokoju taki bałagan, że rzadko tam wchodziła. Stwierdziła tylko, że był bardzo skryty.

Ale czy to świadczyło o jego winie? Najwyraźniej. Nie byłem w stanie go odnaleźć, ale też nie o tym miał być artykuł. Zamierzałem nakreślić jego portret. Nikki twierdziła, że wszyscy w okolicy go znali. Miałem nadzieję znaleźć ludzi, którzy będą bardziej skorzy do rozmowy z dziennikarzem niż księgarka.

Znowu spojrzałem na coś, co znajdowało się w trawie przed domkiem Davida i Connie. Jakież przycupnięte zwierzę?

Zabrałem ze sobą kubek świeżo zaparzonej kawy i wyszedłem, by rzucić okiem. Miałem na sobie tylko biały szlafrok, który był w wyposażeniu domku. Boso przeszedłem ścieżką i wstąpiłem na trawnik Butlerów.

To w istocie było zwierzę. Z daleka zdawało mi się, że kot, ale gdy podszedłem bliżej, stworzenie okazało się wielkim białym królikiem o zakrwawionym brzuchu. Po jego pyszczku leniwie przechadzały się muchy, a martwe oczy wpatrywały się w przestrzeń. Na rozdartym gardle zebrało się jeszcze więcej owadów.

Cieszyłem się, że Frankie jeszcze śpi. Wpadłaby w panikę na taki widok, bo ten zdechłak wyglądał niemal dokładnie tak, jak jej ulubieniec Swifty,

który został pod opieką matki. Dziewczyna była do niego bardzo przywiązana, wrzucała słodkie fotki futrzaka na Instagram. Jej zwierzak miał tam własne konto, które było popularniejsze niż moje...

Zerknąłem zaniepokojony w stronę naszej chatki, bojąc się, że Frankie się z niej wyłoni i zobaczy tę makabreskę, ale zamiast tego otworzyły się drzwi Butlerów i pojawił się w nich David. Wyglądał jak każdy o siódmej rano, w T-shircie i gaciach, niemiłosiernie rozczochrany.

– Tom? Co tam?

Wskazałem na truchło.

– Łooo! Ale wielki królik!

Podszedł powoli, nie odrywając wzroku od padliny. Za nim w progu pojawiła się Connie odziana w taki jak mój szlafrok, podpierając się laską. Zza jej pleców wyglądał Ryan, a oczy miał wielkie jak spodki.

– Podejdę do recepcji, niech przyślą kogoś, kto się tym... zajmie – zaofiarowałem się.

David mnie nie słuchał.

– Jak myślicie, co mu się stało? Spotkanie z kotem? Z lisem? – Pochylił się, by spojrzeć na rozorane gardło. – Ale to mi wygląda na czyste cięcie.

Spojrzałem na niego jak niemota.

– Ale że co... Że jakiś człowiek to zrobił? Nożem?

Podniósł się z kucek, chichocząc.

– Nie no, coś ty, jaja sobie robie! Pewnie lis. Albo jakiś taki duży kot, no wiesz, maine coon.

Przed oczyma stanął mi Cujo, kot Nikki.

– Nie będziemy straszyć recepcjonistki, sami się tym zajmiemy.

Zniknął we wnętrzu i wrócił w rękawiczkach i z workiem na śmieci. Podniósł trupka za zadnie nogi.

– W mordę, ale ciężki bydlak!

Wpakował go do czarnego worka, który następnie wyrzucił do pobliskiego śmietnika.

– No i proszę, zrobione!

– Posłuchajcie... – Chociaż patrzyłem na Ryana, zwracałem się do nich wszystkich. – Nie możemy powiedzieć o tym Frankie. Ma takiego samego

królika, byłoby jej cholernie smutno.

– Oczywiście – zgodziła się Connie.

– Swifty – odezwał się Ryan. – Opowiadała mi o nim.

Kobieta przysiadła przy stoliku na tarasie.

– Chyba słyszałam, co się działo w nocy. Obudziłam się koło trzeciej, poszłam do łazienki, a gdy wracałam, słyszałam jakiś rumor na zewnątrz. Sądziłam, że to jakieś walczące szopy, więc po prostu poszłam spać.

– Założę się, że to lis – rzekł David tonem znawcy. – Cholernie się ich boję! Gdy byłem dzieciakiem, hodowaliśmy kurczaki. Tom, chcesz dolewkę? – zapytał ni stąd, ni zowąd, patrząc na mój kubek.

– Dzięki, jeszcze mam.

Gdy odchodziłem, przypomniałem sobie wyraz twarzy Ryana. Może dosłyszał, jak ojciec mówił o cięciu nożem? Zauważył, że na niego patrzyłem, i odwrócił wzrok.

Na tarasie domu naprzeciwko siedziała Tamara i usiłowała dojrzeć, co się dzieje, więc podszedłem wyjaśnić.

– Co tam się wyprawia? – zapytała.

Streściłem jej całe zajście.

– Natura, bezlitosna, pazurzasta i zębata – podsumowała. – Ale to dziwne trochę...

– Co?

– Och, to pewnie jakiś majak... Słabo sypiam, lekko, szczególnie od czasu, gdy... – zawiesiła głos, nie zamierzała dokończyć tego zdania. – Zdawało mi się, że słyszałam coś w środku nocy, jakieś szepty. Dwojga ludzi.

Musiała zrzędnać mi mina, bo szybko dodała:

– To pewnie tylko moja wyobraźnia. Chyba wiem, dlaczego mogłam się przesłyszeć. Wczoraj wdałam się w pogawędkę ze starszą parą w recepcji. Chcieli zmienić domek, a wiesz dlaczego?

Zamiast dopytać, zczekałem, aż sama odpowie.

– Twierdzili, że ich jest nawiedzony.

– Jaja sobie robisz...

– Nie. Zarzekali się, że w nocy słyszą jakieś głosy. I czują czyjąś obecność. Jakby ktoś czał się w ciemności na zewnątrz. Są przekonani, że to ci

nauczyciele, ci sami, o których opowiadałeś.

– Eric i Sally.

– Tak, jakkolwiek im tam było. Stek bzdur, ale pewnie podziało na moją podświadomość.

– A może to jakaś parka letników szła na randkę w blasku księżyca?

– Może. – Spojrzała w stronę trawnika, na którym jeszcze chwilę temu leżał martwy królik. – Nie przejmowałabym się tym. W końcu nikt z nas nie jest królikiem. Ale wiesz co, nie opowiadaj o tym Donnie. Ona jest czasami... Jakaś taka przesądna.

Znowu odniosłem wrażenie, że częstuje mnie tylko półprawdą. Zatajała coś na temat Donny. Przytaknąłem jednak i zapewniłem:

– Oczywiście, będę milczał jak grób.



Dwie godziny później staliśmy z Frankie na łące na obrzeżach ośrodka i zbroiliśmy się na lekcję łucznictwa. Poprzedniego dnia nas zapisałem i zdradziłem jej niespodziankę przy śniadaniu. Trochę jęczała, ale gdy już wlokłem ją na strzelnicę, rozpogodziła się. Nie pisałem słówka o martwym króliku.

– No więc, jak ci się podobają takie wakacje? – zapytałem, bo to była pierwsza rzecz, którą mieliśmy zrobić wspólnie. Kolacji nie liczyłem.

– Znośne. – Uśmiechnęła się, wiedząc, że taka zdawkowa odpowiedź mnie rozczaruje. – Całkiem fajne miejsce. Zapomniałam nawet o tym, że nie ma zasięgu.

– Serio? Bo mnie to wciąż gryzie.

– Tęsknisz za Netflixem? Czy Facebookiem?

Natrząsała się ze mnie, podobnie jak z własnej babci, która jeszcze pod koniec lat osiemdziesiątych miała czarno-biały telewizor.

– A co, powinienem całymi dniami uczyć się nowych choreografii z TikToka?

– Już to widzę, staruszkule!

Zaśmiałem się.

– Wiesz, ja jestem z pokolenia X. Do twojej wiadomości: z najlepszego pokolenia.

– Tak sobie powtarzaj, tatuśku!

Tak właśnie zamierzałem.

Nasz instruktor miał może trzydzieści lat i nosił imię Carl. Był całkiem łysy, ale miał ryżawą brodę i wąsy, taki trochę Walter White z *Breaking Bad*, ale piętnaście lat młodszy. Zapytał, czy kiedykolwiek trzymaliście łuk.

– Ostatni raz, jak byłem dzieciakiem – rzuciłem zdawkowo, nie zamierzając informować go o tym, że mój ojciec był mistrzem amatorów w łucznictwie, bo tylko niepotrzebnie by sobie czegoś nawyobrażał na temat moich umiejętności.

– Jesteście Angolami? To chyba macie to we krwi, co? Robin Hood i te sprawy!

– Obawiam się, że możemy zawieść oczekiwania, jakie pokłada w nas ojczyzna...

Carl mrugnął do Frankie.

– Mam wrażenie, że tobie pójdzie świetnie, a tatusiek, no cóż...

Uśmiechnęła się.

Objął budowę łuku i zmierzył długość zasięgu ramienia, by dopasować wielkość.

– Dobra, to kto pierwszy? – zapytał. – Pokażesz staruszkowi, jak to się robi?

– Niech on zacznie! – Frankie spojrzała na mnie.

– No dobra.

Pierwsza strzała nawet nie otarła się o tarczę.

– Może nie powinienem wspominać o Robin Hoodzie... – podsumował Carl i roześmiał się, jakby to był przedni żart.

Szło mi jednak coraz lepiej. Zacząłem trafiać w tarczę i choć większość strzał wbijała się na brzegach w białe pole, to ze dwa razy trafiłem w czarne i nawet w niebieskie. Wolny progres frustrował, lecz mimo to dobrze się bawiłem. Przypomniało mi się, jak tata zabierał mnie i siostrę na zawody i od czasu do czasu pozwalał nam postrzelać.

– Nieźle! – stwierdził w końcu Carl. – Teraz twoja kolej! – zwrócił się do Frankie i wręczył jej łuk. – Stopy rozstaw na szerokość barków. Stajesz prostopadle do celu, właśnie tak. Trzymaj łuk z wyczuciem, nie musisz go udusić. Dobrze, bardzo dobrze. Gdy naciągasz cięciwę, używasz całego ciała, nie tylko ręki. Przyłóż mały palec do kącika ust i spójrz przez muszkę na cel. Dokładnie tak!

Wypuściła strzałę, ale przeleciała ponad tarczą.

– Niezła próba, ale nie martw się, nikt nie trafia za pierwszym razem. Tacie też się nie udało.

Frankie przybrała już ten zdeterminowany wyraz twarzy, który tak dobrze znałem. Wyglądała tak za każdym razem, gdy stawała w obliczu wyzwania, czy to było zawiązanie sznurówek, czy też skopanie komuś tyłka w *Super Mario*. No i już za drugim razem trafiła w niebieskie pole.

– Świetnie! – wykrzyknął Carl.

Kolejną strzałą trafiła w zewnętrzne złote pola. Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Nooo! – rzucił Carl z podziwem. – Chyba zacznę nazywać cię Katniss!

Szczerząc się, przybili piątkę, chociaż widziałem, że jest mocno zażenowana tymi pochwałami. Kiedyś uwielbiała *Igrzyska śmierci*, zarówno książki, jak i filmy, ale chyba już z tego wyrosła. Nie nadążałem za jej kolejnymi fazami.

Patrzyłem z przyjemnością, jak wypuszcza strzałę za strzałą, podziwiałem koncentrację i to, jak łuk już po chwili zdawał się przedłużeniem jej ramienia. Skupiona, patrzyła na cel.

Trafiła w złote pole raz za razem.

– Wow! – Carl nie mógł wyjść z podziwu. – Masz naturalny talent!

– Dzięki...

Frankie strzelała sobie w najlepsze, więc Carl zamierzał przejść do kolejnej pary nowicjuszy, jednak zatrzymałem go i zapytałem pozornie niezobowiązująco:

– Dorastałeś w tej okolicy?

– Tak. Piękna miejscówka, co?

– Piękna.

Musiał być w wieku zbliżonym do Nikki z księgarni.

– Słyszałem, że...

– Jeśli zamierzasz mnie pytać o to, czy pamiętam dziewięćdziesiąty dziewiąty – przerwał mi, uprzedzając pytanie – to nie chcę o tym rozmawiać. Nie będę rozsiewał plotek.

– Jakich plotek?

Frankie nie słuchała, posyłając w cel strzałę za strzałą.

– Skoro nie wiesz, o czym mówię, to tym bardziej nie zamierzam zaczynać – dokończył, wyraźnie rozeźlony.

– Chodzi o to, że podobno Everett wciąż kryje się gdzieś w okolicznych lasach?

Podszedł bliżej.

– Przyleciałeś z Anglii taki kawał z powodu tamtej zbrodni?

– Nie, ja tylko...

– Weź się lepiej skup na przyrodzie! – przerwał mi. – Wspaniałe lasy. Jezioro. Czyściutkie powietrze. To powinno wystarczyć za atrakcje. To nie jakiś rozrywkowy park grozy.

– Ale ja nie przyjechałem tu w poszukiwaniu mrocznych wrażeń.

– Skoro tak twierdzisz... – Odwrócił się do Frankie. – Dobra robota, młoda! – rzucił i odszedł.

ROZDZIAŁ 8

Frankie nigdzie nie mogła znaleźć swojej designerskiej butelki i była przekonana, że ojciec ją za to zamorduje.

Pamiętała pierwszą rozmowę na temat tego gadżetu. Matka odmówiła kupna, więc zagadnęła tatę, gdy rozmawiali przez komunikator.

– Butelka na wodę? Pewnie, wyślij mi link.

Zrobiła to i czekała w napięciu na reakcję.

– Czekaj... Pięć dych za butelkę?

– To nie jest jakaś tam butelka, to coś o wiele więcej. I ta jest z limitowanej edycji!

Ultramarynowa, ze słomką w wieczku i szeroką szyjką. Wszystkie dziewczyny w szkole nosiły podobne, ale żadna nie miała aż tak fajnej. Frankie była pewna, że gdy przyniesie ją do szkoły, jej popularność wśród rówieśników skoczy o dwieście procent.

Przez tydzień przerzucali się mailami, w których Frankie

dowodziła, jak bardzo niezbędna jest jej ta butelka, jak bardzo jej potrzebuje, a ojciec wciąż podsyłał linki do koszmarnych podróbek. W końcu, gdy nazgarniała dobrych ocen podczas egzaminów końcowych, ojciec się zgodził i od tego czasu dziewczyna wszędzie ją ze sobą nosiła. Choć z oczywistych względów jej popularność z powodu butelki na wodę nie podskoczyła, to widziała, że niektóre dziewczyny zerkają na gadżet z zazdrością. Tak czy inaczej, uwielbiała ją.

A teraz ten przedmiot uwielbienia zaginął.

Bez sensu. Przecież zawsze miała ją w zasięgu wzroku. Wczoraj wzięła ją ze sobą, gdy z Ryanem wybrali się do Penance. Zaczęła szukać rano, gdy szykowali się na strzelanie, i ostatecznie bawiła się lepiej, niż przypuszczała. Teraz, po powrocie, gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć, co z nią

zrobiła. Była pewna, że przyniosła ją do domku po lunchu z Ryanem i jego rodzicami. Przyniosła, na pewno.

Czuła w żołądku ucisk niepokoju, twardą, zimną kulę.

Uwielbiała tę butelkę i obiecała tacie, że będzie pilnować jej jak oka w głowie. Jej znajomi nie dbali o to, czy zniszczą telefon albo zgubią coś, bo rodzice od razu to odkupywali bez słowa protestu. Frankie uważała, że dbałość o własne rzeczy to coś, z czego może być dumna.

Gdzie ona, do diabła, się podziała?

– Hej! – krzyknęła do ojca. – Wychodzę!

– A dokąd idziesz? – odkrzyknął.

Zdawał się mieć dobry humor. Był podekscytowany, coś tam ścibolił w swoim notatniku. Podczas strzelania również dobrze się bawił i ciągle gadał o tym, jaki to jego córcia ma wielki talent, że powinna zająć się łucznictwem na poważnie po powrocie do domu, brać udział w zawodach, wygrywać trofea. Może to stanie się jej nową pasją? Dlaczego starzy zawsze tak naciskali? Dobrze się bawiła, ale wizja rywalizacji psuła całą zabawę.

– Idę po lody! – odpowiedziała.

Wcale nie poszła do budki z lodami, a zamiast tego udała się do spożywczaka, żeby oderwać myśli od zgubionej butelki. Sklepik był malutki; znajdował się w nim również niewielki stojak z płytami DVD do wypożyczenia, gazetami i książkami. DVD. Czy w dzisiejszych czasach ktoś jeszcze miał odtwarzacz? Co za zacofane miejsce! Stojaki z przekąskami wypełnione były kolorowymi opakowaniami pełnymi wszystkiego, co matka zabraniała jej brać do ust. Chipsy, orzeszki w chrupiącej panierce, pianki. Dreptała przy półkach, zastanawiając się, czy tata kupi jej coś takiego, a potem nagle przypomniała sobie, że przecież nie jest już dzieckiem. Jeśli zechce jeść pianki, ojciec uzna, że jednak jeszcze jest.

Za ladą stała kobieta przypominająca jej babcię z Albany.

– Cześć, słonko! – przywitała ją.

– Eee... Czy może mi pani pomóc? Zgubiłam gdzieś butelkę na wodę. Taka metalowa, niebieska. Może ktoś przyniósł tu coś takiego?

Kobieta pokręciła głową, ale zajrzała na zaplecze i zapytała kogoś, kto się tam krył.

– Może w recepcji coś wiedzą? Tam jest biuro rzeczy znalezionych.

Recepcja znajdowała się w dużym budynku położonym niedaleko bramy wjazdowej do ośrodka. Frankie, ze łzami w oczach, podeszła do lady i czekała, aż jakaś mrukliwa baba skończy gadać przez telefon. W drzwiach prowadzących nie wiadomo dokąd pojawił się wielki facet w opiętej czerwonej koszulce polo, z plakietką na piersi.

Greg Quinn. Kierownik.

– Dzień dobry! – przywitał ją, patrząc jakoś tak dziwnie, jak wszyscy mężczyźni ostatnimi czasy. – W czym mogę pomóc, kochanie?

Nienawidziła, gdy tak się do niej zwracano, ale powstrzymała się od grymasu.

– Czy jest tu biuro rzeczy znalezionych? – zapytała zmieszana, bo nie lubiła odzywać się do obcych, a już szczególnie do facetów.

Ramiona mu opadły, jakby pomyślał o niej jak o kolejnej desperatce.

Opisała mu butelkę.

– Nie widziałem nic takiego.

– Na pewno? Muszę ją znaleźć, bo tata mnie zabije!

Wzdrygnął się.

– Jestem pewien, że twój tata nie... – Chyba dostrzegł panikę w jej twarzy, bo zmienił ton: – Ale może pójdziemy do biura i poszukamy?

Ruszył w stronę drzwi i skinął, by poszła za nim. Normalnie by się zawahała, w końcu całymi latami ostrzegano ją przed zadawaniem się z nieznajomymi, ale przecież widziała ich ta kobieta zza lady. Mogła zacząć wrzeszczeć, gdyby zrobił coś głupiego, ale prawdopodobnie nie zamierzał niczego próbować. Usłyszała w głowie głosy przyjaciół, którzy śmiali się, że uwielbia dramatyzować.

Poza tym naprawdę potrzebowała pomocy w poszukiwaniach.

Przeszli do dużego biura, w którym stało biurko z komputerem, jakieś szafki, a na ścianach wisały rozliczne oprawione fotografie.

– Dobra... – Rozejrzał się niepewnie. – Gdzie jest to pudło ze znaleziskami...

Gdy on przeszukiwał szafki, Frankie oglądała zdjęcia. Teren ośrodka, rzędy namiotów, grupki skautów i harcerek ze śmiesznymi fryzurami, odzianych w retro ciuchy, pewnie z lat dziewięćdziesiątych, a może nawet osiemdziesiątych. Na jednej fotografii, zrobionej nad brzegiem jeziora, stało

dwóch chłopaków i dziewczyna w zbliżonym do niej wieku. Mieli na sobie T-shirty i dżinsy.

Greg postawił na biurku duże kartonowe pudło.

– Fajne fotki, nie? – zapytał.

– Fajne ciuchy mieli... – stwierdziła, no bo co innego mogła powiedzieć?

– No! W latach dziewięćdziesiątych wszyscy się tak ubieraliśmy. – Wskazał na jednego z chłopaków. – To ja.

– W życiu! – Chłopak na zdjęciu był bardziej postawny niż pozostała dwójka i Frankie z zażenowaniem stwierdziła, że nawet był fajny.

– Serio! – Uśmiechnął się. – To tu, niedaleko, nad jeziorem.

Serio? Wcale nie chciała z nim rozmawiać, ale ewidentnie czekał na jakąś odpowiedź, więc zagaiła:

– A więc... Przyjeżdżał pan tutaj za młodu?

– Czy przyjeżdżałem? Ja się tu urodziłem. W Penance. Włóczyliśmy się sporo nad tym jeziorem.

Gadał i przewalał przedmioty w pudle, a ona wstrzymała oddech w oczekiwaniu.

– Przykro mi, kochanie, nie ma tu butelki. Nie pamiętasz, gdzie ją zostawiłaś?

– Nie... – Czowała, że zaraz się rozpłacze, a on to chyba zauważył, bo szybko dodał: – Ale zapytamy jeszcze Vivian.

Wyszedł, a wzrok Frankie padł na przedmiot na biurku. Router Wi-Fi. Mieli tu neta! Niestety, zahasłowany...

Greg wrócił, ocierając czoło chusteczką.

– Przykro mi, nie ma... – Zobaczył, że dziewczyna trzyma w dłoni telefon. – Chcesz się połączyć?

Czowała, że musi się usprawiedliwić, ale on tylko się uśmiechnął, a w jego policzkach pojawiły się dołki.

– Dokucza ci odstawienie od netu, co? Chcesz się na chwilę zalogować?

Sięgnął do biurka po jakąś karteczkę, na której widniało hasło *Zdroje321*. Szkoda, że nie łatwiejsze, sama by pewnie za chwilę zgadła.

– Możesz tu wpadać, żeby posprawdzać sobie maile czy TikToka. Tylko nie mów nikomu, okej? To będzie nasza tajemnica.

No dobra, to już śmierziało jakąś perwersją.

Zerknęła na ekran, pojawiła się ikonka zasięgu.

Facet nie przestawał gadać:

– Pewnie twój tata nie zdaje sobie sprawy z tego, jakim jest szczęściarzem. Na pewno masz świetne oceny i nie wdajesz się w konflikty z rówieśnikami. Jeśli ojciec będzie ci robił jakiegokolwiek wyrzuty z powodu zgubionej butelki, przyślij go do mnie i już ja mu wytłumaczę, jak okazać wdzięczność za taką córkę.

W tym momencie Frankie stwierdziła, że Greg jest jakimś dziwadłem. Wstała, ale właśnie wtedy jej telefon rozdzwonił się kakofonią popiskiwań i plumkań, tak samo jak w Penance, gdy pojawił się zasięg. Wyświetliły się zagajenia na WhatsAppie, naliczenia polubień na Insta. Dziwne, znajomi zwykle nie zalewali jej lajkami, no chyba że wrzuciła zdjęcie Swifty’ego, na którym wyglądał wyjątkowo słodziaśnie.

– Jeśli będziesz jeszcze chciała tu wpaść i sobie posurfować w sieci, to serio nie ma problemu. Byłoby miło, gdybyś...

Nie słuchała go.

Przewijała Instagram, zapomniawszy zupełnie o zgubionej butelce.

Poczuła, jak krew w jej żyłach ścina mróz.

Wybiegła z biura, ignorując Grega.

Musiała jak najprędzej odnaleźć Ryana!



Jego matka siedziała na tarasie, czytając *Zniknę w ciemności*.

– Cześć, Frankie! Ryan gra z tatą w tenisa.

Korty znajdowały się po drugiej stronie, niedaleko recepcji, z której właśnie wróciła, tuż obok dużej polany z placem zabaw dla dzieci. Minęła puste miejsce zabaw, dziwiąc się, że w ośrodku nie ma żadnych maluchów. Zatrzymała się jednak, dostrzegłszy sylwetkę Ryana na huśtawce. U jego stóp leżała rakietka.

Podeszła.

– Już po meczu?

– Ta – mruknął. – Ojciec miał przyjść pograć dwadzieścia minut temu, ale się nie pojawił. Dupek.

Zaszokowała ją ilość jadu pobrzmiwającego w tych słowach.

– Może zatrzymali go jacyś fani – dodał chłopak.

– Fani?

– Ta. Pełno tu dziwaków brandzlujących się podcastem mamy. Kilka razy coś tam z nią nagrywał. – Ściągnął brwi. – Miały być wspólne wakacje...

Ryan zeskoczył z huśtawki, łańcuchy skrzypnęły. Podniósł raketę i ruszył przed siebie, a Frankie poszła za nim.

– Wiesz co! – zagała. – Przyszłam ci coś pokazać.

Przyspieszył, ignorując ją, więc podbiegła i chwyciła go za łokieć.

– Patrz na to! – podniosła głos.

Przystanął i wpatrzył się w nią nieprzytomnie. Wyciągała w jego stronę telefon i choć już nie było zasięgu, na ekranie wciąż migwały fotki, które załadowały się w biurze. Zaczął dopytywać, gdzie znalazła zasięg, ale przerwała mu:

– Poczytaj komentarze!

Zatrzymała na ekranie zdjęcie, które zrobił, gdy byli w miasteczku. Oznaczył ją, dlatego jej się wyświetliło.

Przybywajcie do odbytu świata! Penance w Maine. Tutaj psy na złomowisku mają wyższe IQ niż mieszkańcy. #Penance #dziura #wakacjedupy

Pod spodem widniały komentarze:

Pierdol się, turysto!

Mój pies ma wyższe IQ od ciebie!!

Ryan się zaśmiał.

– Oj, chyba wkurzyłem tubylców!

– To jeszcze nic, spójrz na to! – Wyświetliła zrzuty ekranu prywatnych wiadomości, które dostała.

Lepiej się oglądaj za siebie idziemy po ciebie.

Zwiewaj króliczku zwiewaj zwiewaj zwiewaj...

Najpierw cię zgwałcę i każę twojemu durnemu chłopakowi patrzeć, a potem zabiję was OBOJE.

Całe tuziny takich wiadomości, wysłanych z anonimowych kont oznaczonych głupawymi awatarami. Frankie poczuła, że zbiera jej się na mdłości. Miała już do czynienia z internetowym prześladowaniem, ale nigdy z niczym tak bezpośrednim.

– Przeczytaj ten! – Przewinęła. – *Wiemy, gdzie mieszkacie.* I ten drugi: *Karaluszki pod poduszki!* O co im chodzi?

Spodziewała się, że Ryan będzie w szoku, że się przestraszy jak ona, ale on tylko znowu się roześmiał.

– No przestań, to zwyczajne trolle! To nic nie znaczy, każdy mógł coś takiego napisać. – Przerwał, zauważając, jak bardzo jest zdenerwowana. – To nie są żadne realne pogróżki, zignoruj to wszystko.

– Powinieneś usunąć ten post – zasugerowała. – Albo przeprosić. Albo lepiej i to, i to.

– Co? Nie zamierzam za nic przeproszać! Mam błagać o wybaczenie jakiegoś obrażonego dziesięciolatka, co się za klawiaturą wyżywa? Przestań się przejmować.

– Ale...

– Przestań! – Oddał jej telefon. – Wyluzuj, Frankie, okej? To puste pogróżki wypisywane przez półmózgi z lasu. Chodźmy na lody. Ja stawiam!

Ruszył przodem, beztroski. Usiłowała myśleć podobnie, myśleć, że to tylko głupie, sfrustrowane trolle, że nie trzeba się przejmować. Coś jednak przemknęło przez twarz Ryana, gdy czytał te komentarze i wiadomości. Przebłysk strachu, zanim przykrył go maską nonszalancji.

ROZDZIAŁ 9

Zjedliśmy z Frankie kolację w restauracji w ośrodku, a potem na wieczór wypożyczyliśmy film z Jackiem Blackiem *Szkoła rocka*. Gdy wróciliśmy do domku, Frankie zatrzymała się w progu.

– Coś się tutaj zmieniło...

– Co niby?

Rozejrzała się, zaciągnęła zapachem wnętrza.

– Nie wiem, może to tylko moja wyobraźnia.

Uwielbiała film, który wybraliśmy, ale nie śmiała się przy nim tak jak zwykle. Była niespokojna, jednak zapytana twierdziła, że wszystko w porządku. Czyżby już zdążyła pokłócić się z Ryanem? A może tęskniła za mamą i przyjaciółmi? No i „odcięcie od neta” też dobrze jej nie robiło. W mojej głowie brzmiało to jak rozważania smutnego staruszka odejmującego sobie lat młodzieżowymi wyrażeniami.

– Idę spać – oznajmiła, gdy film się skończył.

Pożyczyła od Ryana powieść Stephena Kinga; czytałem ją wiele lat temu i coś mi się zdawało, że to nie jest odpowiednia lektura na ten czas i to miejsce. Uważałem jednak, że trzeba zachęcać dzieci do czytania, a skoro Frankie robiła to sama z siebie, nie zamierzałem jej zniechęcać. Choć często gapiała się w telefon, dużo czytała, co niezmiernie mnie cieszyło. Wyrastała kolejna miłośniczka książek.

– Na pewno wszystko w porządku? – zapytałem. – Wiesz, że gdy coś cię trapi, zawsze możesz ze mną pogadać.

Zawahała się.

– No dalej, możesz się wygadać staruszkowi.

Chyba źle to ująłem, bo tylko się skrzywiła i ponownie oznajmiła:

– Idę spać.

Nalałem sobie kieliszek wina i wyszedłem na zewnątrz. Między drzewami widać było gwiazdy, a powietrze było aromatyczne. Znienacka pojawiła się melancholia. Zawaliłem małżeństwo, a od córki oddzielały mnie tysiące mil. Zawaliłem również karierę, a moje konto bankowe świeciło pustkami.

Wróciłem do środka po notatnik. Zapisałem już kilka luźnych pomysłów, ale raczej w formie strumienia świadomości, a nie uporządkowanych notatek.

Zacząłem pisać na czystej stronie:

Morderstwa. Czy to Everett Miller? Czy naprawdę to zrobił? Plotki, że wciąż tu jest, są niedorzeczne, ale dodają smaczku tej nierozwiązanej tajemnicy.

Turyści odwiedzający miejsca zbrodni. Podcasty o zbrodniach. Dlaczego ludzie tak się tym fascynują? Porozmawiać z fanami Connie. Jaki jest stosunek kierownictwa ośrodka do całej sprawy? To pomaga czy przeszkadza w interesie?

Greg zdawał się zniesmaczony, gdy zacząłem o tym mówić, ale czy na serio się przejmował, skoro tamte wydarzenia ściągały tu turystów?

Pogańskie rytuały. Czy istnieje lokalna historia związana z czarną magią? Jak mają się do tego muzyka i media?

Ofiary. Kim były? Czy rozmawiać z ich krewnymi? Jak się czują w sytuacji, w której sprawiedliwość nie została wymierzona?

Nagle dotarło do mnie, że to ważny aspekt sprawy. Eric i Sally zdradzali współmałżonków. Jak się oni poczuli, gdy zdali sobie sprawę z tego, że tamci nie żyją, ale że zginęli, zdradzając? Gdybym skupił się tylko na tym, to i tak wyszedłby interesujący materiał. Może powinienem porozmawiać z żoną Erica i mężem Sally, jeśli oczywiście zdołam ich odnaleźć.

Zmęczyły mnie te dywagacje, więc poszedłem pod prysznic. Usiłowałem nie myśleć o pisaniu, ale wówczas przed oczami wciąż stawała mi Nikki z księgarni. Spotykałem mnóstwo kobiet, które zdawały mi się atrakcyjne, ale żadna nie tkwiła w mojej głowie tak niestrudzenie. Coś pomiędzy nami

zaiskrzyło, byłem tego pewien. Spieprzyłem sprawę, ujawniając, że jestem dziennikarzem. Może powinienem tam wrócić i spróbować jeszcze raz?

Zatopiłem się w myślach na tak długo, że skończyła się ciepła woda. Wyszedłem z kabiny i zauważyłem, że zaparowała nie tylko łazienka, ale i przyległa sypialnia. Para pokryła mętnym filmem szyby w oknach. Wytarłem się i narzuciłem szlafrok. Podeszedłem do okna i od niechcienia przetarłem jedną z szyb rękawem.

Ukazała się za nią twarz.

Odkoczyłem, ale ponownie dopadłem okna, usiłując coś dojrzeć w ciemności. Musiało mi się przywidzieć! A może to po prostu moje odbicie? Złudzenie było jednak mamiące, jakby ktoś stał parę metrów od domku i gapił się na mnie. Coś było jednak nie tak, jakbym nie patrzył w ludzkie oblicze. Twarz była biała jak mleko, a oczy czarne jak węgle. Coś wystawało z czoła.

Rogaty Bóg.

Spróbowałem się zaśmiać, bo to przecież było niedorzeczne. Wspomniałem słowa Tamary o ludziach, którzy uważali, że ich domek jest nawiedzony. Nie byłem od nich lepszy. Pewnie zapamiętałem to, co powiedziała Frankie przy wejściu, że coś się tutaj zmieniło.

Wyjrzałem raz jeszcze, żeby się przekonać, że to było moje własne odbicie zdeformowane przez parę, a może przez światła z parkingu za oknem.

Opuściłem rolety.

I usłyszałem krzyk.

To Frankie darła się w swoim pokoju.

Stała przy łóżku, otrzepując się histerycznie, i wydawała z siebie takie jęki, jakby jeszcze nie do końca się obudziła. Spojrzałem w stronę okna, spodziewając się, że będzie otwarte, że ktoś się włamał.

– Frankie?

Gapiała się na mnie nieprzytomnie. Położyłem dłonie na jej ramionach.

– Kochanie!

Zamrugła, jakby dopiero odzyskała przytomność, i odsunęła się.

– Co się stało?

Wskazała na łóżko. Kołdra była odrzucona, poduszki na podłodze.

– Spójrz!

Zapaliłem światło i zobaczyłem, dlaczego tak spanikowała.

Po łóżku łąziły mrówki, ale nie takie maleńkie, pomarańczowe, jakie czasem pojawiają się w angielskich mieszkaniach, tylko wielkie, brązowo-czerwone leśne mrówki, a każda miała z półtora centymetra długości. Całe tuziny, poruszały się we wszystkich kierunkach.

Spojrzałem na Frankie, która cała drżała i drapała się wściekle.

– Swędzi, chyba mnie pogryzły! O Boże, może mam je pod piżamą! – Prawie już łąkała, skubała materiał i podskakiwała w miejscu, przebierając nogami.

– To leśne mrówki, nie są jadowite – uspokoilem ją, bo naoglądałem się programów na Animal Planet.

– Ale to swędzi! Muszę się wykapać! – Wypuściła powietrze ze świstem. – Czuję, że wciąż po mnie łążą!

– Dobra, leć pod prysznic, a ja zadzwonię po sprzątaczkę.

Wybiegła do łazienki. Dochodziła północ, o tej porze nie chciałem tu nikogo widzieć. Mogłem poinformować ich rano.

Usłyszałem szum wody, a po chwili jęk rozczarowania.

– Nie ma ciepłej wody!

– Przepraszam, zużyłem wszystko! – krzyknąłem przez drzwi. – Musisz chwilę poczekać.

Woda poleciała znowu, więc chyba jednak Frankie nie zamierzała czekać. Musiała splukać to wrażenie, że coś po niej pełza.

Wróciłem do jej sypialni, zgarnąłem w tobołek kołdrę i prześcieradło, po czym wyniosłem pościel na taras. Kilka mrówek zostało na podłodze w pokoju; patrzyłem bezradnie, jak rozbiegają się po kątach i znikają wśród cieni.

Frankie wróciła, okryta szlafrokiem, włosy miała owinięte ręcznikiem. Drżała, szcękając zębami. Szkoda, że nie była już malutka, mógłbym jej jakoś pomóc, ale teraz czułem się bezradny.

– Nie cierpię tego miejsca! Mogliśmy jechać do Nowego Jorku!

– Naprawdę tak uważasz?

– Tak! – Zadzwoniła zębami.

– Myślałem, że... – przerwałem, zdając sobie sprawę z tego, że moment nie jest odpowiedni. Właśnie pogryzły ją mrówki podczas snu. To jasne, że w tej sekundzie nienawidziła tego miejsca. – Wysusz się porządnie. Zrobić ci gorącej czekolady? Kupiłem wcześniej.

– Dzięki – odpowiedziała, pociągając nosem.

Nie miała ochoty wchodzić do swojego pokoju, bo przecież wciąż mogło coś w nim łązić. Przyniosłem jej czystą piżamę; poszła przebrać się do mojego pokoju, a ja w tym czasie przygotowywałem czekoladę. Nie wspomniałem ani słowem o twarzy, która mi się przywidziała. Wmawiałem sobie, że te dwa incydenty nie miały punktów stycznych, w końcu jeden z nich nawet nie był realny.

Podgrzewałem mleko, gdy w szparze między drzwiami i futryną pojawiła się głowa Frankie.

– Jestem wykończona, tato, walnę się u ciebie spać.

– Pewnie, moje łóżko jest wygodne.

No bo gdzie niby miała spać?

Sam wypłem przygotowany napój i położyłem się na kanapie. Długo nie mogłem zasnąć, a gdy w końcu mi się udało, śniłem o tym, że wielka mrówka o białej twarzy skrobie w szybę, usiłując ją przegryźć nogogłaszczkami czy innymi szczękoczułkami, jakby była zrobiona z cukru, a ja jestem jej daniem głównym.

ROZDZIAŁ 10

WTOREK

Po tym, gdy ojciec Frankie nad ranem zadzwonił ze skargą do recepcji, pojawiła się nachmurzona baba, będąca najwyraźniej tą Vivian, z którą dziwaczny Greg miał się naradzać w sprawie butelki. Opadła na kolana, rozejrzała się po podłodze i stwierdziła:

- No tak, załęgły wam się leśne mrówki!
- No i co z tym zrobicie? – zapytał ojciec Frankie.

Kobieta podniosła się i otrzepała.

- Wysypimy proszek na mrówki. Niewiele więcej można zrobić.
- Nie moglibyście nas przenieść do innego domku?

Vivian wydawała się zaskoczona, jakby zareagował skrajnie histerycznie.

– Przykro mi, panie Anderson, ale mamy komplet. To tylko mrówki, nie są groźne!

Frankie miała na ten temat inne zdanie, a rzeczony pan Anderson skrzyżował ręce na piersi.

- Pogryzły moją córkę!
- O rany, to na pewno nieprzyjemne! – Vivian zwróciła się do dziewczyny.
- Musiały się ciebie przestraszyć i zaatakowały sprowokowane.
- Może przynajmniej dacie jej nowy materac?
- A po co? To bez sensu! Nie mają gniazda w materacu, już się wszędzie rozbiegły.
- Czy ktoś jeszcze cierpi przez inwazję mrówek?

Vivian zdusiła chichot.

– Inwazję? Nie, nie słyszałam, by ktokolwiek inny się skarżył. To jest ryzyko, które podejmuje każdy, kto decyduje się na spędzenie wakacji na łonie natury. Turyści rozbijający namiot nie mają prawa narzekać na to, że w nocy niedźwiedź przeora ich ekwipunek.

Ojciec Frankie spurpurowiał i kobieta ledwie powstrzymała się od śmiechu. Może i miała rację. Teraz, gdy było już rano, nawet Frankie zauważyła, że niepotrzebnie panikowali. Całe zajście zaczynało zamieniać się w anegdotkę, którą po powrocie będzie mogła opowiadać przyjaciółom.

I wiecie, budzę się w środku nocy, a w moim łóżku inwazja morderczych mrówek!

Wyszła z pokoju, zostawiając Vivian i ojca, który wciąż domagał się działania i nowego materaca.

Przez okno zobaczyła Ryana siedzącego na swoim tarasie, popijał kawę i czytał książkę. Wydał się jej taki dorosły i wyrafinowany. Dlaczego w jej klasie nie było takich chłopaków? Tylko banda niedorosłych zboczków gadających w kółko o baseballu i *Fortnite*.

Wyszła na zewnątrz.

– Cześć! – przywitała się, podchodząc.

– Cześć! – Odłożył książkę, jakiś horror przerobiony na serial Netflixa, o czym informowała naklejka na okładce.

Oglądała to już, grała w nim jakaś Ruth Cośtam, Brytyjka, ale książki Frankie nie czytała.

– Pójdziemy na spacer? – zapytała.

Zanim odpowiedział, pojawiła się Connie.

– Cześć, słoneczko! – Wskazała głową w stronę golfowego wózka, którym przybyła Vivian. Jakby żaden z członków obsługi nie potrafił chodzić. – Wszystko u was w porządku?

Frankie pokrótce opowiedziała o mrówkach.

– Cholera! Matka Natura się na nas wkurzyła! Mrówki. Martwe króliki. – Zakryła usta dłonią, ale było już za późno. – Oj...

Ryan przewrócił oczami.

- Mamo!
- Martwe króliki? – zapytała z niepokojem Frankie.
- Chodź! – Chłopak wstał. – Idziemy się przejść.

W połowie drogi nad jezioro zobaczyli nadchodzącego z naprzeciwka ojca Ryana. Chłopak jęknął. Stary, odziany w T-shirt z logo Harleya-Davidsona, miał na głowie baseballówkę.

- Czołem, młodzieży! – Zdawał się czymś niezdrowo podekscytowany.
- No i co się tak szczerzysz? – zapytał Ryan podejrzliwie.
- A dlaczego mam się nie szczerzyć w taki piękny poranek?

Ryan przewrócił oczami.

Ruszyli dalej, a po ujściu kilku kroków rzucił do Frankie:

- Na pewno coś kombinuje...
- Co niby?
- A kogo to obchodzi?

Chłopak szedł tak szybko, że musiała podbiegać, żeby za nim nadążyć. Zatrzymali się na ławce przy stolikach piknikowych; prawie wszystkie miejsca były zajęte, turyści albo się obżerali, albo czekali w kolejce na rejs statkiem. Frankie przypomniała sobie z niesmakiem, że na popołudnie ojciec zapisał ich na kucyki. Kolejne atrakcje dla dzieciaków! Takie rzeczy kręciły ją, gdy była kilkulatką. Mimo że oczyma wyobraźni widziała jego rozczarowaną twarz, wciąż kombinowała, jak się z tego wykręcić.

- O co chodziło twojej mamie? – zagaiła. – Jakie martwe króliki?
- Nic takiego...
- No weź, nie powiesz mi?

Wypuścił głośno powietrze.

– Dobra, ale nie histeryzuj! Znaleźliśmy królika przed naszym tarasem. – Przerwał, gdy zauważył, że jednak zaczyna histeryzować. – Musiał go zagryźć lis albo kot.

- Jak wyglądał?
- No... Jak to królik, taki biały. No i trochę zmasakrowany. Sorry.
- Biały? – Wpadła w panikę. – Jak Swifty?
- Nie przyglądałem się. Dla mnie one wszystkie wyglądają tak samo.

Wyciągnęła telefon, jakby nagle przypomniała sobie o czymś ważnym. O czymś okropnym. Zaczęła przewijać wczorajsze wiadomości.

Zwiewaj króliczku i ta druga: *Karaluszki pod poduszki!*

Poczuła łązące po jej ciele mrówki.

– Co ci się roi...? – zapytał Ryan.

– Jeśli weszli na moje konto, widzieli zdjęcia Swifty’ego!

Czy Ryan naprawdę zgrywał głąba?

– Nie łapiesz? „Zwiewaj króliczku”. I martwy królik wyglądający jak mój zwierzak. A potem... „Karaluszki pod poduszki”. Mrówki w moim łóżku. – Gapiła się na niego, oddychając coraz płycej.

– Dodajesz dwa do dwóch i wychodzi ci tysiąc. Przecież ten królik nie był nawet porzucony przy twoim domku. – Usiłował ją uspokoić.

– No i? Wszystkie domki wyglądają tak samo! Może nas śledzili, może nas podglądają... – Poczuła mdłości. – A może to ciebie chcieli przestraszyć królikiem? W końcu to ty im dosrałeś na insta.

– Frankie, przestań, serio! Jesteśmy w dzicy! Lis upolował królika, zdarza się. A mrówki sobie łążą, gdzie chcą. Takie rzeczy się zdarzają w środku puszczy!

Tak bardzo chciała być równie racjonalna! Ale nie potrafiła.

– A co, jeśli to faktycznie oni? Usiłują się odegrać?

Zaśmiał się jakby pogardliwie, co ją mocno zabolowało.

– Przepraszam, nie śmieję się z ciebie, ale to brzmi... Nieprawdopodobnie.

– Wcale nie. Powinniśmy ich przeprosić.

– Za co? Za prawdę?

– Za jaką prawdę? Wkurzyły cię te dziwne dzieciaki i chciałeś im po prostu dowalić!

– A co? Nie uważasz, że Penance to dziura zabita dechami?

– Może i dziura, ale jak byś się poczuł, gdyby ktoś natrząsał się z twojego rodzinnego miasteczka?

– Jeśliby było z czego się natrząsać, to musiałbym się z tym pogodzić. Na pewno nie knułbym zemsty! Ale... Może masz trochę racji. – Zastanowił się.

– Nie w kwestii zemsty, ale w kwestii tego, że trochę mnie poniosło. – Schylił

się i zaczął skubać trawę palcami. – Usunę ten post. I może zmienię ustawienia konta na prywatne.

– Dobry pomysł.

– Ale zasięg jest tylko w Penance.

– Nie tylko! – Wstała z ławki. – Chodź ze mną.

Przeszła na szagę przez trawnik, kierując się do budynku recepcji. Napięcie trochę z niej schodziło. Ryan miał rację, nie znajdowali się w mieście, takie rzeczy się zdarzały. Jak niby ktoś miał podrzucić mrówki do jej łóżka?

Miała nadzieję, że jeśli staną tuż pod ścianą pokoiku z routerem, uda się złapać zasięg w telefonie. Z tyłu, wśród cuchnących śmietników, można było się schować, nikt tu nie zajrzy. Spojrzała na telefon. Tak, udało się! Hasło się zapisało, miała zasięg.

Ryan wyciągnął komórkę.

– Jakie jest hasło?

Podawała je, ale nawiązywanie połączenia trwało zbyt długo.

– Wi-Fi na zadupiu bardziej się lubi z moim starym telefonem niż z twoją nową, lśniąca komóreczką! Bierz, zaloguj się na insta u mnie.

Patrzyła w napięciu, jak wylogowuje się z jej konta i wchodzi na własne.

Zacmokał.

– Co jest?

– Cała lawina powiadomień z WhatsAppa. – Uśmiechnął się lubieżnie.

Co tam się wyświetliło? Może któraś z psiapsiółek komentowała jego zdjęcie? Frankie robiło się na przemian gorąco i zimno, miała ochotę wyrwać mu telefon.

– Zalogowałeś się? – zapytała zniecierpliwiona. – Bo zaraz Greg tu przyjdzie i nas przyłapie!

– Na czym? Na wysysaniu sygnału Wi-Fi? Wykopie nas za to z ośrodka? Przestań, pewnie siedzi tam ekstremalnie zajęty oglądaniem pornosów!

– Faj!

Ryan się zmitygował.

– Dobra, sorry. Zalogowałem się. – Pochylił się i obrócił do niej telefon, by wspólnie mogli patrzeć na ekran. Przewinął na obraźliwe zdjęcie. – Nie ma

nowych komentów, tylko kilka lajków od moich znajomych. I... Skasowane!
I co, lepiej ci?

Było jej lepiej, ale nieznacznie. Wskazała na szczyt ekranu.

– Masz nowego priva.

Otworzył okienko komunikatora. Trzy słowa od kogoś kryjącego się za durnym, bezsensownym nickiem CC123456:

Do domu albo...

– Krótko, ale uroczo – skomentował Ryan. – Do domu albo co? Do domu albo i nie? Do domu na obiadek?

Kliknął w awatar użytkownika, ale konto było prywatne. Żeby się z tym kimś skontaktować, trzeba było wysłać prośbę o dołączenie do grona znajomych. Nie byli w stanie sprawdzić zawartości konta. Zero znajomych, zero obserwujących. Wyglądało na konto założone tylko po to, by wysłać tę pogrózkę.

– Może powinniśmy powiedzieć rodzicom... – zasugerowała Frankie, bo znowu zrobiło jej się niedobrze ze strachu.

– W życiu!

– Dlaczego nie?

– Moi rodzice może i pozują na luzaków, ale mama jest bardzo surowa. Dostałbym szlaban na miesiąc. Za nabijanie się z tubylców.

Ojciec Frankie na pewno nie robiłby z tego powodu afery. Może by się przejął, ale na pewno nie wkurzył. W końcu nie zrobiła nic złego, to Ryan narozrabiał tym zdjęciem i opisem. Bała się jednak, że zabroniono by się im widywać. A więc lepiej nic nie mówić.

– Usunąłem post. To ich przekona, że nas nastraszyli. Na pewno przestaną się wydurniać – podsumował Ryan. Chyba nie wyglądała na przekonaną, bo położył dłoń na jej ramieniu. – Zaufaj mi!

Ryan przypomniał sobie, że obiecał przepłynąć się po jeziorze z mamą, więc pożegnali się i odbiegł w stronę wody, a Frankie ruszyła do swojego domku. W jej głowie panował chaos. Ryan pewnie miał rację. A ta chryja z królikiem i mrówkami musiała przypadkowo zgrać się z treścią wiadomości.

Wspomniała słowa chłopaka, które wygłosił przed odejściem:

– Wiem, że to przykre dostać takie pogróżki, ale tacy ludzie są jak kundle, szczerzą, ale nie podejną, by ugryźć. Nie martw się. Skasowałem post i to

zakończy sprawę. Tak?

– Tak.

Szła zamyślona, przekonując siebie, że niczym już nie trzeba się przejmować, gdy usłyszała za sobą kroki. Wciąż była tak nakręcona, że natychmiast oblała się potem, a jej puls przyspieszył. Nie chciała jednak wyglądać na desperatkę, więc nie rzuciła się biegiem do ucieczki.

Nie przyspieszając, obejrzała się w tył przez ramię.

To byli oni.

Parka z Penance, podążająca za nią tym samym tempem co ona. Dziewczyna patrzyła na Frankie, na jej ustach pojawił się grymas przypominający uśmiezek. Ale to nie był żaden uśmiezek, a raczej próba jego naśladowania, jakby dziewczyna przybyła z kosmosu i chciała udawać człowieka. Chłopak wykrzywił się podobnie i teraz Frankie już była pewna, że są bliźniętami. Jak lalki z tej samej taśmy produkcyjnej.

Przyspieszyła, spodziewając się, że zrobią to samo, ale gdy ponownie spojrzęła za siebie, nikogo tam nie było.

ROZDZIAŁ 11

Stoi wraz z Abigail pomiędzy drzewami, obserwując, jak Ryan i Frankie znikają za budynkiem recepcji. Chwilę później słyszy okrzyk triumfu i już wie, co robią. Nie całują się, nie popalają. Kradną Wi-Fi. To dość zabawne, więc spogląda na Abigail, która, owszem, uśmiecha się, ale z zupełnie innego powodu. Spojrzenie ma jakieś nieobecne.

– Co? – pyta, nie poruszając ustami.

Wspominałam czasy – odpowiada – gdy ty byłeś w ich wieku.

Odsuwa się, znika pomiędzy drzewami, oddala od nastolatków i on ledwie za nią nadąża. Jest zręczniejsza, choć to on zna te lasy tak dobrze, jakby je zasadził. Od kiedy przemierza te ścieżki? Idzie w kierunku jeziora, w dół wzgórza, potem wzdłuż brzegu i on już dobrze wie dokąd. Jest gorąco, żar jego ciała, odór potu – wszystko to wabi komary, więc ogania się, podążając za nią. Jej oczywiście nie dokuczają; dziewczyna rzuca mu uśmiezek, widząc, jak się opędza.

Żubrówka... Ile już razy ci mówiłam?

Pokiwał głową. Kilka warkoczy trawy wisiało w chacie, wiedziała o tym, ale skoro zostały tam, to tutaj nie pomogą.

Docierają do niewielkiej jaskini na skraju wody. Wyciąga przed siebie dłoń i dotyka jego policzka.

Zawsze byłeś takim słodkim chłopcem! – mówi.

Spoglądają na taflę. Tutaj nie ma łódek ani motorówek. Nagle znów jest tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty ósmy, a on jest tamtym niewinnym chłopcem, z ciepłym kobiecym ciałem przy boku.

Ciepłym i żywym.



Nigdy wcześniej nie spotkał kogoś takiego jak Abigail, nie bez powodu zresztą. W tym miasteczku kogoś takiego na pewno nie było.

Jego matka pracowała jako striptizerka na dwunastogodzinne zmiany w klubie przy autostradzie. Nie była tancerką, nic z tych rzeczy, przynajmniej w owych czasach; pomagała zarządzać tym miejscem, ogarniała dziewczyny, zaopatrzenie, klientów. Gdy wychodził do szkoły, była zawsze ledwie żywa, a gdy wracał, już była w pracy. Kolacja czekała na niego w lodówce z instrukcją, co i jak odgrzać, ozdobiona buziaczkiem i uśmiezkiem. Gdy mama miała wolne, zwykle była zbyt zmęczona, by zajmować się czymkolwiek poza oglądaniem telewizji i szwendaniem się po mieszkaniu. Gdy był młodszy, zwijał się przy niej na kanapie i usiłował jej zaimponować, odpowiadając na pytania w teleturniejach. Teraz był już na to za stary, a poza tym ona spotykała się z tym przegrywem z pracy i większość wolnego czasu spędzała u niego.

Ojca nie było – ani teraz, ani nigdy – więc musiał sam się sobą zajmować. W Penance nie było co robić. Świetlicę środowiskową zamknięto po tym, gdy przyłapano prowadzącego ją „pedagoga” na obnażaniu się przed dwiema jedenastolatkami. Sporty go nie interesowały, a najlepszy kumpel wyjechał, gdy jego stary stracił tu robotę. Mitrężył więc czas, grając w gry wideo i dyskutując na internetowych czatach z ludźmi o swoich ulubionych kapelach. Wymusił na matce kupno komputera; zgodziła się, chcąc zagłuszyć sumienie. Przesiadywał więc na forach dla metalowców i gadał o Korn, Metallice i tych nowych norweskich grupach, w które ostatnio się wkręcił.

Aż pewnego lata poznał Abigail.

Właśnie skończył czternaście lat, wakacje trwały w najlepsze, a chyba przez upały łącze internetowe co chwilę padało. Wybrał się do lasu, gdzie było o wiele chłodniej, i zamierzał trochę popływać. Kierował się do dzikiej polanki, którą niedawno wypatrzył. Dobre miejsce dla kogoś, kto nie miał ochoty spotykać turystów kręcących się w pobliżu ośrodka od wczesnej wiosny aż do późnego lata. Czasem chował się na którymś drzewie i wypatrywał ładnych dziewczyn, bo sporo się takich pojawiało, ale akurat tego dnia odpuścił.

Chciał pobyć sam.

Pewnie dlatego gdy zauważył na brzegu kobietę odwróconą do niego plecami, zamierzał odejść. Chyba stanął na gałązkę, bo usłyszała go i odwróciła gwałtownie głowę, jakby syknął za nią grzechotnik.

– Cześć! – zagaiła, uśmiechając się, i tym uśmiechem był nasączony jej ton. Roześmiała się. – Wyglądasz jak przestraszona sarenka! Nie bój się, nie gryzę!

Ten piękny uśmiech jeszcze się poszerzył.

Miała długie, jasne włosy sięgające niemal talii, a w nich różowe i czerwone pasma. Była boso, miała na sobie dziwną, białą, powłóczystą suknię, jak się później dowiedział, tunikę. Na twarzy sporo zmarszczek mimicznych, więc mogła być w wieku jego matki, a ona niedawno skończyła trzydzieści pięć lat. Wyglądała jednak na dużo młodszą, a może sporo starszą, nie mógł się zdecydować. Nie dostrzegł jednak sińców pod oczyma ani trupio bladej cery charakterystycznych dla ludzi pracujących na nocne zmiany. Wydała mu się mądra i skarcił się w duchu za tę myśl, w końcu przed chwilą po raz pierwszy ją zobaczył; roztaczała jednak wokół siebie jakąś autorytarną profesorską aurę.

– Mam na imię Abigail – przedstawiła się.

Podał swoje imię i podszedł powoli, jak bezdomny kundel wabiony kawałkiem mięsa.

– Pięknie tu, prawda? – odezwała się łagodnie. – Chciałeś popływać?

Pokiwał głową.

– No to już, nie będę ci psuła planów.

W życiu nie rozebrałyby się przy niej do kąpielówek.

– Powinienem już wracać – mruknął.

– Nie, zostań! Właśnie mieliśmy zacząć piknik!

Mieliśmy? Chwilę potrwało, zanim dotarło do niego, że użyła liczby mnogiej. Rozejrzał się spanikowany, ale nikogo oprócz niej nie było widać. Spojrzał na wodę, może ktoś pływał, ale tafla była spokojna i gładka jak lustro.

– Już są pozostali!

Odwrócił się. Ścieżką schodziła parka, nieśli turystyczną lodówkę. Patrzyli na niego podejrzliwie, jakby chcieli zapytać: „Kim jesteś i co tu robisz, do diabła?”.

Chłopak był wysoki i postawny, gębę miał czerwoną, a górną wargę pokrytą puszką wąsa. Dziewczyna, z krótką fryzurką, była nawet ładna, jak Cameron Diaz w *Sposobie na blondynkę*. Gapiała się na niego wielkimi

zielonymi oczami i nagle zdał sobie sprawę z tego, że przecież zna tę dwójkę; byli klasę wyżej w tej samej szkole co on.

Poczuł na ramieniu dłoń Abigail, zaskoczyło go to.

Parka podeszła, chłopak postawił lodówkę na ziemi.

– To jest Kozioł – przedstawiła go Abigail. – A ta piękność to Lisica.



Powrót do terażniejszości.

Stoi na brzegu, prawie mocząc buty w wodzie, a Abigail tu nie ma. Słyszy silnik skutera, zgrzyta zębami ze zdenerwowania. Ktoś pokrzykuje wesoło, ktoś się śmieje, a te dźwięki są jak fizyczne ukłucia.

Coś trąca go w stopę, więc spuszcza wzrok.

To puszka po coli, unosząca się na powierzchni wody.

Kuca i podnosi ją, jakby nie mogąc uwierzyć, że jest prawdziwa. A przecież jest, oczywiście. Dlatego właśnie Abigail zniknęła. Bo to... Co to było za słowo, nauczyła go przecież.

Zniewaga.

To zniewaga.

I potwierdzenie. Zgniata puszkę z wściekłością i odchodzi ścieżką w górę, do lasów, zbyt wzburzony, by zwracać uwagę na komary.

Myśli tylko o tym, co musi zrobić.

ROZDZIAŁ 12

Gdy rozmawiałem z Vivian, która po wielu protestach i marudzeniach w końcu zgodziła się wymienić jej materac, Frankie wyszła. Potem kobieta odwróciła się i wymruczała: „Cholerni miastowi!”. Byłem pewien, że właśnie to powiedziała.

Gdy zniknęła, przypomniałem sobie, że chwilę przed mrówkami w łóżku Frankie za szybą pojawiła się niehumanoidalna twarz.

Ignorując szlafrok i mokry ręcznik, które zrzuciła z siebie Frankie i najwyraźniej nie zamierzała ich sprzątać, podniosłem roletę w oknie. Widziałem tylko ścianę lasu, tylko drzewa.

Wyszedłem na zewnątrz, żeby się rozejrzeć. Pomiędzy ścianą domku a ścianą lasu były jakieś dwa metry dzikiej polanki. Nic wydeptanego, żadnych śladów. Jakby nikt tu nigdy nie stał.

Odetchnąłem. To musiało być tylko moje odbicie, a gadka Frankie o dziwnym odczuciu po wejściu, jet lag i lokalne plotki zrobiły resztę.

Wróciłem do kuchni, by zaparzyć sobie kawę. Chciałem pospacerować po terenie ośrodka, znaleźć córkę. Może w okolicy były jakieś atrakcje, moglibyśmy wybrać się na przejażdżkę. Musiałem się jednak upewnić, że Vivian wymieni materac, stałem więc przy ekspresie, a po chwili zauważyłem książkę, którą dała mi Nikki.

Podniosłem tom.

Noc w lesie Jake’a Robineaux.

Na okładce widniało zdjęcie Everetta Millera na tle mrocznej fotki drzew ze stocka. To nie było zdjęcie z książki pamiątkowej, ale fotografia ukazująca go w pełnej deathmetalowej krasie: długie czarne włosy, czarne kręgi makijażu wokół oczu i kółko w dolnej wardze. Szczerzył się do aparatu, wyglądał na zadowolonego z siebie głupola.

Otworzyłem książkę i wkręciłem się już po kilku zdaniach. Nie była długa, miała jakieś sto pięćdziesiąt stron. Pierwsza część ukazywała autora i jego rówieśników, wygłupy, jakim się oddawali na obozie, oraz opis kilku miejscowych, których spotkali.

Jeden rozdział przykuł moją uwagę:

Wśród dzieciaków krążyły plotki o tym, że teren obozu jest nawiedzony i przeklęty. Z namiotów zniknęły jakieś drobiazgi. Ktoś wziął ze sobą radio, a jedna z dziewczyn, Jenna Sankey, nie wiadomo po co, drogie, szykowne kolczyki. Te rzeczy zniknęły, podobnie jak sekretny zapas cukierków Brada Diona. Wszyscy zaczęli się wzajemnie oskarżać, więc nauczyciele, w tym pani Fredericks, wszczęli śledztwo. Pamiętam, że żartowała sobie, że Bradowi dobrze zrobi odstawienie cukierków. Żadna z zaginionych rzeczy się nie odnalazła, więc Jenna jajożyła aż do wyjazdu.

Któregoś razu wróciliśmy z kajaków i odkryliśmy, że połowa namiotów się zawaliła. Ktoś powyciągał śledzie. Co gorsza, jedna z dziewczyn, Stacey, która mieszkała z moją przyjaciółką Mary Ellen, odkryła, że jej śpiwór jest całkiem mokry. Nie zapomnę, jak wyskoczyła z namiotu, drąc się: „Ktoś go zsiakł!”. Wszyscy oczywiście uważali, że to bardzo zabawne, szczególnie wtedy, gdy Stacey zaczęła obwiniać Brada, który wcześniej oskarżył ją o kradzież cukierków.

Radziliśmy sobie z tymi zdarzeniami w typowy dla nastolatków sposób, usiłując obrócić wszystko w żart. Nie braliśmy niczego na poważnie, dopóki sprawy jakoś bezpośrednio nas nie dotyczyły. Mówiąc serio, to wszystko było trochę przerażające. Nawet więcej. Ciężko nam było zasnąć, szczególnie po tym, jak Mary Ellen opowiedziała historyjkę, którą sprzedał jej jeden z facetów zajmujących się terenem. Podobno straszyl tu duch dziewczyny, która wiele lat wcześniej utopiła się w jeziorze. Historyjkę szybko ubarwiliśmy, aż w końcu mówiła o zabitej przed wiekami czarownicy, która obłożyła klątwą to miejsce. Corey opowiadał to wyjątkowo obrazowo: „Każdy, kto... – gulgot... – stanie na... – gulgot... – tej ziemi, będzie... – warkot... – przeklęty i UMRZE!”. Udawaliśmy, że nas to bawi, aż do chwili, gdy pan Daniels stwierdził zimno, że w Maine nie odbywały się żadne procesy czarownic.

Działy się jednak coraz dziwniejsze rzeczy, więc pojawiało się coraz więcej historii o duchach i klątwach. Którejś nocy z namiotu Stacey dobiegł krzyk,

więc Corey zażartował, że pewnie ktoś znowu zeszczął się do jej śpiwora, ale chwilę później zaczęła krzyczeć Mary Ellen. Kiedy obie stwierdziły, że widziały jakąś postać na obrzeżu lasu, przestało być zabawnie.

– Co robiłyście poza namiotem? – zażądał wyjaśnień pan Daniels, a przecież wszyscy wiedzieli, że wymykały się na dymka.

Pani Fredericks poszła zbadać teren z latarką, a gdy wróciła, uspokoiła nas, stwierdzając, że nie ma tam nikogo i mamy wracać spać. Ja też myślałem, że coś im się przywidziało, ale zastanowił mnie fakt, że Mary Ellen nie była wcale strachliwa, opisała Blair Witch Project, na którym była niedawno w kinie, jako chałę dla boidudków, a teraz stała cała pobladła. Gdy ją podpytałem, twierdziła, że na pewno kogoś widziała.

– Albo coś – dodała.

– Co to znaczy „coś”? – dopytałem.

Zadrżała, obejmując się ramionami.

– Miałam wrażenie, że to nie człowiek.

Więcej szczegółów nie chciała podać.

Przerwałem lekturę i zerknąłem przez otwarte drzwi na okno w sypialni. „Nie człowiek”. Zaśmiałem się sam z siebie, bo to przecież było niedorzeczne! To miejsce tak działało na ludzi, po prostu. Pierwotna puszcza budziła w ludziach pierwotne lęki.

Długi fragment poświęcony był nocy odnalezienia ciał. Czytałem z niezdrowym zainteresowaniem, usiłując wyobrazić sobie, jakie to uczucie. Chłopak musiał być przerażony. I tyle. Reszta książki ukazywała życiową filozofię autora, czyli szereg wyświechtanych powiedzonek jak z plakatów motywacyjnych: *Żyj, jakby każdy dzień miał być najbardziej znaczący, Nie szukaj garnka ze złotem, tęcza wystarczy!* I tym podobne pierdoły okraszone jakimiś filozoficznymi wynaturzeniami na temat istoty wszystkiego.

Przytoczono kilka wypowiedzi rogatego wdowca po Sally, Neala Fredericksa. Robineaux rozmawiał z nim na potrzeby książki i wyglądało na to, że facet chętnie się wywnętrzał, szczególnie na temat niekompetencji lokalnych władz podczas poszukiwań Everetta Millera.

Neal mówił:

Kusiło mnie, by samemu udać się do lasu, ze strzelbą. Wymierzyć sprawiedliwość. To hańba, że pozwolili temu gnojnikowi uciec! Ale powiem ci jedno, guzik mnie obchodzi, czy Miller jest poganinem, czy jakimś tam innowiercą, i tak trafi prosto do piekła! Ale przez niekompetencję policji z Maine to będzie jedyna sprawiedliwość, jakiej doświadczy!

Skoro Neal Fredericks tak ochoczo gawędził z Jakiem Robineaux, to może i ze mną porozmawia.

Odłożyłem książkę, czując pewien niesmak. Nie wydawało się, by autor podczas pisania miał myśli samobójcze, ale być może te wszystkie motywacyjne pierdolety były jego sposobem na radzenie sobie z tym wszystkim, na udawanie twardziela. David i Connie opowiadali, że zabił się kilka lat po publikacji książki. To było...

Główne drzwi otworzyły się gwałtownie, a ja wystrzeliłem z krzesła. To tylko Frankie. Weszła do kuchni, nalała sobie wody i wypła dużymi łykami.

– Wszystko dobrze? – zapytałem, podchodząc do niej.

– A dlaczego miałyby nie być dobrze?

Uniosłem ręce w obronnym geście.

– Dobra, sorry. Po prostu wydajesz się jakaś spięta.

– Gorąco mi i już. Co robisz? Co tam czytasz? – Przeszła do strefy wypoczynkowej i uniosła *Noc w lesie*, po czym jęknęła:

– No nie, ty też? Ryan mówi, że jego starzy wciąż nawijają o tym gównie!

– Frankie!

Nieczęsto słyszałem, by przeklinała, ale zdecydowałem, że to nie pora na umoralnianie. Była już prawie dorosła, a i ja potrafiłem coś chlapanąć zdecydowanie za często. Mogła robić gorsze rzeczy. Właśnie czytałem o takich.

Odłożyła książkę i chyba się nad czymś zastanawiała; nie spodziewałem się jednak, że mnie obejmie i powie:

– Kocham cię, tato.

– Ja ciebie też!

Pieszczota trwała może sekundę, po czym Frankie się odsunęła.

– Nie musimy już iść?

– Co? Dokąd?

Przewróciła oczami.

– Na te całe kucyki!

No tak, zupełnie wyleciało mi to z głowy.

Trzeba na chwilę zapomnieć o mordercach i spędzić trochę czasu z córką.

ROZDZIAŁ 13

Zanim matka wywiozła Frankie za ocean, co tydzień zabierałem ją na lekcje jeździectwa. Nie przegapiłem żadnej, nawet wówczas, gdy miałem doła, bo moje małżeństwo i kariera się sypały. To była nasza wspólna przyjemność, coś, co robiliśmy tylko we dwoje, choć ja sam nigdy nie siadałem w siodle. Zawoziłem ją na padok, a potem czekałem w aucie, aż się wyszaleje. W drodze powrotnej zajeżdżaliśmy na szejki i ciastka do lokalnej kafejki. Wspominałem te chwile z rozrzewnieniem. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że rodzina niedługo zniknie z mojego życia.

Nie winię Sarah o to, że mnie zostawiła. Stałem się gburem i zrzędą, z którym nie dało się żyć. Ciężko było wspierać i kochać kogoś, kto się bez przerwy nad sobą użala. Nie byłem już facetem, którego poślubiła. Wkurzyłem się jednak o przeprowadzkę do Stanów. Nie podejrzewałem, że zechce uciec aż tak daleko, a ona sama twierdziła, że tego nie planowała; po prostu pojawiła się oferta pracy, której nie mogła przepuścić. Mogłem walczyć o opiekę nad dzieckiem. Mogłem walczyć o sądowy zakaz wywiezienia Frankie, w końcu moja córka nie chciała się przeprowadzać. Nie miałem jednak ani kasy na prawników, ani siły w sobie. Właśnie ten brak woli do czegokolwiek był przyczynkiem rozpadu naszego związku. Zgodziłem się, by Sarah zabrała dziecko, ale pod warunkiem, że będę mógł je widywać.

Wszystko się jakoś poukładało. Moje wizyty w Ameryce zawsze były świętem. Teraz jednak, w chwilach takich jak ta, gdy uświadamiałem sobie, że przegapiłem kawał życia córki, całe jej dorastanie, było mi cholernie ciężko.

Kilka rodzin zebrało się na obrzeżach ośrodka, ale koni wciąż nie było widać, a Frankie wydawała się podminowana.

– Wszystko okej? – zapytałem.

– Tak, ale dawno nie jeździłam.

Ja także miałem pietra, bo nie przymierzałem się do siodła od lat.

Instruktorka o imieniu Susan rozdawała kaski i objaśniała procedury bezpieczeństwa, a także omówiła kilkukilometrową pętlę, którą mieliśmy dotrzeć aż na przedmieścia Penance i z powrotem do punktu wyjścia.

– Przejazdzka potrwa mniej więcej godzinę – dokończyła. Było w niej coś męskiego, w tej mocnej posturze i ciemnych włosach ostrzyżonych na boba. – Kto z państwa już jeździł?

Kilka kobiet uniosło ręce, a ja wymierzyłem kuksańca Frankie, co Susan zauważyła.

– Znasz się na koniach? – zapytała.

Frankie rzuciła mi pogardliwe spojrzenie, które aż za dobrze znałem, a które mówiło: „Dzięki za tę chwilę żenady!” i odpowiedziała:

– Gdy byłam mała, jeździłam co weekend.

– W takim razie mam dla ciebie świetnego wierzchowca!

Kobieta podążyła w stronę stajni i w ciągu dziesięciu minut sprowadziły z koleżanką konie i kucyki. Osiodłane zwierzęta zaczęły przechadzać się po polanie z opuszczonymi łbami, wyszczotkowana sierść połyskiwała na bokach.

– To Sroczka. – Susan wręczyła Frankie cugle uroczego łaciatego kuczka. – Tylko doświadczeni jeźdźcy mają ten przywilej. Poradzisz sobie?

– A dlaczego? – zapytałem, patrząc na konika, który rył kopytem w ziemi i potrząsał niespokojnie grzywą. Wyglądał na narowistego.

– Och, Sroczka po prostu ma charakterek. Jeśli nie czujesz się na siłach, przyprowadzę bardziej potulnego.

– Nie, chcę Sroczkę! – odpowiedziała Frankie, która chyba zakochała się w niej od pierwszego wejrzenia.

Zwierzę wtuliło nos w podstawioną dłoń, a Frankie pogłaskała rozczochraną grzywę. Znowu miałem przed oczami moją dawną córeczkę, jak w chwili, gdy się do mnie przytuliła.

Zaczęliśmy zapoznawać się ze zwierzętami. Mnie przypadł szary wałach Springsteen, o wiele większy od Sroczki. Patrzył na mnie groźnie, ale w końcu pozwolił się pogłaskać. Włożyłem stopę w strzemień i podciągnąłem się; gdy znalazłem się na wysokości, a wierzchowiec łapał równowagę, poczułem motyle w brzuchu. Zapomniałem, jak to jest być zależnym od potężnego

zwierzęcia, ale gdy zobaczyłem ucieszoną Frankie dosiadającą kucyka, ogarnąłem się.

– Dobrze! – zaczęła Susan. – Konie znają trasę, więc nie musicie szarpać za cugle. Ruszamy stępa, ale nieco dalej wszyscy gotowi do kłusu będą mogli przyspieszyć. Dopiero jak powiem!

Dodała jeszcze kilka zdań, a gdy nie było pytań, ruszyliśmy.

Gdy tylko zwierzę się poruszyło, poczułem, że spadnę, więc chwyciłem się kurczowo i wymamrotałem pod nosem: „Nie patrz w dół! Nie patrz w dół!”. Po chwili jednak się rozluźniłem, dopasowałem do ruchów konia i poczułem, że to jest to. Wąski trakt między drzewami, biegnący na północny zachód, pozwalał na poruszanie się jedynie w kolumnie. Frankie jechała przede mną, a gdy spoglądała na mnie przez ramię z uśmiechem, czułem, jak topi mi się serce.

Gdy droga się poszerzyła, zrównała się ze mną jakaś kobieta. Wiedziałem, że ma na imię Madison i pochodzi z Nowego Jorku. Jej mąż i nastoletnia córka jechali za nami. Gdy po jakichś dziesięciu minutach mijaliśmy polanę z płaskim głazem, odwróciła się do męża:

– Hej, to właśnie tutaj się stało!

– Przyjechaliście tu ze względu na tę zbrodnię? – zapytałem.

– Nie, to znaczy nie tylko przez to! – zaśmiała się niepewnie. – Ale to bonusik, niewątpliwie!

– A skąd się o niej dowiedzieliście? Z jakiejś tajnej strony w necie? – Włączył się mój wewnętrzny dziennikarz.

– Tak, z takiego jednego podcastu.

– Z podcastu Connie?

– O! Znasz to? – Ściszyła głos. – Widziałam wczoraj ją i Davida. Nawet się przywitali! – Mówiła to takim tonem, jakby chodziło o parę książeczkę. Pochyliła się i szepnęła konfidencjonalnie: – David mi powiedział, że szykują niespodziankę dla wtajemniczonych!

– Serio? A co to będzie?

– No nie powiedział co, bo to nie byłaby już niespodzianka! Myślisz, że są jakieś nowe dowody w sprawie? Może znaleźli Everetta Millera? Wiesz, kobieta z domku obok twierdzi, że go widziała!

– Co?

– No! Trochę krindzowo, nie? Była na spacerze za kortami i twierdzi, że widziała podejrzanego kołosa kręcącego się między drzewami, jakby się krył wśród nich. Gdy mu się przyjrzała, zniknął jak zjawa!

Dobry materiał do artykułu, nawet jeśli nie wierzyłem, że to faktycznie Everett.

– Opowiedziała, jak wyglądał?

Madison się zawahała.

– Nie bardzo chciała opowiadać, pewnie się bała, że wezmę ją za wariatkę.

– No i?

– No i mówiła, że nie wyglądał jak zwyczajny człowiek. Widziała twarz przez ułamek sekundy i coś z nią było nie tak, jakby to nie była ludzka twarz. Wiem, głupio to brzmi. Tak, jakby to zło ze środka ją zmieniło. – Odchrząknęła; miała taką minę, jakby już żałowała, że w ogóle zaczęła tę pogawędkę. – Jakby był demonem czy coś.

Ścieżka znowu się zwęziła i Madison została z tyłu. W pozornej ciszy lasu rozbrzmiewał tylko stukot kopyt i buczenie cichych rozmów. Susan jechała na czele, na wielkim kasztanowatym wałachu, za nią Frankie, potem ja.

– Zbliżamy się do Penance – zawołała Susan przez ramię. – Za moment będzie rozwidlenie, więc skręcamy w lewo i zawracamy!

Miałem wrażenie, że Frankie się spięła, gdy padła nazwa miasteczka. Może bała się, że Srocza skręci w drugą stronę. Zwierzęta jednak znały drogę, skręcały w lewo jak ciągnięte na sznurku i po chwili znowu jechaliśmy szerszą drogą, a przed nami ukazała się polana.

Słyszałem nieodległy szum miasta i jakieś podzwanianie. Dzwonki wiatrowe? Frankie z napiętą twarzą spojrzała w stronę, z której dobiegał dźwięk.

I nagle coś huknęło.

Jak wystrzał ze strzelby, z bardzo bliska, i rozniosło się echem.

Ludzie się odwracali, zwierzęta zaczęły parskać, kilka zatrzymało się gwałtownie, prychając. Srocza stanęła jak wryta, potem postąpiła kilka kroków w tył, prawie wpadając zadem na mojego konia. Frankie w skupieniu próbowała ją opanować, ściągając wodze. Za mną rozległ się rumor, a gdy się odwróciłem, dostrzegłem kobietę z trudem utrzymującą się na stojącym na

zadnich nogach zwierzęciu. Fala paniki była aż nazbyt dobrze wyczuwalna, zarówno wśród zwierząt, jak i ludzi.

Susan krzyknęła:

– Zachować spokój, konie wie...

I znowu wystrzał.

Nie było mowy o spokoju.

Mój wierzchowiec również poderwał przednie nogi w górę i spadłem; nawet nie zdążyłem się zorientować, że lecę w dół. Uderzyłem plecami o ziemię i straciłem oddech. Na moment straciłem również wzrok, ale gdy się otrząsnąłem, miałem na tyle przytomności, by wycofać się spod walących o ziemię kopyt. Madison leżała obok na brzuchu, jęcząc. Tylko dwa konie stały spokojnie, reszta tańcowała w miejscu, spanikowana. Pomogłem Madison odpełznąć na skraj ścieżki, abyśmy oboje uniknęli stratowania. Jej mąż krzyczał, czy wszystko w porządku; krzyczała również Susan, nakazując spokojnie opanować zwierzęta. Choć moje biodro pulsowało bólem, udało mi się wstać i chwycić wodze własnego konia. Dojrzałem Frankie, która z trudem utrzymywała się na wierzgającej Sroczce.

Gdy padł kolejny strzał, jej koń rzucił się na oślep przed siebie.

ROZDZIAŁ 14

Kucyk przedzierał się przez zarośla i drzewa, gałęzie drapały Frankie w plecy. Sroczka zrobiła pętlę i skierowała się na powrót w stronę polany. Moja córka krzyczała, kurczowo trzymając się szyi zwierzęcia. Nie była w stanie nad nim zapanować.

Stałem jak wryty, potem spojrzałem na własnego konia, ale nie miałem na tyle doświadczenia, by rzucić się wierzchem w pogoń.

Więc pobiegłem na własnych nogach.

Przed oczyma miałem najstraszniejsze obrazy: Frankie uderzającą z całym impetem o pień czy leżącą na ziemi ze złamanym kręgosłupem.

Albo martwą.

Biegłem najszybciej, jak potrafiłem, co nie było łatwe na nierównej ścieżce. Słońce paliło, a wokół mojej głowy, jak jakieś zmory piekielne, kłębiły się muchy zwabione zapachem zwierząt. Jeśli Frankie coś się stanie, to będzie to tylko moja wina!

– Frankie! – wrzasnąłem gdy dotarłem na przerzedzenie.

I w odpowiedzi, jak za sprawą magii, usłyszałem jej głos.

– Tu jestem!

Minąłem płaską skałę i dojrzałem ją pod krzywym drzewem po drugiej stronie. Wyglądało tak, jakby kiedyś uderzył w nie piorun i się nadpaliło. Zdawało się pochylać nad moją córką, jakby chciało ją osłonić.

Frankie siedziała na trawie z nieprzytomnym wyrazem twarzy. Kucyk stał nieopodal, skubiąc listki z jakiejś krzewinki, jakby nic złego się przed momentem nie wydarzyło.

Uklęknąłem przy córce.

– W porządku? Jesteś ranna? Możesz iść?

Na jej policzku widniał ślad rozmazanych brudną dłonią łez. Nie odzywała się, jakby odebrało jej mowę.

– Nic mi nie jest – szepnęła po chwili.

– Zabiorę cię do lekarza.

– Tato, nic mi nie jest! – podniosła głos, a Srocza na ten dźwięk uniosła łeb i spojrzała na nas niespokojnie.

Dziewczyna wstała, roztała ramiona, jakby sprawdzając, czy faktycznie jest cała.

– Nic mi nie jest... – powiedziała z ulgą i zaczęła szlochać.

– Słoneczko! – Objąłem ją.

– Ała!

– Cholera, przepraszam!

Na pewno była trochę poobijana; uśmiechnęła się jednak, mrużąc oczy, a potem spojrzała przez ramię. Naszym oczom ukazała się Susan na koniu.

– Wszystko w porządku? Ktoś jest ranny?

– Tato, tylko nie rób sceny i nie wołaj żadnego kierownika!

– Dobra, dobra!

Susan zeskoczyła z siodła, a Frankie wyjaśniła, że Srocza sama się uspokoila.

– To dobry zwierzak. – Susan poklepała kucyka po szyi. – Jesteś w stanie wrócić wierzchem?

– To były strzały, prawda? – zapytałem, bo nieczęsto zdarzało mi się słyszeć coś takiego.

– Tak, pewnie myśliwi – odpowiedziała kobieta.

– Na obrzeżach miasta?

– Też mnie to dziwi. Może strzelali do puszek czy butelek. – Wyglądała na wściekłą. – Greg porozmawia z koleżkami z Penance. Jeśli miasteczko i ośrodek mają żyć w zgodzie...

– Ja wiem, co to było – wtrąciła się Frankie. – Ostrzeżenie.

– Słucham? – Susan zamrugała zdziwiona.

Frankie jednak nie powiedziała już nic więcej. Milczała, gdy szliśmy przez polanę w stronę grupy, prowadząc Sroczkę za uzdę.



Gdy tylko upewniłem się, że Frankie siedzi bezpiecznie w swoim pokoju, poszedłem szukać sanitariusza. Moja córka potrzebowała środków przeciwbólowych i maści z antybiotykiem na zadrapania. Gdy mijalem strefę piknikową, dostrzegłem kilkanaście osób otaczających Davida i Connie. Fani. Minąłem ich bez słowa, bo choć miałem z nimi do pogadania, to na pewno nie teraz.

Grega zastałem w recepcji i mógłbym przysiąc, że na mój widok może nie tyle się przestraszył, ile zaniepokoił. Pewnie sądził, że za chwilę zagrozę mu pozwem. Choć klimatyzacja hulała i w budynku było przejmująco chłodno, pocił się jak szczur.

– Przepraszam! – zaczął, dziwnie wykręcając palce, jakby nie wiedział, co zrobić z rękami. – Czy z Frankie wszystko w porządku?

– Przeżyje, jest twarda – odpowiedziałem.

Gdyby rano ktoś mnie zapytał, czy moja córka jest twardzielką, nie byłbym w stanie odpowiedzieć. Czy nią jest? Po akcji z mrówkami, po której się szybko otrząsnęła, i upadku z konia patrzyłem na nią nieco inaczej. Gdy wracaliśmy do domu, kilka razy obsztorcowała mnie, abym nie robił afery. Nie wyjaśniła jednak, co miała na myśli, mówiąc o ostrzeżeniu. Tylko wzruszyła ramionami i stwierdziła: „Nieważne!”.

– Ma pan wielkie szczęście! – rzucił Greg.

– To znaczy?

– Frankie wygląda mi na zdolną, pewną siebie dziewczynę. To pańska zasługa.

Spojrzałem na niego podejrzliwie. Kiedy niby wyrobił sobie taką opinię o mojej córce?

Zauważył moje zmieszanie, więc szybko wyjaśnił:

– Była tu wczoraj. Znalazła się jej flaszka?

– Że co proszę?

– No, jak to się zowie, bidon na wodę. Wczoraj go szukała w biurze rzeczy znalezionych. Znalazł się?

– Nie, chyba nie – odpowiedziałem, choć nie wiedziałem, że butelka zginęła. Nie chciałem mu jednak dać przewagi. – Porozmawia pan z kimś

decyzyjnym w sprawie polowań w lesie?

– Polowań?

– A kto inny mógł strzelać?

– No jasne. Pewnie, zajmę się tym – przerwał na moment. – Dam wam kilka kuponów na darmowe lody.

Odebrałem kupony, maść i pudełko advilu.

Chciałem jak najszybciej wrócić do córki, ale zwolniłem przy domku Donny i Tamary. Akurat zajeżdżały przed chatkę czerwonym terenowym autem z napędem na cztery koła. Pomachały mi przez okno.

– Udała się wycieczka? – zapytałem, gdy się zrównaliśmy.

– Nie bardzo, szukałyśmy apteki.

Zatrzymałem się.

– Oj, ale udało się? Wszystko dobrze?

– Będzie dobrze.

Donna wysiadła z drugiej strony. Wyglądała marnie, twarz miała poszarzałą i zmarszczoną, jakby coś ją bolało.

– Musimy po prostu się wyciszyć – wyjaśniła Tamara.

Donna się skrzywiła.

– Na pewno wyrzuciłaś je przypadkowo. – Spojrzała na mnie, choć przecież nie prosiłem o żadne wyjaśnienia. – Zawsze tak robi, że niby sprząta. Że nie zauważyła, co wyrzuca.

Tamara uśmiechnęła się przepaszająco.

– Wejźmy do środka – zwróciła się do partnerki i zniknęły we wnętrzu.

O co chodziło? Nie miałem siły roztrząsać cudzych problemów, więc nie myśląc o nich, ruszyłem do siebie.

W progu prawie zderzyłem się z Frankie.

– A ty dokąd? – zapytałem.

– Idę się spotkać z Ryanem.

– Ale... – Wyciągnąłem przed siebie tabletki i maść. – Mam coś dla ciebie.

– Przecież mówiłam, że nic mi nie jest! Muszę się z nim zobaczyć.

Minęła mnie, wyciągając dłoń w kierunku klamki.

– Jest już oficjalnie twoim chłopakiem?

– Weź przestań! – Skrzywiła się.

– Sorki, to znaczy, ja nie mam nic... – przerwałem.

No bo co właściwie chciałem jej powiedzieć? Nie miałem doświadczenia w rozmowach z nastolatką, a już szczególnie jeśli chodziło o te tematy. To pewnie dlatego, że mieszkaliśmy tak daleko od siebie; choć pewnie byłbym równie niezdarzy, gdybyśmy żyli pod jednym dachem.

– To mogę iść? – prychnęła zniecierpliwiona.

– Czekał. Zgubiłaś tę drogą butelkę?

– Ale... Skąd wiesz?

– Greg mi powiedział.

– Faj, Greg dziwadło.

Z trudem powstrzymałem się przed grymasem.

– Dlaczego go tak nazywasz?

– Nie wiem, jest jakiś podejrzany. To mogę iść czy nie?

– Nie. Ta cholerna butelka kosztowała pięćdziesiąt dolców, obiecałaś, że będziesz jej pilnować jak oka w głowie!

– Pilnowałam!

– No najwyraźniej nie!

Tak naprawdę miałem w dupie te pięćdziesiąt dolców i pamiętałem, jak łatwo za młodu gubiło się różne rzeczy. Byłem po prostu zmęczony i wciąż rozdrażniony tą niefortunną przejażdżką. Wszystko mnie drażniło, nawet nie wiedziałem dlaczego. Działo się zbyt dużo dziwnych rzeczy. Normalnie zareagowałbym inaczej, ale tu nic nie zdawało się normalne.

– Wiedziałaś, że tak zareagujesz, więc nie chciałam ci mówić! – krzyknęła Frankie. – Zwrócę ci, tak? Możesz przestać wypłacać mi kieszonkowe!



Jakiś czas później wyjrzałem przez frontowe okno i zauważyłem, że David i Connie siedzą na tarasie w towarzystwie jakiegoś faceta.

Nie miałem co ze sobą zrobić, więc wyszedłem się przywitać, wietrząc szansę na rozmowę, która była mi potrzebna do artykułu.

– Tom! – zakrzyknął David, jakby nie widział mnie od wieków. – Chcesz piwko?

– Z przyjemnością.

Wręczył mi zimną, moką butelkę.

– To jest Neal – przedstawił faceta siedzącego naprzeciwko Connie.

Miał może pięćdziesiątkę, a sądząc po worach pod oczami, cierpiał na chroniczną bezsenność. Łysiał dość szpetnie, a butelkę oparł na wydatnym brzuszysku.

Neal. Słyszałem gdzieś to imię ostatnio, ale gdzie?

– Cze! – rzucił. – Też jesteś fanem podcastu Connie?

David, który stał za jego plecami, zaczął na migi pokazywać, abym zaprzeczył.

– Ja tam nie lubię tych zbrodni... – Koleś wstał ciężko. – Będę się zbierał. To co, do jutra, Davidzie?

Co tu się działo? Kim był ten typek?

– Pewnie! – David uściśnął mu dłoń. – Fajnie, że się w końcu poznaliśmy.

Neal zszedł po schodkach i skierował się w stronę jeziora. Zaczekałem, aż się oddali, i zapytałem:

– Kto to?

– Zobaczysz! – odpowiedziała Connie.

– To jakaś część tej waszej niespodzianki?

Tylko uśmiechnęła się tajemniczo. Interesujące... Czy Neal był w jakiś sposób powiązany z tymi zbrodniami?

I nagle sobie przypomniałem. Mąż Sally Fredericks miał na imię Neal!

– No nie powiecie mi chyba, że to Neal Fredericks! – zachnąłem się.

Oboje wyglądali na niepomierne zaskoczonych.

– A ty skąd to wiesz?

– Przeczytałem książkę Jake’a Robineaux.

– Serio?

– No.

Nie chciałem mówić im o artykule, bo nie wiedziałem, jak zareagują. Może stwierdzą, że wchodzę na ich terytorium, i się wkurzą?

– Trochę się wkręciłem w sprawę po rozmowie z wami i wizycie na polanie. Ale co tu robi mąż Sally? To chyba ostatnie miejsce, w jakim chciałby być!

Wymienili spojrzenia, jakby trochę się zdenerwowali, że rozgryzłem ich plan.

– Dowiesz się wszystkiego jutro wieczorem – rzucił David.

Pokiwałem głową, ale nie zamierzałem czekać tak długo. Zamierzałem za to dorwać Neala Fredericksa, który mógł być osiłą mojego artykułu. No właśnie, artykuł...

– Mogę was o coś spytać? Robineaux opisał mnóstwo dziwnych rzeczy, które wydarzyły się na terenie obozu przed morderstwami. Myślicie, że to ma jakiś związek ze zbrodniami?

– Musisz przesłuchać podcast – stwierdziła Connie. – Pewnie nie masz tu netu. Szeroko to omawialiśmy. Jake nie znalazł jakiegoś ewidentnego połączenia między tymi wydarzeniami, policja najwyraźniej również.

– Ale wy uważacie, że to się łączy?

– Musi – wtrącił się David. – Udało nam się dotrzeć do obozowiczów, którzy byli tutaj przed Jakiem, i im również przytrafiały się dziwne rzeczy. Nieznane odgłosy w nocy. Znikające drobiazgi. To musiał być jakiś tubylec, choć nikogo nigdy nie przyłapano, nikt się nie przyznał. Uważamy, że to był właśnie Everett, i tak wypatrzył Sally i Erica.

– Właśnie ich zdecydował się zaatakować – dodała Connie. – Myślimy, że przez dłuższy czas musiał ich obserwować, podglądać. Może podsłuchiwał, jak umawiają się na schadzki w lesie.

– Ale dlaczego kradł te wszystkie rzeczy? Albo sikał do śpiworów?

– Bo był zdrowo jebnięty! – zaśmiał się David.

– To zbyt oczywiste – stwierdziłem. – Sprawa musi mieć drugie dno.

– Zgadza się – przytaknęła Connie. – Ja zawsze postrzegałam to jako... znaczenie terenu.

Jak za pociągnięciem sznurka odwróciliśmy się w stronę ściany drzew. Poczulem pełznący po kręgosłupie dreszcz. Jakieś cienie poruszyły się dziwnie, jakby niezależnie od przesączającego się przez listowie światła. Wiatr poruszył gałęziami. Łatwo było sobie wyobrazić, że to jakaś pradawna świadoma siła, która strzeże tych lasów, odkąd zaczęły kiełkować.

Czy to właśnie było terytorium Everetta?

A może czegoś, co wciąż...?

ROZDZIAŁ 15

Frankie i Ryan siedzieli obok siebie na huśtawkach. Dziewczynę bolały zadrapania na plecach, a gojące się ugryzienia mrówek swędziały. Nie zwracała jednak na to uwagi, przynajmniej nie w tej chwili.

Gdy wracali, zabrzączał jej telefon, więc chyba weszli w jakąś bańkę z zasięgiem. Nie patrzyła w telefon do czasu, aż ojciec poszedł po apteczkę.

Teraz pokazała ekran Ryanowi, kolejną prywatną wiadomość na IG. Zdjęcie dziewczyny spadającej z konia, a na czerwonym tle biały napis agresywną czcionką: *Może następnym razem skręcisz kark!* I kilka zaśmiewających się do łez emotek.

– To przyszło jakieś dziesięć minut po tym, jak spadłam z konia.

Ryan spojrzał na ekran, potem na nią, potem znów na telefon.

– Widziałaś tam kogoś?

– Nie. Ale przecież ktoś tam musiał być. Śledzili mnie.

– Śledzili? Jesteś pewna?

Zaczynał ją wkurzać. Czy choć raz w życiu ktoś nie mógł jej tak po prostu uwierzyć? Bycie nastolatką to jakieś przekleństwo! Wszyscy podają w wątpliwość każde twoje słowo. Że hormony albo pierdoły w social mediach, bycie młodą, młodą dziewczyną. Cholery można dostać!

– Jestem pewna, Ryan! Musieli najpierw wystrzelić, a potem iść za mną, żeby sprawdzić, jaki to przyniosło efekt.

Usłyszała jakiś zbolący jęk i zdała sobie sprawę z tego, że wydobywa się z niej.

– Boję się, że są zdolni do gorszych rzeczy – ciągnęła. – Może następnym razem nie będą tylko strzelać w powietrze, żeby spłoszyć konie.

– Ale dlaczego atakują cię, a nie mnie? To nie ty zamieściłaś ten post! –
Było widać, że jej słowa jednak go zdenerwowały.

– Nie wiem. Pewnie wydaje im się, że jestem łatwiejszym celem. A królika
podrzucili u was. Pewnie na nas oboje się uwzięli. I być może za tobą też łążą.

Przez jego twarz przebiegł grymas; zacisnął usta, jakby coś sobie
przypomniął.

– Co jest? – Zauważyła to. – Tobie też coś dziwnego się przytrafiło?

– Nie wiem, po prostu... Kilka razy mi się zdawało, że ktoś mnie
obserwuje. No wiesz, takie uczucie, że ktoś idzie za tobą, blisko? Ze dwa czy
trzy razy tak się właśnie poczułem, ale gdy się odwracałem, nikogo z tyłu nie
było.

Zastanowiło ją coś innego. Zeskoczyła z huśtawki i odgarnęła włosy.

– Co? – zapytał.

– Moja butelka. Przysięgam na Boga, pilnowałam jej zawsze jak oka
w głowie. Ale możliwe, że na chwilę straciłam czujność i wtedy ją zabrali.

Zapanowała cisza.

– Najwyraźniej usunięcie posta im nie wystarczyło – podsumowała
Frankie. – Może nawet nie zauważyli, że zniknął. Chyba musimy z nimi
pogadać.

– Ale jak niby? Na Instagramie?

– Nie, naprawdę, twarzą w twarz. Przeprsimy i uwolnimy się od nich. –
Zanim skończyła zdanie, zdała sobie sprawę, że to marny pomysł, ale co
innego mogli jeszcze zrobić?

Chłopak ogryzał paznokieć przy kciuku i miała ochotę trzepnąć go po
dłoni, żeby przestał. Podrygiwała mu noga i gdy Frankie połączyła te dwa
nieświadome gesty, uderzyło ją, że jednak jest cholernie zdenerwowany całą
sprawą. Bał się, może nawet bardziej niż ona.

– No i z kim niby mamy gadać? – zapytał, pukając palcem w ekran
telefonu. – Nawet nie wiemy, kto to wysłał.

– Ja chyba wiem, to te dziwaczne dzieciaki – stwierdziła Frankie. – Ci,
którzy mówili, że naruszamy ich terytorium.

Za każdym razem, gdy przypominała sobie prawie łysego chłopaka
o zapadniętych oczach, miała ciarki, a włoski jeżyły się na przedramionach.
A ta dziewczyna, pewnie siostra, nie była dużo lepsza.

– A dlaczego myślisz, że to oni? – zapytał Ryan.

– Jakoś tak... To jest infantylnie napisane, no i giną mi rzeczy, żaden dorosły nie zajmowałby się takimi pierdołami. Poza tym ja ich znowu widziałam.

– Czekał, kiedy?

– Wczoraj. Szli ścieżką za mną. Tutaj, na terenie ośrodka.

Chłopak nie wydawał się przekonany.

– Myślisz, że to oni, bo z innymi tubylcami się nie skonfrontowaliśmy.

– Ryan! Jestem pewna, że to oni! A nawet jeśli nie oni, to małe miasteczko. Na pewno wiedzą, kto nam grozi. Jeśli przeprosimy te dzieciaki, to może rozpowiedzą, że się pokajaliśmy, i ktokolwiek to robi, da nam spokój.

Ryan zeskoczył z huśtawki.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– A co? Boisz się ich?

– Tych dziwadę? Pewnie, że nie! Po prostu nie uważam, aby przeproszenie takich... patałachów było dobrym pomysłem. Jeśli to oni spłoszyli konie, to mają strzelbę, nie zapominaj o tym.

– Ale przecież nie zrobiliby...

– No, czego by nie zrobili?

– Nie zastrzeliliby nas ot tak, na środku ulicy!

– Nie?

Nie pomagał. Ale przecież w publicznym miejscu nie zrobiliby czegoś takiego? Jeśli ci gówniarze to faktycznie jacyś zwyrodniali psychopaci, to na strzelaniu w powietrze się nie skończy. Ani na martwym króliku. Przecież wczoraj szli za nią, gdy nikogo w pobliżu nie było. Nie zaatakowali. Gdy leżała na polanie po upadku, a oni chowali się gdzieś w krzakach ze strzelbą, mogli po prostu ją zastrzelić.

– Mogę pójść sama – stwierdziła, ale przecież nie zrobiłaby tego.

Nawet jeśli nie wierzyła, że są zdolni do faktycznej przemocy, że uduszą ją na progu własnego domu, to i tak nie zamierzała konfrontować się z nimi w pojedynkę.

No dobra, raz kozie śmierć. Ruszyła, ale chwycił ją za przedramię i ten niespodziewany dotyk przeszył ją dreszczem.

– Nigdzie sama nie pójdziesz!

„Dzięki Bogu!”

– No to chodź ze mną.

Zacisnął usta.

– Może lepiej powiedzmy w końcu rodzicom.

– Nie, nie możemy! Nie chcę, żeby ojciec się dowiedział! Zabierze mi telefon, zabroni nam się spotykać. Myślę, że... Musimy to sami ogarnąć, jak dorośli, odpowiedzialnie.

Spojrzał na nią tak, że poczuła dumę. To było sto razy bardziej przyjemne niż miny rodziców, gdy wraca się do domu z dobrym świadectwem. W końcu starzy cieszą się z sukcesów dziecka jakby z automatu. A jemu imponowała jej dojrzałość. Poczwała, że ma moc sprawczą. Jednocześnie wiedziała, że ten chwilowy przypływ odwagi jest postawiony na bardzo kruchych fundamentach.

– Musimy iść teraz. – Tak, teraz, zanim się rozmyśli.

– Teraz?

Dochodziła siódma, zdążą wrócić przed zmrokiem.

– Chcę mieć to z bani, Ryan! Nie będę mogła spać, jeśli tego nie załatwimy. Zakończmy tę sprawę, zanim do reszty spieprzy nam wakacje.

– Dobra – powiedział, ale równocześnie pokręcił głową. – Jeśli teraz umrę, zostawię atrakcyjne zwłoki, a Glen Troiano będzie płakał na moim pogrzebie!

– Zamknij się! – Zaśmiała się. – Nikt nie będzie umierać.

Pięć minut później szli szybko ścieżką w stronę miasteczka, tak samo, jak pierwszego dnia. Minęli polanę z głazem. Ryan chciał w tym miejscu zwolnić, ale ona nie zamierzała. Musiała dotrzeć do tego przeklętego miasteczka, zanim obleci ją strach. Naprawdę tam szli i teraz zrobiło się jej niedobrze z nerwów; było jej zimno. Gdy mijali miejsce, w którym spłoszyła się Srocza, poczuła zadrapania na plecach, jakby ciało chciało jej przypomnieć o wypadku.

Wyszli z lasu na przedmieścia w tym samym miejscu, co poprzednio. Po lewej majaczyło wysypisko. Ruszyli w prawo, tak jak ostatnim razem, i tak jak poprzednio usłyszała z oddali podzwanie.

Szli w milczeniu, ale nie była to wcale kojąca cisza. Napięcie wisiało w powietrzu, gęste jak smoła. Spojrzała na Ryana, na jego długie rzęsy, włosy

spadające na oczy, pełne usta, i pomyślała, że ten cały Glen Troiano to cholerny szczęściarz.

– No i jak niby mamy ich tu znaleźć? Nie wiemy, gdzie mieszkają – zaczął chłopak podenerwowany. – Mamy jakiś plan działania?

Nie miała planu. Dotarli do miejsca, w którym po raz pierwszy skonfrontowali się z bliźniętami. Na trawniku bawiło się dwoje małych dzieci. Nieco dalej jakiś facet naprawiał auto, nurkując pod maską. Z otwartych okien pobliskiego domu pobrzmiwał marnej jakości rap.

Frankie spojrzała na różowiejące niebo i obrzeżone ciepłym światłem zachodu chmury.

– Zapytajmy tych dzieci – zasugerowała.

Ruszyła w stronę bawiących się maluchów. Przerwały zabawę i gapiły się na nią bez strachu. Chłopiec i dziewczynka, może sześciolatki. Piegi, rozczochrane jasne włosy, chyba również bliźnięta. Nagle poczuła, że ktoś wrzucił ją do kiepskiego horroru sci-fi, do miasteczka, w którym rodzą się tylko bliźniaki.

– Cześć! – przywitała się. Chciała brzmieć przyjaźnie, ale w jej uszach zabrzmiało to jak histeryczny pisk. – Znacie takie rodzeństwo, chyba bliźnięta, mniej więcej w moim wieku?

Dzieci gapiły się na nią bez słowa, jak skamieniałe.

– Może mieszkają gdzieś...

Urwała w pół zdania.

Spojrzała na lalki leżące na trawniku. Dawno takich nie widziała, z włosami i szklanymi oczami. Te tutaj były upaprane ziemią, jakby wyciągnięte ze śmietnika. Leżały przy prostokątnym dołku wykopanym plastikowymi łopatkami.

Palce dzieci również były pobrudzone wilgotną ziemią.

– Znacie ich? – podjęła.

Dzieciaki dalej gapiły się bez słowa. Poczuła, że Ryan staje obok.

Chłopiec wskazał na dom po drugiej stronie ulicy.

– Tam mieszkają? – zapytała Frankie.

Pokiwał głową.

– Jak się nazywają?

– Buddy – odpowiedział cicho chłopiec.

– Darlene – dodała dziewczynka. – Ale nie bawcie się z nimi.

Frankie i Ryan wymienili spojrzenia.

– A dlaczego?

– Bo są źli.

– Zabili Milo – powiedział chłopczyk.

Nagle zrobiło się zimno, a może tylko tak się obojgu zdało.

– Kim był Milo? – zapytał Ryan.

– To był nasz kot – rzekł malec.

– Buddy i Darlene zabili waszego kota? – Frankie poczuła, że zaraz puści pawia.

– Zakopali go. Żywego. A potem siedzieli na jego grobie, aż przestał miauczeć.

Frankie chciała coś powiedzieć, ale w ustach miała pustynię.

Ryan również wyglądał niewyraźnie.

– Powiedzieliście o tym rodzicom? – zapytał cicho.

– Nie, bo zagrozili, że jeśli powiemy dorosłym, to i nas zakopią – zaczęła dziewczynka.

– Jak jeszcze będziemy żyć – uzupełnił chłopiec.

– I zabili królika z domu obok.

Frankie poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

– Zabrali go z zagrody i wynieśli do lasu – ciągnęła dziewczynka. – Widzieliśmy ich.

Dzieciaki wyglądały tak, jakby za chwilę miały uderzyć w płacz.

Ryan szturchnął Frankie w ramię.

– Spadajmy stąd. Mówiłem, że to kiepski pomysł. Buddy i Darlene to kompletni psychole.

– Czekaaj! – Frankie pochyliła się w stronę dzieci. – Czy ten królik był biały?

– Tak. – Dziewczynka pokiwała główką. – Biały słodziak.

– A mówili, co chcą zrobić z tym królikiem?

– Nie, ale Buddy powiedział, że jak się wygadamy, zabiorą nas do niego .

– Do kogo?

Chłopiec wyszeptał tak cicho, że ledwie go usłyszeli:

– Do tego, kto mieszka w lesie.

– W tajnej chacie.

– Od dawna.

– On zabił ludzi.

– A jak was złapie, to was udusi albo rozwali wam łby kamieniem!

– Boże...! – mruknął Ryan. – One opisują Everetta Millera!

Ukucnął, patrząc na dzieci.

– On zniknął dawno temu. Nie trzeba się go bać.

– Nie – zaprzeczył chłopiec. – On się tu ukrywa.

– Wciąż tu jest – uzupełniła dziewczynka.

– I jeśli będziecie niegrzeczni, jeśli będziecie chodzić i gadać... Dorwie was! – dokończyły dzieci unisono.

ROZDZIAŁ 16

Znikam...

Słowa przeszywają jego serce jak długi cierni.

Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam.

– Abigail! Nie mów tak! Musisz dać radę. To jest tylko...

Znikam... – powtarza, wchodząc mu w słowo.

Za każdym razem boli tak samo, jak wówczas, gdy po raz pierwszy uświadomił sobie, że ją straci.



Rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty ósmy.

Lato minęło, przeszła jesień i nastąpiła ponura zima. Zimno zmusiło ich do wprowadzenia się do domu, który Abigail dzieliła z mężem, choć prawie nigdy go nie było. Ciągle w trasie, jak mówiła. Obwoźny sprzedawca czy coś takiego. W pomieszczeniu wyglądała jakoś dziwnie. Znał ją tylko ze spotkań na łonie natury, z pikników nad jeziorem. Tam zdawała się być na miejscu, pośród zwierząt i polnych kwiatów, skryta bezpiecznie wśród drzew i skał. Pierwszego dnia, gdy poznał Kozła i Lisicę, został przyjęty do ich bandy, stał się członkiem gangu. Wiedział, że jeśli powie matce, że włóczy się z parą dzieciaków i kobietą w jej wieku po lasach, matka dostanie świra. Zamęczy go pytaniami, czego może chcieć od trójki nieletnich dorosła kobieta. Daje im dragi? Jest zboczona?

Matka nie rozumiała, że ktoś może być po prostu dobry i czysty.

Zanim zaczęli spotykać się w pomieszczeniu, jeszcze jesienią, Abigail zabrała ich na wycieczkę.

Nie wiedział, że właśnie w tym czasie hordy turystów przybywają do Maine, by podziwiać jesienne listowie. Dla niego to był normalny widok, jak co roku o tej porze. Ładne, a owszem, ale przecież dość nudne. Sposób, w jaki mówiono o tutejszej przyrodzie w telewizji, sprawiał, że wyobrażał sobie, że reszta świata jest pokryta wyłącznie betonem i wiechciami zimozielonych krzewinek.

Miał czternaście lat, a w tym wieku ma się gdzieś listowie.

Abigail otworzyła mu oczy na jej piękno.

Tamtego wrześnieowego poranka wyruszyli w drogę jej plymouthem voyagerem z rocznika osiemdziesiąt cztery. Auto było brązowe, jakby wypłowiałe, a na drzwiach miało panele udające drewno. W drodze opowiadała o historii regionu i o duchach od wieków zamieszkujących tutejsze lasy. Ożywiały drzewa, ziemię, nawet skały. Patrzył na tył głowy Lisicy, a Abigail mówiła tak szybko, że ledwie nadążał. Nie rozumiał niektórych długich, obco brzmiących słów, nawet nie potrafiłby ich zapisać, ale wiedział, o czym mówi. To miejsce, ziemia, na której żyli, była święta.

Stukała dłonią w kierownicę, a jej głos był pełen pasji.

– I pozwalamy ludziom, żeby to wszystko niszczyli!

Chyba od tego gadania zaschło jej w gardle, bo zaczęła kaszleć i nie mogła przestać, nawet po wypiciu wody z butelki, którą podała jej siedząca obok Lisica.

Bał się, że wylecą z drogi, ale Abigail się ogarnęła. Włączyła radio, rozległ się jakiś rock.

– O rety! – ucieszyła się, gdy zaczął się kawałek Led Zeppelin i po chwili wszyscy podśpiewywali.

Gdy rozległo się Iron Maiden, zaśmiewali się z Lisicy naśladowującej wokalistę, ale gdy zabrzmiał głos Jona Bon Jovi, Koziół jęknął:

– To nie żaden prawdziwy rock, tylko jakieś pedalskie zawodzenie!

– A ja go lubię! – usadziła go Abigail. – Uważam, że jest cholernie seksowny!

Lisica, chichocząc, przyznała jej rację.

No i znowu śpiewali wszyscy, choć to był nieprawdziwy rock, tylko *Living on a Prayer*.

Gdy byli tutaj razem, czuł, że są jego prawdziwymi przyjaciółmi, ale gdy mijali się na szkolnym korytarzu, nie zaszczycał go nawet przelotnym spojrzeniem. Na początku go to bolało, ale zrozumiał, że jako nowy w stadzie musi zdobyć ich zaufanie. Nawet nie został jeszcze przechrzczoney.

Abigail jak dotąd nie odkryła jego zwierzęcego totemu.

Spojrzał na Kozła, który jak zwykle prawie się nie odzywał. Może i cichy, ale wielki i silny, z buzującymi hormonami w postaci puszkę nad wargą i pryszczycy. Ciało miał miękkie i różowe, zawsze woniał tanim dezodorantem. Mieszkał z dziadkami w przyczepie po drugiej stronie miasteczka. Plotka głosiła, że jego ojciec pobił matkę na śmierć i teraz kiblował w pierdlu.

Lisica dla odmiany mieszkała w ładnym domu w bogatej części miasteczka, choć w Penance nigdzie nie było tak naprawdę bogato. Buntowniczką z dobrego domu, nienawidzącą rodziców i przekonana, że żywią do niej również wyłącznie niechęć. Podejrzewał, że dzieje się tam coś niedobrego. Może jej rodzice byli zimni i oschli, jak jego matka, a może coś jeszcze gorszego. Lisicę ciągle widywał z książką, czytała wszystko o duchowości i historii, co podsuwała jej Abigail. Często przyłapywał ją z nosem w książce o magii, którą nabyła w lokalnym sklepiku prowadzonym przez hipisów, takim, gdzie sprzedają kadzidełka, kryształki i makramy. Ciekawe, czy były tam jakieś zaklęcia miłosne?

Chętnie rzuciłby urok na dziewczynę, by się w nim zakochała.

Gdy o tym pomyślał, Lisica się odwróciła, jakby usłyszała to pragnienie. Poczł, że się rumieni.

– Nad czym tak dumasz? – zapytała.

– Ja tylko... Zastanawiałem się, kiedy dostanę nowe imię.

– Niedługo! – Abigail uśmiechnęła się do niego we wstecznym lusterku, po czym znowu rozkaszała.

Bał się, że tym razem na pewno straci panowanie nad autem, ale Lisica chwyciła kierownicę i ustabilizowała tor jazdy.

Abigail zwolniła i zatrzymała się na poboczu.

– W porządku? – zapytali prawie chórem, a ona uspokajająco pokiwała głową, bo nie była w stanie jeszcze się odezwać.

– Jesteśmy! – oznajmiła wreszcie, a po chwili dodała: – To znaczy prawie jesteśmy, teraz jeszcze kawałek przejdziemy.

Spojrzał na ścianę potężnych drzew. Abigail mówiła, że te sosny mają trzysta lat. Wyszli z auta i stanęli na ścieżce prowadzącej w głąb lasu.

– No to chodźcie! – zachęciła.

Choć nawykł do lasów, w końcu od zawsze żył prawie wśród drzew, to tym razem czuł się jakoś inaczej. Pierwotna puszcza rosła na obszarze jakichś stu akrów. Chwilami ścieżka była ledwie widoczna, pokrywała ją gruba warstwa opadłego igliwia. Niższe drzewa liściaste, klony, płonęły żółcienią i oranżem.

Prawdziwy świat znikał za nimi, a oni wchodzili do bajki. Zniknęła cicha droga za ich plecami. Naszła go ochota, by się rozebrać do naga i puścić biegiem, jakby wnoszenie tu jakichkolwiek rzeczy wytworzonych przez człowieka było bluźnierstwem. Oczywiście, że nie obnażyłby się przy nich, szczególnie przy Lisicy, ale gdy tak wchodzili głębiej i głębiej w las, po dwóch czy trzech kilometrach, poczuł, że przenika go jakaś pradawna mroczna siła, jakby zasysał energię z ziemi. Nigdy wcześniej nie miał tak wyczulonych zmysłów. Czuł w ustach posmak jesiennego powietrza, przesyconego zapachem igieł; opadłe liście szeleściły pod jego stopami, a wyraziste kolory raziły w oczy. Miał wrażenie, że drzewa ze sobą rozmawiają, bo wokół rozlegał się szum podobny buczeniu rozdzielni prądu. Może Abigail dosypała czegoś do ich butelek z wodą? Od czasu do czasu wspominała coś o eliksirach. Przez chwilę zdjął go lęk, że może wpadł w pułapkę, ale gdy patrzył w twarz Abigail, która zauroczona spoglądała w górę, zdał sobie sprawę z tego, że myśli jak matka. Odepchnął od siebie właściwą jej podejrzliwość.

Abigail była dobra.

Abigail była czysta.

Wyciągnął rękę i dotykał z rewerencją potężnych pni sosen; miał wrażenie, że czuje pod korą pulsowanie, jakby faktycznie był częścią jakiejś potężnej sieci życia i teraz wpadł w sam jej środek. Gdyby powiedział to głośno, zabrzmiałoby jak bełkot, ale przecież w jego głowie było pierwotną prawdą. Nie znaczył nic, jak igielka w poszyciu, ale to przecież pojedyncze igielki tworzyły poszycie, tworzyły materię nowego życia. Widział, że jego towarzysze również to czują. Ich oczy jaśniały w zarumienionych twarzach.

Abigail zatrzymała się i spojrzała prosto na niego. Na tle tego magicznego lasu wyglądała jak jeden z odwiecznych duchów, o których opowiadała. Jak boginka. Poczuł to po raz pierwszy w życiu: poczuł miłość. Nie jakieś

niezdrowe nakręcenie jak przy Lisicy, nie jakiś mdły afekt, którym darzył matkę.

To była wiedza, że zrobiłby wszystko dla tej kobiety. Umarłby za nią. Zabiłby dla niej.

Gestem przyzwała go do siebie. Gdy podszedł, zaczęła znowu kaszleć, a on patrzył bezradny, jak zgina się wół. Z jej gardła wyrwały się mokre, nieprzyjemne dźwięki.

– Czy wszystko...?

Przerwała mu zapowietrzonym głosem.

– Mam to, twój zwierzęcy totem!

Zamarł. To właśnie ta chwila. Teraz naprawdę stanie się częścią ich stada. W pełni.

– Kruk – powiedziała, wyciągając do niego rękę.

Kozioł i Lisica przyglądali się im.

Później sprawdził znaczenie tego totemu. Kruk oznaczał pełnię i jednocześnie otwartość na zmiany. Najważniejsze jednak było to, że gdy Kruk poczuje misję, nie spocznie, dopóki nie wypełni powierzonego mu zadania.

W tamtej chwili jednakże nie myślał jeszcze o tym wszystkim. Patrzył na Abigail, na jej wyciągnięte w jego stronę dłonie.

Na połyskujące na nich kropelki krwi.



Znikam! – mówi znowu.

Nie chce się bać. Jest Krukiem.

A gdy Kruk pozna swoją misję, nigdy się nie ulęknie.

ROZDZIAŁ 17

Siedziałem na tarasie, gapiąc się na stojącą na stoliku pustą butelkę po piwie. Było już niemal zupełnie ciemno, a Frankie jeszcze nie wróciła.

Spojrzałem w stronę domku numer dwanaście. David i Connie weszli do środka już jakiś czas temu. Może pójść z nimi pogadać? Być może wiedzą, dokąd się młodzież wybrała. A może przejść się po ośrodku? Gdybym przyłapał ich siedzących pod drzewem i jedzących lody, wyszedłbym na nadopiekuńczego tatuśka, a taki z pewnością nie chciałem być. Frankie potrzebowała czasu tylko dla siebie, z chłopakami czy przyjaciółmi.

Ale były przecież jakieś granice, prawda? Ściemniło się, a ona nie powiedziała, dokąd się wybiera. Zdecydowałem, że jeśli nie wróci za dwadzieścia minut, wyruszę na poszukiwania.

Wszedłem do środka, żeby się wysikać.

Przez kwadrans łąziłem po pokoju bez celu. I jeszcze przez kolejne trzy minuty.

Nagle usłyszałem na zewnątrz kobiecy krzyk.

– Pomocy! Niech mi ktoś pomoże!

Wybiegłem z domku i dostrzegłem, że David zrobił to samo.

Krzyczała Tamara, stojąca na tarasie chatki naprzeciwko. Szarpała się za włosy, wzrok miała nieprzytomny.

– Pomocy, błagam!

Dopadliśmy jej z Davidem w tym samym momencie.

– Donna! – wysapała i zdawało się, że za moment zemdleje.

Weszliśmy za nią do środka, mruzczyła coś o lekach.

– Myślałam, że będzie już w porządku, nie wiedziałam, że...

Nie bardzo rozumieliśmy. Spojrzeliśmy na siebie z Davidem, bojąc się przekroczyć próg sypialenki.

Ale weszliśmy.

Donna leżała na plecach na podłodze, nie poruszała się. Palce jednej dłoni zacisnęła wokół złotego krzyżyka, który zawsze nosiła na szyi, tak mocno, że na pewno wrzynał się w jej ciało. Twarz jednak miała spokojną, jakby spała.

Opadłem na kolana tuż przy niej. Nie oddychała. Nie wyczułem pulsu na nadgarstku dłoni ściskającej krzyżyk. Tamara dreptała za moimi plecami, mamrocząc w kółko:

– O nie, o nie, o nie...

– Znasz się na reanimacji? – zapytałem Davida.

Pokręcił głową.

– A ty się znasz?

– Nie – zaprzeczyłem, ale coś mi się zdawało, że nawet wykwalifikowani sanitariusze nic by tutaj nie zdziałali. Kobieta nie żyła.

Tamara patrzyła na mnie błagalnie, ale przecież też już wiedziała.

– Pójdę po kogoś – powiedział David i wyszedł z pokoju.

Wstałem.

– Wyjdźmy na powietrze – zasugerowałem, delikatnie kierując Tamarę w stronę tarasu. Nie zamierzałem zostawać w pokoju z trupem i Tamara też na pewno nie miała na to ochoty. Davida nie było już nigdzie widać.

Przypomniałem sobie, jak źle wyglądała Donna, gdy wróciły z apteki.

– Co się stało? – zapytałem. – Chorowała na serce? To dlatego byliście w aptece?

Chwilę potrwało, nim Tamara zdobyła się na odpowiedź, aż w końcu słowa wydostały się z niej, mokre i pogniecione.

Donna zapomniała z domu swoich beta-blokerów. W zeszłym roku przeszła zawał, który prawie ją zabił. Od tamtego czasu brała leki. Przysięgała, że bierze je ze sobą, ale nie wzięła. Oskarżała Tamarę o to, że je wyrzuciła, ale przecież nie zrobiłaby czegoś takiego!

– Nie udało wam się zdobyć niczego w aptece?

Pokręciła głową.

– Powiedzieli, że trzeba czekać dobę na dostawę. Nie powinniśmy były wyjeżdżać z miasta. Myślałam, że dobrze jej to zrobi, pod warunkiem że nie będzie się forsować. Wypoczynek bez skoków pulsu. A teraz, gdy odeszła... Nie było mnie przy niej! Pokłóciłyśmy się o moje rzekome wyrzucenie pigułek, więc poszłam pod prysznic, by ochłonać. A gdy w końcu wyszłam... Tak ją znalazłam.

Wszedłem na moment do środka, by wziąć jakąś chusteczkę. Wytarła oczy i wydmuchała nos.

Pomyślałem o tym, jak kurczowo Donna ścisnęła krzyżyk w momencie śmierci. Musiała istotnie być głęboko wierząca. Nie wiedziałem, czy Tamara podzielała jej poglądy, ale zaryzykowałem stwierdzenie:

– Jest już w lepszym miejscu.

Tamara spojrzała na mnie i rzekła niespodziewanie:

– Była przekonana, że trafi prosto do piekła.

– Słucham?

– Gdy przeszła pierwszy zawał, była przekonana, że to kara za nasz grzech, za to, że żyjemy ze sobą.

Więc jednak były parą.

– Tak została wychowana. Jej ojciec gadał o piekle, grzechu i karze przy śniadaniu. To był człowiek, który wystawił szesnastoletnią córkę na ulicę i stwierdził, że może iść prosto do diabła.

Pokiwałem tylko głową, bo co mógłbym odpowiedzieć? Dałem Tamarze się wygadać.

– Ten lęk nigdy jej nie opuszczał. Za dnia wszystko było w porządku, ale gdy robiło się ciemno... Miała koszmary, bardzo realistyczne. Śniła o tym, że idzie po nas sam diabeł. Gdy zmieniła parafię na bardziej liberalną, przez jakiś czas było lepiej, ale po tym zawale znowu stała się tamtą przerażoną szesnastolatką. Sądziła, że wszystkie przepowiednie tatusia się spełnią. – Usta Tamary wygięły się w podkówkę. – Ten cholerny drań! Gdyby od dawna nie żył, to...!

– To straszne.

– Prawie się przez to rozstałyśmy. Nie bała się tylko o siebie, chciała ratować również moją duszę. A może ratować mnie przed własnym ojcem i jego gniewem.

Wrócił David, prowadząc ze sobą Vivian. Weszliśmy do sypialni, Vivian, Tamara i ja.

– O mój Boże! – krzyknęła Vivian, padając na podłogę, by szukać u Donny pulsu, choć przecież ja już to zrobiłem. Ze smutkiem pokręciła głową, po czym wstała i podeszła do Tamary.

– Tak mi przykro, kochana! – rzekła łzawo.

Wyszedłem na zewnątrz, gdzie odnalazłem Davida i opowiedziałem mu wszystko, co wychlipała mi Tamara. Westchnął, ale nagle się otrząsnął:

– Czekaj no chwilę!

Gestem dał znak, bym poszedł za nim do sypialni, gdzie Tamara siedziała na łóżku, a Vivian szeptała coś przez krótkofalówkę, relacjonując wydarzenia komuś w recepcji.

David podeszedł do nocnego stolika, wziął do ręki fiolkę leków i wręczył mi ją.

– Popatrz na to.

Przeczytałem etykietkę.

To były rzekomo zaginione beta-blokery, podpisane nazwiskiem Donny. Buteleczka była prawie pełna.

Tamara zerwała się z łóżka i wyrwała Davidowi fiolkę.

– Gdzie to znalazłeś?

– Tutaj stały, na nocnym stoliku. Czy to te pigułki, które Donna zgubiła?

Tamara pokiwała głową, skonfundowana.

– Przecież szukałam, wszędzie, przetrząsnęłam cały pokój!

– Może znalazła je przed tobą? – zasugerował David.

– Ale naprawdę wszędzie patrzyłam! – powtórzyła Tamara i ze szlochom opadła na fotel, ściskając kurczowo fiolkę.

ROZDZIAŁ 18

Dotarli do głównej drogi. Frankie nie przestawała się trząść. Chciała wracać do domu, do Albany, albo nie, jeszcze dalej. Do Anglii. Do dzieciństwa. Nieważne dokąd, byle dalej od tego miejsca!

Teraz była już pewna, że Buddy i Darlene chcą ją dopaść. To oni podrzucili martwego królika. Zwierzaka, którego ukradli sąsiadom i zamordowali, bez wątpienia. Może mrówki to też była ich sprawka. I zaginięcie butelki. Może to oni strzelali w lesie.

No i co zamierzali jeszcze zrobić? Pobić ją i pochować żywcem, jak kota tamtych dzieciaków?

Prawie nie mogła oddychać.

– Frankie! – Głos Ryana dolatywał jakby z bardzo daleka. – Frankie!

– Chcę wracać do ośrodka – powiedziała.

Potknęła się, ale zdołał ją przytrzymać, zanim runęła na ziemię.

– Cukier ci spadł. Pamiętasz ten market przy głównej ulicy? Może zaczekasz, a ja pobiegnę i coś ci kupię, a potem wracamy.

– Nie!

Krzyknęła tak głośno, że aż się odsunął o krok.

– To wszystko przez ciebie! – wrzasnęła. – Gdybyś nie zamieścił tego durnego obraźliwego posta, nawet by nie wiedzieli o naszym istnieniu!

– Nie, bo już wcześniej się na nich natknęliśmy, zapomniałaś?

Nieważne.

– To przez ciebie zabili królika.

– Przestań, to nie fair!

– No jasne, że nie. Po co to zrobiłeś? Musiałeś być takim bucem?

Jego twarz stężała.

– Pokazałem ci post chwilę po zamieszczeniu go. Skoro uważałaś, że to takie chamskie, trzeba było mi powiedzieć.

– To było zaraz po tym, jak cię poznałam! Jezu, przecież teraz też cię nie znam. Miałam spędzić luzackie wakacje z tatą, a zamiast tego zostałam wciągnięta w jakieś szaleństwo! Przez ciebie! Żałuję, że cię w ogóle...

– Zamknij się! – Teraz to on krzyknął. Zakrył uszy dłońmi, jakby chciał odciąć się od niej. – Przestań jęczeć i mnie obwiniać!

– Nie jęczę!

Zaczął ją przedrzeźniać cienkim głosem:

– „Gdybyś nie zamieścił tego durnego obraźliwego posta!” Pieprz się, Frankie!

Cofnęła się, jakby ją uderzył.

– Odwal się ode mnie! – warknęła. – Nigdy więcej nie chcę z tobą rozmawiać!

Odwróciła się i rzuciła biegiem w stronę ścieżki przez las. Nie sądziła, że jest w stanie narzucić sobie takie tempo, nie gnała tak nawet podczas zawodów sportowych, gdy było już widać metę. Ryan ją wołał, ale biegła tak szybko, że uderzenia krwi w uszach, przyspieszony oddech i szuranie kroków zlały się w masę dźwięków. Zdawało jej się, że jest tuż za nią, ale nie była tego pewna.

Gdy wbiegła do lasu, przytrzymała się na chwilę drzewa, a potem rzuciła na oślep w kierunku, z którego przyszli.

Dopiero po kilku chwilach zdała sobie sprawę, że jest już prawie ciemno. Zmrok zapadał dziwnie szybko, a ścieżki nieomalże nie było widać. Drzewa i krzewy rysowały się czarno na grafitowym tle. Las nie wydał się jej już taki ładny jak za dnia.

Przystanąła, musiała się pozbierać. Biegła i biegła; była pewna, że w stronę domków, ale teraz ta pewność gdzieś uleciała. Zaczęła nasłuchiwać, bo Ryan na pewno rzucił się za nią, powinien ją wołać, ale wokół panowała głucha cisza. Wmawiała sobie, że ma gdzieś to, że on ma ją gdzieś. Było jej wszystko jedno.

Czy aby na pewno, zwłaszcza teraz, gdy znalazła się sama w ciemnym lesie? I nie wiedziała, w którą stronę pójść?

Zabiorę nas do niego. Do tego, kto mieszka w lesie.

Znowu poczuła, że za moment zwymiotuje ze strachu.

„On nie istnieje!” – powtarzała sobie. „To głupia miejscowa legenda. Morderca zniknął dwadzieścia lat temu”.

Wzięła kilka głębokich oddechów, uspokoiła się i rozejrzała, próbując ustalić, gdzie się znajduje.

Słyszała szum liści poruszanych wiatrem i... Skrobanie?

To martwy kot, chce się wydostać z grobu.

„Zamknij się!” – krzyknęła do swojego umysłu. „To ptak, to tylko jakiś ptak. Nic groźnego”.

Racjonalne myślenie szybko ją jednak opuszczało, ustępując pierwotnemu lękowi. Spróbowała kolejny raz odetchnąć głęboko.

Powinna chyba zawrócić do jakiegoś znajomego punktu, ale wciąż była przekonana, że ośrodek jest tuż-tuż, ale w tym gęstniejącym mroku ciężko było to orzec. Wszystkie drzewa i prześwity pomiędzy nimi wyglądały jednakowo. Wysiliła słuch i zdało jej się, że w oddali słyszy jakieś przyciszone głosy. Ludzi spędzających wieczór nad jeziorem.

Wyciągnęła przed siebie telefon, chcąc zapomnieć, jak szybko latarka zużywa baterię, a miała już tylko trzynaście procent, i podążyła za głosami. Niektórzy twierdzili, że trzynastka to pechowa liczba. A może jednak zawróci, odszuka Ryana? Teraz już się jej nie wydawało, że nie chce go więcej widzieć, gdy snuła się między drzewami przerażona i zagubiona. No ale on z pewnością po tej scenie nie chciał widzieć jej. Do końca wakacji nie wyjdzie z domku. A jeśli ojciec będzie o cokolwiek pytał, powie, że jest chora. I że chce wracać do domu.

Doszła do rozwidlenia ścieżki. W prawo czy w lewo? Niczym się nie różniły. Chyba w prawo, do domków? Obawiając się, że za chwilę nie będzie w stanie podjąć decyzji, ruszyła w prawo. Po kilkunastu krokach ścieżka stała się bardziej zarośnięta, jakby las ją połykał. Frankie uniosła światełko, ale przed sobą zobaczyła tylko pnie i płataninę nisko wiszących gałęzi. Coś tu nie grało. Odwróciła się, postanawiając zawrócić do rozwidlenia, zagłuszyć głosik w głowie, który mówił, że zgubiła się na amen.

Szła i szła, ale do rozwidlenia nie doszła. Ścieżka skręcała w lewo i stała się jeszcze węższa. Frankie powtarzała sobie w duchu, żeby nie panikować, klnąc jednocześnie na brak zasięgu i siedem procent naładowania baterii.

Przyspieszyła, przekonana, że w końcu dotrze do jakiejś cywilizacji, choćby kierowana tylko siłą woli.

Potknęła się i upadła; jęknęła boleśnie, gdy uderzyła o ziemię. Przez środek ścieżki przebiegał korzeń. Może przez minutę siedziała na ziemi, rozcierając piszczel.

– Wszystko dobrze... – szepnęła, a jej głos w tej martwej ciszy brzmiał obco i dziwnie.

Wyłączyła latarkę, nie chcąc rozładować telefonu. Poczowała się jak Małgosia z bajki, która nie potrafiła wypatrzyć na ścieżce okruszków wyznaczających drogę.

Jak Małgosia, która trafia w końcu do sekretnej chatki w lesie...

Przegnała tę myśl i wstała, upewniając się, że może iść.

Wówczas coś usłyszała, odległe podzwanieanie.

Dzwoneczki wiatrowe.

Skoro to słyszy, to dotarła znów do Penance. To dobrze; jeśli będzie podążać za dźwiękiem, wyjdzie na obrzeża miasta. Może znajdzie tam taksówkę, która zawiezie ją do ośrodka. Tata zapłaci za kurs na miejscu.

Włączyła latarkę, z przerażeniem zauważając, że zostało tylko cztery procent baterii, i ruszyła przed siebie.

Podzwanieanie stało się głośniejsze. Czyli szła w dobrym kierunku, choć nie miała pojęcia, jakim cudem znalazła się tak blisko miasta. Musiała źle skręcić. Przyspieszyła, pewna, że za chwilę ukażą się światła miasta. Miała w nosie fakt, że w tym właśnie mieście żyli ludzie, którzy jej nienawidzą. Chciała tylko wydostać się z tego przekłętogo lasu. Wiatr się wzmógł, ale czuła, że popycha ją we właściwą stronę, podrywając z ziemi opadłe liście i igły.

Jakby las podpowiadał jej, dokąd ma iść.

Znowu stanęła na rozwidleniu. Brzęczenie dzwoneczków dobiegało gdzieś z naprzeciwka, ale ścieżki prowadziły na boki. Stłumiła krzyk bezsilności. Jeśli znowu zacznie kluczyć, zgubi się na dobre. Miasto przecież najwyraźniej leżało przed nią. Mogła ruszyć przez gąszcz, wolno i ostrożnie. Przed siebie, za dźwiękiem, za wiatrem.

Zeszła ze szlaku i ruszyła między drzewa. Miała wrażenie, że znowu czuje każde zadrapanie na plecach, a świeży siniak na nodze pulsował. Słyszała jakieś stworzenia poruszające się w poszyciu i szeleszczące nad jej głową,

więc przyspieszyła, na ile była w stanie, przytrzymując się pni i unikając chłoszczących twarz witek. Poświata latarki odbijała się od ziemi. Zostało dwa procent i musiała, po prostu musiała dotrzeć do miasta, zanim telefon padnie. Dzwonki były już dobrze słyszalne, więc miasto znajdowało się bliżutko.

Drzewa jakby nagle się rozstały.

Stanęła na krawędzi polany, na której dotąd nie była. Miasto musi się znajdować za nią; ruszyła biegiem, jak tonący z ostatnim haustem powietrza w płucach, rzucający się w stronę powierzchni. Gęste trawy otaczały czarne ściany drzew.

Po lewej stronie spomiędzy nich wyłoniła się jakaś sylwetka.

Frankie nie była w stanie krzyknąć. Zatrzymała się gwałtownie, zachwiała i zawróciła. Telefon wypadł jej z ręki, ale była zbyt przerażona, by się po niego schylić. Na nieprzysłoniętym koronami drzew niebie wisiał księżyc i dawał wystarczająco dużo światła, by rozpoznawała kształty w ciemności.

Kolejne dwie postaci stojące przed nią.

Dwie z przodu, jedna z tyłu. Stały bez ruchu, obserwując ją. Walcząc z narastającą paniką, zdała sobie sprawę, że nie widzi ich twarzy.

Bo to wcale nie są ludzie.

Z jej piersi wyrwał się krzyk. Frankie rzuciła się biegiem w stronę drzew, do lasu, bezmyślnie, w hysterii. Nie była w stanie racjonalnie myśleć.

A te figury, te postaci, które nie były ludźmi, zostały z tyłu, nieruchome.

Patrzyły za nią.

Przystanęła, zanim wbiegła pomiędzy pnie, bo coś mówiło jej, by nie wracała do lasu. Nie bez latarki. Czuła, jak po jej policzkach płyną piekące łzy. Co robić, co robić? Co ma robić? Chciała do mamy, do taty, do kogokolwiek. Żałowała, że w ogóle tu przyjechali, że poznała Ryana, że jej się spodobał. To była jakaś kara za całe zło, jakiego kiedykolwiek się dopuściła. Te leśne stwory dopadną ją i zabiją, tak samo jak zabiły tamtych nauczycieli.

Poddała się.

Odwróciła się w ich stronę, gotowa przyjąć taki los. Nie była w stanie dłużej uciekać.

Otworzyła spierzchnięte usta, by coś powiedzieć, choć nie wiedziała tak naprawdę co.

I wtedy poczuła na ramieniu czyjaś dłoń.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 19

W dzień po pogrzebie Abigail, wiosennym rankiem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, cała trójka spotkała się nad jeziorem, w miejscu, w którym Kruk po raz pierwszy natknął się na pozostałych. Nawet się nie umawiali, po prostu wszyscy poczuli, że tam właśnie mają się udać. Kruk obawiał się, że gdy zabraknie liderki, ich małe stado się rozpadnie, ale uspokoiły go jej ostatnie słowa, ostatnie, jakie skierowała do nich wszystkich, zanim wbrew jej woli umieszczono ją w szpitalu.

– Wasza trójka – powiedziała wtedy – musi trzymać się razem. – Głos miała słaby, ale w jej oczach błyszczały mądrość i siła. – Tylko wy rozumiecie to miejsce. – Przenosiła wzrok po kolei na każde z nich. – Pamiętajcie, czego was nauczyłam. Zapamiętacie?

Pokiwali głowami.

– To jest święte miejsce, nasze święte miejsce. My...

Wtedy pomiędzy drzewami rozległ się jakiś hałas. Młode głosy, śmiech, niewyraźne tchnienie papierosowego dymu. Dzieciaki z obozu. Abigail tylko westchnęła, ale Kruk poczuł w żołądku ucisk gniewu. Ruszył w tamtą stronę, a reszta poszła za nim, i stanął przed nastolatkami akurat wtedy, gdy jeden z nich rozdeptywał niedopałek.

– Hej, dupku, podnieś to!

Rzucił się do bitki, kurczowo zaciskając pięści, ale Koziół go przytrzymał. W jego żyłach syczała wściekłość. Wrzeszczał za uciekającymi dziećmi, a widok ich przestraszonych buziek sprawił mu przyjemność.

– Tak jest! – krzyczał za nimi. – Spieprzajcie na wasz oboziki!

Wrócili do Abigail. Wyglądała na bardzo słabą. Może i byli młodzi i niedoświadczeni, ale wystarczająco dorośli, by zdać sobie sprawę z tego, że zostało jej niewiele czasu. Choroba bardzo szybko ją pożerała.

– Dziś jest pełnia – szepnęła. Wielokrotnie opowiadała im o fazach księżyca i o tym, jak wiele pierwotnych ludów opierało swoje wierzenia na systemie lunarnym. – Dobra noc na odejście.

– Nie mów tak, błagam! – W oczach Kozła błyszcząły łzy.

Ujęła jego twarz w dłonie.

– Zawsze tu będę!

– Co to znaczy? – zapytała Lisica.

Abigail się uśmiechnęła, ale oczy miała smutne. Musieli się pochylić, by dosłyszeć jej słowa:

– Dlaczego miałabym dokądkolwiek stąd odchodzić? Zostanę tutaj, dzieciaki! – Zaśmiała się bez przekonania, patrząc w stronę miejsca, z którego przegonili małolaty z obozu. – To miejsce potrzebuje ochrony. Za każdym razem, gdy usłyszycie liście poruszone wiatrem, fale uderzające o brzeg, gdy potkniecie się o kamień...

Teraz wszyscy zaśmiali się przez łzy.

– To będę ja.

Odeszła, a las milczał. Woda stała gładka jak lustro.

Oni również się nie odzywali. Ani Kruk, ani Lisica, ani Kozioł.

Nie poszli na pogrzeb, gdyż nikt oprócz Logana, męża Abigail, nie wiedział o tym, że przyjaźnili się z kobietą. Wiedzieli, że gdyby przybyli na ceremonię, pojawiłyby się również niewygodne pytania. Wiedzieli także to, że nie wytrzymałoby podczas kameralnej baptystycznej uroczystości. Abigail nie chciała żadnego obrządku; zgodziła się tylko dlatego, że Logan nalegał.

– To co robimy? – zapytał Kozioł, najwidoczniej nie mogąc już znieść tej ciszy.

Lisica wstała z trawy.

– Muszę się zbierać.

Kruk, siedzący na kamieniu nieopodal, spojrzał w jej stronę.

– Dlaczego? Co będziesz robić?

– Muszę się z kimś spotkać – odpowiedziała.

– Z kim?

Westchnęła niecierpliwie.

– Naprawdę muszę się wam ze wszystkiego spowiadać?

Nie chciał się z nią kłócić. Nie chciał sprawiać jej przykrości. Za każdym razem, gdy na nią patrzył, miał wrażenie, że coś po nim łązi, i zbierało mu się na mdłości. Ale gdy była daleko, tęsknił, chciał na nią patrzeć. Nie potrafił zachowywać się przy niej naturalnie. Przy niej zapominał, co to naturalność. Może mu odbijało? A może po prostu tak wyglądało zakochanie. Coś okropnego. Nie mógł jednak nic na to poradzić. Jedynym lekarstwem było odwzajemnienie tego uczucia.

– Odejdiesz? Teraz, gdy nie ma już z nami Abigail? – usłyszał własny głos.

Zawahała się.

– Nie bądź głupi.

– A więc z kim się spotykasz?

– Nie muszę ci mówić.

Jego usta zdawały się żyć własnym życiem.

– To brak szacunku, tak uważam. Przyszliśmy tu, by uczcić pamięć Abigail, i...

– I nawet nie rozmawiamy!

– No to porozmawiajmy. Chętnie posłucham, jak się poznałyście.

Lisica spojrzała niepewnie w stronę ścieżki. Po chwili usiadła i skrzyżowała ramiona na piersi.

– No dobra.

Kruk uśmiechnął się w duchu. Wygrał! I gdy tak siedział, słuchając, jak Lisica i Koziół wspominają Abigail, przyszła mu do głowy pewna myśl, jakże oczywista. Ta grupa potrzebowała nowego lidera. Gdy o tym pomyślał, poczuł coś, łagodny powiew pieszczący jego ramiona i marszczący powierzchnię wody. Uniosły się włoski na jego przedramionach, gdy wiaterek musnął jego twarz.

Lisica właśnie opowiadała o tym, jak przyszła się kąpać nad jezioro, i choć normalnie wyobrażanie jej sobie w kostiumie kąpielowym byłoby bardzo zajmujące, teraz jej głos zmienił się w niewyraźny szum.

Zauważyła, że jej nie słucha.

– Co jest? – zapytała.

Kozioł również na niego spojrział.

Kruk nie był w stanie wydobyć z siebie głosu przez zaciśnięte gardło. Zdał sobie sprawę z tego, że drży.

– Ona tu jest...

– Co? – zapytali równocześnie.

Uniósł drżącą dłoń i wskazał na drzewa. Abigail nie kłamała. Nie porzuciła ich. Nie opuściła tego miejsca. Może nie miała już ciała, leżało gdzieś daleko, ale ona wciąż tu była.

Gapili się na niego, nie rozumiejąc. Nie poczuli jej. A to oznaczało... Że był wybrańcem. Pomazańcem Abigail. Wiedział jednak, że wraz z tym namaszczeniem związana była duża odpowiedzialność. Niewyobrażalnie wielka.

– Nie widzicie jej? – zapytał, czując, że Abigail się do niego uśmiecha. – Przecież ona tu jest!

ROZDZIAŁ 20

Rozległo się pukanie.

Za drzwiami, ze zwieszoną głową, stała rozczochrana Frankie i nerwowo zaciskała dłonie.

A obok niej zobaczyłem Nikki, kobietę z księgarni.

– Znalazłam twoją córkę włóczącą się po ciemku w lesie – wyjaśniła.

Frankie weszła, wciąż wgapiając się w podłogę, a ja odruchowo objąłem ją ramieniem i przycisnąłem do siebie. Choć wieczór był wyjątkowo ciepły i wilgotny, jej ciało miało temperaturę mięsa wyciągniętego z lodówki.

– Włóczącą się po lesie? – powtórzyłem bez sensu.

Dopiero co wróciłem z sąsiedniego domku, gdzie czekaliśmy na karetkę, by odtransportowała ciało Donny. Vivian zadziałała efektywnie, ale ze współczuciem. Cała ta akcja i jeszcze cudownie znikające i pojawiające się leki tak mnie zaaobsorbowały, że przypomniałem sobie o Frankie dopiero chwilę wcześniej, po przekroczeniu progu naszej chatki. Moja córka wyswobodziła się z objęć i pognała do środka, ja za nią, a Nikki stała niepewnie w progu, odziana w czerń, z włosami opadającymi na oczy. Mimowolnie pomyślałem, że jednak bardzo mi się podoba. Nie była klasycznie piękna, ale miała coś w sobie. Jak wokalistka undergroundowej kapeli. Zdecydowanie mój typ.

Nie mogłem jednak teraz o tym myśleć, bo musiałem zająć się Frankie. Już miałem zasypać ją gradem pytań, ale zauważyłem, że drży. Okryłem ją kocem i usadziłem na kanapie.

– Co się stało? – zapytałem.

Nie odpowiedziała. Chyba była w szoku.

Spojrzałem na Nikki, która w międzyczasie weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Błada i cała w czerni wyglądała jak wampirzyca, która sama się

wprosiła.

– Gdzie ją znalazłaś? – spytałem.

– W lesie, niedaleko miasta.

A co Nikki robiła po ciemku w lesie? Chyba wyczuła, że się nad tym zastanawiam, bo wyjaśniła:

– Szukałam Cujo. Zwiął ze sklepu. Wie, że nie wolno mu wychodzić, ale i tak się wymyka na wyzerkę. – Westchnęła. – Sam wróci.

– Nie było z nią Ryana? Kolegi, mniej więcej w jej wieku?

– Nie, była sama.

Spojrzałem na córkę.

– Frankie, a gdzie Ryan? Mieliście się spotkać.

Spojrzała na mnie tak pustym wzrokiem, że aż się wzdrygnąłem.

– To nie byli ludzie... – mruknęła tak cicho, jakby mówiła do siebie.

Usiadłem obok niej na kanapie.

– Frankie, o czym ty mówisz?

Wciąż patrzyła na mnie tym niewidzącym wzrokiem. Nikki obserwowała nas bez słowa.

– Chcę do domu – zaczęła Frankie. – Tatusiu, proszę, nie chcę już tu być! – Ostatni raz nazwała mnie tatusiem, gdy miała sześć lat. – Naprawdę chcę wracać do domu!

Rozpłakała się.

– Co się wydarzyło, Frankie? – Nagle przypomniałem sobie twarz za oknem.

– Nie mogę, tato... Chcę iść do łóżka.

– Oczywiście, już. Powiedz tylko, gdzie jest Ryan? – Naszły mnie czarne myśli. – Czy on ci zrobił coś złego?

– Nie, oczywiście, że nie!

– Więc gdzie on jest?

– Nie wiem.

Odczekałem chwilę.

– Rozdzieliliśmy się – zaczęła moja córka. – Nie mogłam znaleźć drogi do domu i tak szybko zrobiło się ciemno, a telefon mi padał, o Boże, zgubiłam

telefon... I dobiegłam na jakąś polanę, i bałam się, że pojawi się ten facet i zaciągnie mnie do swojej chaty w lesie, a potem zobaczyłam te stwory, które na pewno nie były ludźmi! Chcę już spać, chcę do łóżka!

Wstała, otuliła się szczelnie kocem i poszła do swojego pokoju.

Przez dłuższą chwilę siedziałem jak skamieniały, po czym zwróciłem się do Nikki:

– Popilnuj jej przez moment, dobrze?

Nie mogłem teraz zostawić córki bez opieki, ale musiałem powiadomić Butlerów.

Przebiegłem przez trawnik i zapukałem do nich.

Connie od razu otworzyła.

– Czy Ryan wrócił do domu? – zapytałem.

– Tak, a co?

– Mogę z nim pogadać?

– Bierze prysznic. – Zlustrowała mnie od góry do dołu. – Stało się coś?

– Mówił coś po powrocie?

– Tylko, że kiepsko się czuje. – Wyszła na taras i zamknęła za sobą drzwi. Zerknęła niepewnie w stronę domku, w którym umarła Donna. – Co się dzieje, Tom? Wydarzyło się coś jeszcze?

– Muszę pomówić z Ryanem. Frankie właśnie wróciła i jest w strasznym stanie. Zgubiła się w lesie. Chcę wiedzieć, gdzie, do cholery, był w tym czasie Ryan!

Pojawił się David.

– Co jest?

Connie streściła mu naszą rozmowę.

– Pozwól mi pomówić z twoim synem.

David wyglądał na nieźle wstawionego. Miał zaczerwienione oczy i chwiał się na nogach. Chyba musiał się znieczulić po tej akcji w domku numer piętnaście.

– Poczekaaj chwilę – rzucił i zniknął we wnętrzu, ale wszedł tak, by zatarasować mi drogę.

– Jeszcze się kąpie – powiedział, gdy wrócił po chwili. – To musi poczekać do rana.

Wiedział, że nie będę się wpychać. Ja również nie dopuściłbym do mojego dziecka nikogo, kto miałby jakieś pretensje.

– Dobra, w porządku.

Wróciłem do siebie. Nikki paliła na tarasie.

– Mogę, prawda? – zapytała.

– Pewnie, ja też bym chętnie zakurzył.

Nie zapaliłem jednak. Wszedłem do środka i przez szparę w drzwiach zajrzałem do sypialni córki. Chyba już zasnęła, więc wróciłem na taras i usiadłem naprzeciwko Nikki.

– Widziałaś coś podejrzanego?

– Nie, tylko ją. Wyglądała na przerażoną i totalnie zagubioną.

O czym tak histerycznie mamrotała?

– Mówiła coś o jakimś facecie. I tajemnej chatce. O co chodzi?

Nikki wypuściła w górę chmurkę dymu.

– To lokalna legenda. Zaczęło się po zabójstwie tamtych nauczycieli. Jakiś bezimienny koleś niby kryje się w lesie. Jak cię dorwie, to udusi albo rozwali ci głowę kamieniem. Dzieciaki i młodzież w Penance tak się zabawiają. Wiesz, wyzwanie, kto wejdzie głębiej w las szukać jego chaty.

– Everett Miller.

– No. Nasz lokalny Kuba Rozpruwacz.

– A ta chatka gdzie jest?

– Nigdzie, nie istnieje. – Wzruszyła ramionami.

Mieliłem te informacje.

– Więc pewnie Frankie gadała z tutejszymi dziećmi. Ale...

– Ale co?

– No nie wiem... Mnie też się zdawało, że widzę coś dziwnego. Raczej kogoś. Tylko że... To było raczej zwierzę niż człowiek. Trochę siara, że ci to opowiadam, bo nie wierzę w takie bzdury, ale nie tylko ja miałem zwidy. Ludzie w ośrodku też opowiadają o jakiejś postaci, która niby jest człowiekiem, a zdaje się nim nie być. Im intensywniej teraz o tym myślę, tym

to wspomnienie staje się wyraźniejsze. Widziałem go za domkiem, przez okno. Jakby miał głowę zwierzęcia, jelenia. Albo owcy.

Zapaliła kolejnego papierosa. Ręka jej zadrżała.

– Pierwsze słyszę.

– Na pewno?

Pokiwała głową.

– Boże... Może to jakaś grupowa halucynacja? Jakieś grzybki-halucynki wpadły do studni czy co?

Zaśmiała się, ale ręce wciąż jej drżały. Widziała, że to zauważyłem, więc szybko powiedziała:

– Zimno mi.

– Mnie też. – Potarłem twarz. – Jezu, co za dzień! Właśnie wróciłem od sąsiadów, przed chwilą odjechała karetka.

– A co się stało?

Opowiedziałem jej o Donnie.

– I co, te leki ot tak się znalazły?

– No.

Strząsnęła popiół z papierosa. Skąd miała popielniczkę? Pewnie znalazła w którejś z kuchennych szafek.

– Mnie się ciągle coś takiego przytrafia. Pół godziny szukam pilota od telewizora, a on się potem odnajduje na stoliku, na swoim miejscu.

– To chyba każdemu się zdarza. Ale Tamara przysięgała, że obie szukały, a te pigułki tak sobie stały, na widoku. Myślę, że... Może to głupie, ale co, jeśli ktoś, kto je zabrał, po prostu podrzucił je z powrotem? Może Donna zobaczyła obcego i ze strachu dostała zawału?

– Trochę to naciągane, nie sądzisz?

– Chyba tak, ale wiesz... – Dobra, może i naciągane, ale po tym zwidzie zdało mi się całkiem prawdopodobne. Ktoś nagle się pojawia i straszy Donnę na śmierć. Tak samo prawdopodobne jak to, że widziałem postać ze zwierzęcą głową. I jak to, że Frankie spotkała w lesie jakieś stwory. Ciekawe, jak wyglądał ktoś, kto przestraszył Donnę?

Nagle mnie olśniło. Iskierka, ale wyraźna.

– Maski – powiedziałem.

Nikki się nie poruszyła, czekała na wyjaśnienie.

– Ktoś, albo grupa ludzi, nosi maski. Donna była pewna, że przyjdzie po nią diabeł.

Nikki chciała coś wtrącić, ale jej nie pozwoliłem, unosząc dłoń w uciszającym geście.

– Jeśli zobaczyła kogoś w rogatej masce, we własnym domku...

Szkoda, że nie zdążyłem lepiej się przyjrzeć tamtej rogatej postaci. Tak, to mogła być maska!

Nikki patrzyła na mnie sceptycznie.

– Chyba woda z jeziora zaczyna ci uderzać do głowy, Tom. Tobie i Frankie. Tutaj tak się zdarza.

– Co masz na myśli?

– Wiesz, to pewnie kolejne lokalne pierdu-pierdu, ale niektórzy uważają, że te lasy mają własną świadomość. Że wpływają na ludzi.

– Wpływają?

Westchnęła.

– Wiem, to brzmi jak gadanie potłuczonego, ale... Ja tam zawsze uważałam, że coś w tym jest. Ludzie zaczynają widzieć dziwne rzeczy. Zachowują się tak, jak nie zachowaliby się nigdzie indziej.

Jej słowa zawisły w powietrzu, a my po prostu patrzyliśmy na siebie.

– Lasy namawiają ludzi do różnych rzeczy... – powiedziałem. – Everetta Millera też namówiły?

– No widzisz? Pewnie tak. – Podniosła paczkę ze stolika, ale po chwili odłożyła ją, nie wyciągnąwszy kolejnego papierosa. – Powiem ci coś: to jest dziwne miejsce. Nie tak stare jak pradawna puszcza w pobliżu Jeziora Orlego, ale stare. Może i nie wierzysz w jakąś pierwotną świadomość, ale nie da się ukryć, że takie miejsca działają, może tylko na wyobraźnię. A nasze głowy są pełne obrazków z baśni i horrorów. Gdy do tego dojdą cienie, światło księżycy i hormony, to nagle wyobraźnia odpala jak na sterydach.

A w twojej głowie też dużo się dzieje. Jesteś w żałobie.

Zatkało mnie.

– W żałobie? Wcale...

– A właśnie, że tak. Nie znam dokładnej sytuacji, nie wiem, gdzie jest matka Frankie.

– Mieszka w Albany.

– Stratę przeżywa się bardzo różnie. A ja potrafię to rozpoznać.

Gapiałem się na nią bez słowa. Poczułem się tak, jakby rozerwała mi głowę i zajrzała do środka. Chciałem coś odpowiedzieć, sprzeciwić się, ale przecież miała całkowitą rację. Odniosłem wrażenie, jakbym dopiero w tym momencie poznał sam siebie. Faktycznie byłem w żałobie. Może powinienem w końcu wyrzucić z siebie cały ten żal, teraz, tutaj, przed tą prawie obcą kobietą. Chciałem zaprosić ją do środka i wydawało mi się, że właśnie na to czeka. Mimo że zrobiło się chłodno i rozmawialiśmy na w sumie przykre tematy, między nami iskrzyło. Coś zaskoczyło. Nikki sprawiła, że poczułem się dostrzeżony. Poznała mnie. Ja również chciałem ją poznać.

– Będę się zbierać – powiedziała nagle. – Sprawdzę, czy Cujo wrócił. Martwię się o niego.

Z trudem ukryłem rozczarowanie.

– No ja myślę.

Wstaliśmy jednocześnie. Czułem się niezręcznie, nie wiedziałem, co powiedzieć. Objęła mnie na chwilę, niespodziewanie, po czym zbiegła po schodkach.

– Hej! – zawołałem, ale się nie odwróciła i po chwili połknęły ją wieczorne cienie.

ROZDZIAŁ 21

ŚRODA

Frankie spała do jedenastej, a ja chodziłem jak struty. Musiałem się dowiedzieć, co dokładnie zaszło wieczorem, dlaczego została sama w lesie, ale przecież nie mogłem obudzić jej na przesłuchanie. Sen dobrze jej zrobi.

Zdażyłem już wyskoczyć do Butlerów, mając nadzieję na chwilę rozmowy z Ryanem, ale nie zastałem ich; zniknął również ich wynajęty samochód. Musieli wstać bladym świtem i wyjechać z ośrodka.

Gdy Frankie w końcu wyturlała się z pokoju, zrobiłem jej śniadanie i wycisnąłem sok z pomarańczy.

– Lepiej się czujesz? – spytałem łagodnie.

– Chyba tak.

Apetyt miała, to dobrze, wręcz rzuciła się na jedzenie. A między kolejnymi kęsami wszystko mi opowiedziała.

O pierwszej wycieczce do Penance. O spotkaniu z bliźniętami, Buddym i Darlene. O instagramowym poście, który wywołał tę gównoburzę. Rozwiała moje zmartwienia, że być może potajemnie obściskuje się z Ryanem, bo on przecież jest gejem, a ona i tak ma gdzieś chłopaków i wszyscy są idiotami. Znowu o Instagramie i pogrózkach, które dostała. Zgubiła telefon, więc mogła tylko przytoczyć ich treść, ale podejrzewałem, że i tak nie przyznałaby się, jak poważnie to wyglądało. Przekonywała mnie, że wszystko, co złe, czyli martwy królik, strzały i mrówki w łóżku musiały być aktem zemsty. W końcu streściła ostatni spacer do Penance i przeprosiny, do których nie doszło, bo spotkali z Ryanem jakieś dziwne dzieci i się pokłócili.

Niemożliwe. To wszystko działo się tak blisko, a ja nic nie zauważyłem? Słyszałem wprawdzie opowiastki rodziców, jak to dzieciaki się kryją i nie wiadomo, co tak naprawdę dzieje się w ich życiu, a o to w naszym przypadku

było łatwo, szczególnie że rozdzielał nas Atlantyk. Ale pierwszy raz odczułem to na własnej skórze.

No i stało się, puściły mi nerwy.

– Dlaczego, do diabła, nic mi nie powiedziałaś?

– Wstydziałam się.

– No nie dziwię się! Nie można łązić po mieście i drzeć łacha z jego mieszkańców! Nic dziwnego, że się wkurzyli!

– Ale to nie ja!

– Ty osobiście nie, ale przyklasnęłaś Ryanowi. A potem razem usiłowaliście jakoś to pozszywać, ale tylko naraziliście się na niebezpieczeństwo. Jestem w szoku, Frankie. Sądziłem, że jesteś rozsądna. Ciągle mi powtarzasz, że nie jesteś już dzieckiem, a teraz odwalasz taki numer.

Wstałem i zacząłem łązić w tę i we w tę wzdłuż stołu. Wiedziałem, że muszę się uspokoić, przestać wrzeszczeć, a tymczasem wybuchłem, po części dlatego, że sam byłem spięty ostatnimi wydarzeniami. Czułem złość, że moja córka wyprawiała głupie rzeczy. No i stało się to, czego się od zawsze obawiałem. Dajemy media społecznościowe do zabawy dzieciom, ale one nie są wystarczająco dojrzałe, by pojąć wszystkie implikacje ich używania. Zdawało mi się, że Frankie jest wystarczająco dorosła. No i przecież nie wiedziałem, że jest tu gdzieś zasięg.

Również zerwała się z miejsca.

– Wiedziałaś, że tak zareagujesz, i właśnie dlatego ci nie mówiłam!

Pobiegła do pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Też miałem ochotę czymś trzasnąć. Najchętniej Ryana w pysk, bo to on to wszystko zaczął i rozkręcił tak, że moja córka ostatecznie zgubiła się nocą w lesie. Wyszedłem na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy Butlerowie wrócili, ale auta wciąż nie było.

Wróciłem i delikatnie zapukałem do drzwi sypialenki Frankie.

– Daj mi spokój! – odkrzyknęła.

Otworzyłem.

Leżała na łóżku, gapiąc się przez okno. Gdy wszedłem, odwróciła się w moją stronę. Dojrzałem jej zaczerwienione oczy i płynące po policzkach łzy.

– Powiedziałam, żebyś sobie poszedł!

To był w zasadzie krzyk i coś we mnie pękło. Poczułem skruchę. To ja byłem tu dorosły i tak powinienem się zachowywać. Powinienem jakoś lepiej to rozegrać. Teraz jednak żadne z nas nie było gotowe na rozmowę. Musiałem poczekać, aż oboje się uspokoiimy. Wyszedłem, a gdy zamknąłem drzwi, Frankie przekręciła zamek od środka.



Wyłoniła się z pokoju po dwóch godzinach, żeby się napić i skorzystać z łazienki. Obmyła twarz i związała włosy.

– Co jest? – zapytała, bo gapiłem się na nią.

Była tak podobna do swojej matki, tak bardzo wydorosłała. Wiedziałem jednak, że jeśli jej to powiem, tylko przewróci z jękiem oczami.

– Przepraszam – powiedziałem zamiast tego. – Nie powinienem był na ciebie krzyczeć.

– Nic się nie stało – odpowiedziała, padając na kanapę.

Przysiadłem obok.

– Rozumiem, dlaczego mi nie powiedziałaś. Ale od teraz masz mi mówić wszystko, dobrze? Już nie nawalę, obiecuję. Zgoda?

– Dobra.

– Mogę cię podpytać o zeszły wieczór?

– No – sapnęła.

Nie chciałem znów jej denerwować, ale musiałem się dowiedzieć ze szczegółami, co się wydarzyło. Całymi godzinami myślałem o swojej rozmowie z Nikki. Może faktycznie moje uzalanie się nad sobą i hormony Frankie to była mieszanka wybuchowa, która w połączeniu z sugestywną przyrodą sprawiła, że nawyobrażaliśmy sobie nie wiadomo czego. Że mieliśmy zwidy. Jednak nie mówiłem córce, co widziałem za oknem. No i moja hipoteza na temat tego, co przytrafiło się Donnie, nie była niczym poparta.

– Co to znaczy, że nie wyglądali na ludzi?

– No... Mieli twarze zwierząt.

– Maski zwierząt?

Pomyślała przez chwilę, po czym przytaknęła.

– Pamiętasz jakie? To znaczy jakie to były zwierzęta? Czy któraś przypominała jelenia albo owcę?

Zamknęła oczy, jakby mogła zobaczyć to raz jeszcze pod powiekami.

– Może i owca... I jedna to chyba był jakiś ptak.

– A trzeci?

– Nie wiem.

– Ale było ich troje?

– Tak. To znaczy tak mi się zdawało. Było ciemno. Niewyraźnie widziałam.

Nieważne, czy dwoje, czy troje. Teraz już miałem pewność, że nie wymyśliliśmy sobie tego, ani ja, ani Frankie.

Czy Donna również widziała kogoś w masce i stwierdziła, że przyszedł po nią diabeł? Kim byli ludzie, którzy nocą zakładali maski, skradali się i straszili innych?

Everett Miller.

Cichy głosik w mojej głowie. Ale przecież nie byłby w stanie ukrywać się w tych lasach przez dwie dekady, nieważne, jak rozległe i gęste były! A może był?

Musiałem skupić się na kimś bardziej uchwytnym, a mianowicie na Buddym i Darlene, bo to chyba oni tak się wkurzyli na Frankie i Ryana. Też pewnie bym się wkurzył, gdybym utknął w umierającym miasteczku, w którym od czasu do czasu zjawiają się turyści tylko po to, by nazwać je zapadłą dziurą. Jeśli jednak te dzieciaczki, o których opowiadała Frankie, mówiły prawdę, to Buddy i Darlene ostro przeholowali. Zabicie królika. I czy naprawdę pochowali żywcem kota? Może tylko tak się przechwalali, żeby nastraszyć maluchy, ale nawet jeśli to nie była parka socjopatów, to mieli niezdrowe ciągoty. Frankie i Ryan zadarli z niewłaściwymi dzieciakami.

– Naprawdę chcesz wyjechać? Wrócić do domu? – zapytałem.

– Co? Nie!

– Na pewno? Możemy skrócić ten wyjazd, wrócimy do Albany.

– Nie, tato, zostanę tu z tobą. Mamy nawet nie ma w domu.

O tym nie wiedziałem, ale ten temat musiał zaczekać.

– To może przeprowadzimy się do hotelu?

– Nie. Nie po to leciałeś aż z Anglii. Nie chcę, żeby jakieś głupoty popsęły nam wakacje.

– Ja też mam obawy...

– Tato, proszę! Chcę zostać!

– Nawet mimo tego, że pokłóciłaś się z Ryanem? I po tym wszystkim, co się wydarzyło?

– Tak. Nie będę się od ciebie oddalać, i już.

No i super, przecież od początku o to mi chodziło! Może okoliczności powrotu córki marnotrawnej nie były najszcześniejsze, ale koniec końców, wyszło na moje. Może po prostu teraz będę się bawił z Frankie, a gdy odstawię ją do domu, wrócę tu i zrobię porządny research do artykułu. I znajdę jakieś tańsze lokum w Penance.

Ale o tym mogłem pomyśleć później.

– Musimy się jeszcze rozmówić z Buddym i Darlene – powiedziałem.

– Jak to?

– A jak myślisz? Mają przestać cię prześladować.

– Ale że mam znowu próbować ich przeproszać? Po tym, jak zabili tego królika?

– Nie, tego nie powiedziałem. Porozmawiam z Gregiem, opowiem mu, co się dzieje.

Frankie się skrzywiła.

– Tak będzie dobrze, zobaczysz. On chce, by miasteczko i ośrodek koegzystowały. Sądzę, że będzie wiedział, o kogo chodzi, może zna ich rodziców.

Pokiwała głową, ale bez przekonania.

– A co z Ryanem? – zapytałem. – Chcesz coś sobie z nim wyjaśnić?

– Nie – odparła, patrząc w podłogę.

– Nie powinien był zostawiać cię samej w lesie. Pójdę tam i powiem mu, co o tym myślę.

– Nie, tato, proszę! Nie możesz tego zrobić!

– Dlaczego nie? Zachował się jak dupek! Po co w ogóle oznaczał cię w tym poście? Jeśli chciał się narazić, jego sprawa. Ale wplątał cię w to z premedytacją. Co on sobie w ogóle myślał? I potem cię jeszcze zostawił!

– Nie wiedział, co z tego wyniknie – odrzekła, ale takim tonem, jakby sama sobie nie dowierzała, że go broni.

Musiałem się uspokoić. W końcu Ryan miał tylko piętnaście lat, był jeszcze dzieciakiem. Dobrze, że gdy byłem w jego wieku, nie istniały social media, w których mógłbym dawać upust własnej ignorancji i głupocie. Dopiero po latach zdałem sobie sprawę z tego, że wcale nie byłem wówczas taki mądry, jak mi się zdawało.

– Mogę iść do pokoju? – zapytała Frankie. – Jestem zmęczona. – Zawahała się. – Pójdiesz poszukać mojego telefonu?

– Pewnie. Ale najpierw porozmawiam z Gregiem. Niedługo wrócę i sprawdzę, czy wszystko u ciebie okej.

– Dobra.

Poszurała do pokoju i oddała się ulubionemu zajęciu nastolatków. Czyli spaniu.



Zastałem Grega w holu, za biurkiem. Wyglądał na podminowanego faktem, że leży przed nim kupa papierów do przejrzania. Podejrzywałem, że zgon letniczki, nawet jeśli nastąpił z przyczyn naturalnych, stawał się bardzo upierdliwy dla kierownika ośrodka wypoczynkowego. A ja jeszcze zamierzałem dołożyć mu zmartwień.

– Pan Anderson! – powitał mnie z uśmiechem.

Nie tylko minę miał nietęgą. Pod jego oczami widniały ciemne półokręgi, jakby prawie nie spał. I znowu, mimo rozkręconej na maksa klimy, strasznie się pocił.

– Możemy porozmawiać?

– Czy chodzi o pannę Capello?

Tak zapewne nazywała się Donna.

– Nie.

Opowiedziałem mu wszystko bez zbędnych szczegółów. Wspomniałem post i prywatne pogrożki, które dostała Frankie, no i martwego królika. Kota

pominałem, bo przecież to mogły być czcze przechwałki. Ja mówiłem, a Greg pocił się coraz bardziej; pod koniec mojej relacji przecierał już czoło chustką.

– No a te lokalne dzieciaki to kto? – zapytał w końcu.

– Nie znam nazwiska, ale mają na imię Buddy i Darlene.

– Och – mruknął tylko, gapiąc się na mnie.

– Zna ich pan?

– Niestety.

Najwyraźniej zdążyli okryć się niesławą.

– Nie chcę, by mieszano w to policję – powiedziałem. – Frankie i Ryan sprowokowali ich i nie chcę narażać córki na przesłuchanie.

– Rozumiem.

– Na razie to tylko pogrożki i martwy królik. Wiem, że nastolatki lubią dramatyczny rozmach. W moich czasach darliśmy się na siebie i wysyłaliśmy sobie liściki z przekleństwami, ale na tym się kończyło. Teraz, w dobie komórek, o wiele łatwiej ścierać się werbalnie, ale sądzę, że skłonność do faktycznej przemocy jest mniejsza. Jeśli jednak te pogrożki nie ustaną, zawiadomię policję. A tego chyba nikt nie chce.

– Oczywiście, że nie. Zajmę się tym, ma pan moje słowo.

– To dobrze.

I po rozmowie. Wróciłem do domku i sprawdziłem, że Frankie wciąż śpi, więc nie chciałem jej przeszkadzać. Zostawiłem jej liścik, by nie wychodziła, choć pewnie i bez tego siedziałyby zamknięta w domku.

I poszedłem na poszukiwania telefonu.



Nie wiedziałem jednak, gdzie go zgubiła. Polana w pobliżu miasteczka. Tyle mi powiedziała. I jeszcze to, że było słyhać wiatrowe dzwoneczki.

Nasłuchiwałem, podchodząc coraz bliżej Penance, ale do moich uszu dolatywał tylko nieprzerwany świergot ptaków ukrytych w gęstwinie listowia. Gdzieś w oddali pobrzmiwał ruch uliczny. Gapiłem się pod nogi, a gdy złapałem echo zasięgu, usiłowałem kilkakrotnie zadzwonić na numer Frankie, ale przypomniałem sobie, że bateria była niemal rozładowana już w chwili,

kiedy go zgubiła, bo odezwała się poczta głosowa. Nie mogłem również użyć apki do odnajdywania telefonu, bo był rozładowany.

Chciałem go znaleźć. Był drogi, no i Sarah na pewno się wkurzy, gdy usłyszy, że córka zgubiła telefon podczas pobytu pod moją opieką. Nie zamierzałem jej opowiadać o tych wszystkich strasznych rzeczach, które się tu odwalily. No i musiałem przeczytać te pogróżki. Sprawa wydawała się beznadziejna.

Mogłem jednak poprosić o pomoc pewną osobę. Nikki. Może nie widziała, jak Frankie upuszcza telefon, ale na pewno była w stanie wskazać właściwą polankę.

Niestety, gdy przybyłem do miasteczka, księgarnia okazała się zamknięta.

Zajrzałem przez okno wystawowe. Wszystkie światła były zgaszone. Wewnątrz dostrzegłem jednak jakiś ruch i stwierdziłem, że to Cujo. Przynajmniej wrócił szczęśliwie do domu.

Rozejrzałem się. Pod cokołem nie było Wyatta, bezdomnego, którego spotkałem tu ostatnim razem. W ogóle nikogo nie było na ulicy. Nie bardzo miałem pomysł na to, co robić dalej, więc ruszyłem chodnikiem do nieodległego marketu, gdzie kupiłem butelkę wody, notes i długopis. Miło było zobaczyć żywego człowieka za kasą. Wyrwałem karteczkę i zostawiłem Nikki notkę, by przyszła ze mną pogadać. Wrzuciłem ją do skrzynki na listy.

– Nieczynne? – usłyszałem za sobą.

Odwróciłem się. To był instruktor łucznictwa, ten młody Walter White, łysol z kocią bródką. Jak mu tam było...?

– No cześć, Robinie! A co tam u Katniss?

Najwyraźniej on również miał problem z zapamiętywaniem imion. Zaśmiałem się.

Carl, tak mu było.

– Co u Frankie? W porządku.

Spojrzał ponad moim ramieniem na drzwi.

– Miała otworzyć dwie godziny temu – zauważył. – Chciałem odebrać zamówioną książkę. Oj, Nikki, Nikki, zbankrutujesz, jeśli nie nauczysz się wstawiać o normalnej porze!

– Znasz właścicielkę?

– To miasto ma rozmiar talerza na zupe! – Wyszczrzył się. – Wszyscy tu wszystkich znają.

Tubylec. Może on będzie w stanie mi pomóc?

Opowiedziałem mu tyle, ile musiał wiedzieć, by być pomocnym, o tym, że Frankie zgubiła w lesie telefon. Nie chciałem zdradzać wszystkiego.

– Twierdzi, że ta polana leży blisko miasta. Słysząc z niej wiatrowe dzwonki.

Pogładził bródkę.

– Może i wiem, gdzie to jest. Wracam właśnie do ośrodka. Poszukamy razem.

– Byłoby świetnie!

Ruszyliśmy w stronę lasu.

– A więc znasz Nikki, co? – zapytał, gdy weszliśmy między drzewa.

– Tak. To znaczy byłem w księgarni. No i to ona znalazła moją córkę. Dlatego właśnie przyszedłem do miasta, chciałem z nią pomówić.

– Ta, jasne! – Chyba się ze mnie nabijał.

– Ale co?

– Nikki to ślicznotka. We łbie ma burdel, ale na zewnątrz wszystko ładnie, pięknie.

Nie podobał mi się ten lekceważący ton.

– Co to niby znaczy?

Chyba powiedziałem to dość ostro, bo przybrał łagodniejszy ton.

– Hej, sorry, nie chciałem nikogo obrazić, a już na pewno nie laskę, w której się bujasz.

– Nie bujam się w niej!

– Nie no, nie ma się czego wstydzić. Niezła z niej sztuka, a wielu facetów lubi takie postrzelone babki.

– Ja nie...

Zaśmiał się.

– Stary, zgrywam się tylko! Nie znam jej dobrze, mówiąc szczerze. Była taką mózgownicą w szkole, wiesz. Nie wiem, dlaczego nie związała z tego

miasteczka przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nie wyjechała na studia. Straciła wielką szansę według mnie.

– Ty też nie wyjechałeś – zauważyłem.

– Racja. Jakoś trudno się stąd wyrwać. Ale mnie się tu podoba. – Zatrzymał się i powiódł wzrokiem dookoła. – Rozejrzyj się. Można zwiedzić cały świat i nie znaleźć równie pięknego miejsca.

Na razie trzymaliśmy się ścieżki prowadzącej do ośrodka. Teraz skręciliśmy w inną, mniej wydeptaną. Tu drzewa rosły gęściej. I faktycznie usłyszałem dzwoneczki.

– A co tam porabiasz w Anglii? – zapytał Carl.

– Jestem dziennikarzem muzycznym.

– Fajowo. To lepsze niż być jakimś śledczym, zajmującym się nierozwiązanymi sprawami morderstw. – Pokiwał głową z pogardą.

– Nie kręci cię to?

Mruknął coś niewyraźnie.

– Mroczna turystyka czy jakoś tak? Głupie zбочki, tak ich nazywam! Ale dzięki temu interes się kręci. Gdyby nie tacy turyści, ośrodek świeciłby pustkami. – Zaśmiał się. – Płytkie Zdroje! Dlaczego w ogóle tak nazwali to miejsce? W pobliżu nie ma ani jednego źródła! Ale chwyliwie brzmi, pewnie dlatego.

Dzwonki stały się głośniejsze i nagle przed nami otworzyła się polana.

– To może być tutaj – rzucił Carl. – Może tutaj twoja córka zgubiła telefon.

Rozejrzałem się. Jeśli to faktycznie to miejsce, to właśnie tutaj Frankie widziała zamaskowane postacie.

– A co ona tu w ogóle robiła?

– Zgubiła się.

– Ta?

Pewnie sobie nawyobrażał nie wiadomo co. Nastolatka sama w lesie, po ciemku. W pakiecie byli chłopcy, papierosy i dragi.

Przeszukaliśmy polanę, idąc równolegle i patrząc pod nogi. Byłem wdzięczny za pomoc, choć widziałem, że Carl niezbyt uważnie się rozgląda.

– A mieliście ubezpieczenie? – zapytał. – Bo wątpię, by się znalazł.

Pewnie miał rację.

– A skąd dobiegają te dzwoneczki? – rzuciłem.

– A wiesz, że nie wiem? Dziwne, co? Pewnie ktoś je przywiązał do jakiejś gałęzi, ale kiedy i po co, to nie mam pojęcia.

Westchnąłem ciężko. A potem wpadł mi do głowy pewien pomysł. Byłem tu w końcu z lokalsem i choć nie zamierzałem teraz pisać, mogłem z nim pogadać.

– Wiesz, wspomniałem, że jestem dziennikarzem muzycznym, ale chciałbym spróbować się w innym temacie. Napisać o Płytkich Zdrojach i o tym, co tu się wydarzyło.

Oparł dłonie na biodrach.

– Takiego masz pomysła, co?

– Chciałbym porozmawiać z ludźmi, którzy tu wówczas mieszkali. Może chciałbyś odpowiedzieć na kilka pytań? Wyślę ci je mailem. Chcę naświetlić nieco tę niszę mrocznej turystyki. Fajnie by było zacytować kogoś miejscowego. Wiesz, to, co powiedziałaś o roli tej zbrodni dla biznesu.

Zaśmiał się.

– Weź przestań, za coś takiego wywaliliby mnie z roboty!

– Nie muszę podawać źródła.

Pokręcił głową.

– Zjechałoby się tu jeszcze więcej dziwaków, aż z Wysp!

– Nie sądzę. Poza tym nawet jeśli uważasz, że takie zainteresowania są dziwaczne, to napędzają wasz biznes. Dzięki temu masz robotę.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, stary, sorry. Nie wejdę w to. Na ostatnim spotkaniu kadry Greg nas przed tym przestrzegał. Nie chcemy, by o tym miejscu stało się głośno z powodu morderstw. – Zamilkł na chwilę. – Chyba nie znajdziemy tego telefonu. Jak to się stało, że go zgubiła? Przestraszyła się czegoś?

– A skąd to przypuszczenie?

– No przecież znam te wszystkie ploteczki. Że niby Everett Miller wciąż szlaja się po tych lasach. I inne bzdury.

– Znałeś go?

Wiedziałem, co odpowie.

– Wszyscy go znali. Był lokalnym dziwakiem.

– Nikki twierdzi, że nie był żadnym dziwakiem, tylko spoko gościem.

– Serio? Ona... Ej, słyszałeś to?

– Co?

– Chyba ktoś tam jest. Między drzewami.

Ruszył w stronę linii drzew, a ja spodziewałem się, że wyskoczy spomiędzy nich ktoś w masce owcy czy ptaka.

– Hej! – zawołał Carl. – Jest tam kto?

Cisza.

– Ej no, chodźcie, pomożecie nam szukać telefonu! – Puścił do mnie oczko.

Nadal cisza.

– Chyba mi się zdawało – stwierdził.

Ja jednak odniosłem inne wrażenie, mianowicie, że czuję czyjąś obecność. Ktoś tam się krył. Podśluchiwał. Obserwował nas.

Nie wydał z siebie jednak żadnego dźwięku. Było słychać tylko te ukryte wiatrowe dzwoneczki.

ROZDZIAŁ 22

Przez całą drogę do ośrodka nie mogłem pozbyć się tego wrażenia bycia obserwowanym. Słyszałem za sobą szelesty, kroki, jednak za każdym razem, gdy się odwracałem i rozglądałem, nie było za mną nikogo.

Powtarzałem sobie, że to tylko moja wyobraźnia, w końcu ostatnio nieźle pracowała. Miałem wrażenie, że jestem podłączony do kroplówki z kawą.

Frankie ciągle spała. Usiłowałem się wyluzować, czekając, aż się obudzi, ale wciąż dręczyło mnie jedno pytanie.

Czy Everett Miller był w stanie ukrywać się w okolicy przez dwadzieścia lat?

Dzieciaki opowiadały o tajnej chacie i „kimś”, kto żyje w lesie. Czy ta chata istniała naprawdę? Może to stamtąd dochodziło to dzwonienie? I Everett ot tak sobie w niej mieszkał przez cały ten czas?

To wydawało się cholernie nieprawdopodobne, ale dałem się ponieść tej myśli. Łatwo było wyobrazić sobie, że Everett został gdzieś w tych przepastnych lasach, że wcale nie zwiął do Kanady. I że gdzieś w tej głuszy oddzielającej miasteczko od ośrodka wypoczynkowego stała sobie jego zakamuflowana chata. Jeśli umiał polować i zastawiać sidła, miał co jeść. Może nocą, gdy wszyscy spali, buszował po śmietnikach. Prowadził życie pustelnika. Przecież takie rzeczy się zdarzały. Czasami całe rodziny zaszywały się w dziczy i żyły z tego, co wyhodowały i upolowały. Uciekały od cywilizacji. Everett uciekł od swojego morderczego czynu.

Przez prawie dwadzieścia lat w tych lasach nic się nie działo. Mógł być królem puszczy.

A potem pojawili się robotnicy, zbudowano ośrodek. I nagle ktoś wtargnął do jego samotni. W lasach pojawili się ludzie, wycieczki konne. Wydeptano ścieżki pomiędzy miasteczkiem i ośrodkiem. Cały jego sposób na życie stał

się zagrożony. Nie mógł już włączyć się po lesie bez narażenia, że ktoś odkryje jego obecność. Stracił wolność.

Co bym zrobił na jego miejscu?

Wymyśliłem tylko trzy rozwiązania.

Po pierwsze: ukryłbym się jeszcze głębiej.

Po drugie: faktycznie bym stąd uciekł.

Po trzecie: doprowadził bym do stanu sprzed wybudowania ośrodka.

Ale jak niby mógł tego dokonać?

ROZDZIAŁ 23

Minął miesiąc od pogrzebu Abigail, ale Kruk czuł ją bliżej niż kiedykolwiek. Gdy tylko wkraczał do lasu, odnosił wrażenie, że stąpa obok niego. Przemawia. Naucza. Nosił wszędzie ze sobą książkę, którą mu dała, i omawiał z nią poszczególne zagadnienia dotyczące historii Zdrojów. Powtarzał w głowie słowa, które nabierały nowych znaczeń. Wcześniej, gdy mu o tym wszystkim mówiła, nie rozumiał. Teraz już tak. Animizm. To było najważniejsze zagadnienie. Pomogła mu zrozumieć, jak działa świat, jak ludzie, zwierzęta i natura są ze sobą nierozzerwalnie spleceni.

Pokazała mu sekretne ścieżki i to było najcudowniejsze!

Pod koniec maja, gdy ziemia była jeszcze wilgotna, a powietrze pełne natrętnych czarnych much, poprowadziła go w gęstwinę zarośniętego karłowatymi jodłami poszycia, do miejsca, w którym drzewa rosły tak blisko siebie, że nawet ptaki miały trudności z przelatywaniem pomiędzy nimi. Przez cały tydzień padało i ziemia ugięła się z mokrym jękiem pod butami, przytrzymując stopy, jakby chciała powstrzymać go przed dalszą wędrówką. Choć niebo było bezchmurne, panował tam przejmujący chłód, bo promienie słońca nigdy nie przebijały się przez plątaninę liści i gałęzi. Czuł, że obserwują go zwierzęta, nastawione wrogo, ale zbyt przestraszone, by atakować.

Chodź za mną! – szeptała Abigail.

Szedł i doszedł. Do chaty.

Oczywiście pokazał to miejsce pozostałym. Chyba do tamtego momentu nie wierzyli mu, że naprawdę widzi Abigail, że ona wciąż z nimi jest, ale gdy wskazał im traperską chatę i powiedział, że to ona doprowadziła go do tego miejsca, w końcu zrozumieli.

I uwierzyli.

– Czuję ją tutaj! – przyznał Kozioł.

– Skoro wreszcie zgoliłeś ten głupi meszek, uznała, że może ci się pokazać!
– zaśmiał się Kruk. – A ty? – zapytał Lisicę, na co ona tylko pokiwała głową, chyba zadziwiona.

Była w szoku, podobnie jak on. Samotnia, o której nikt nie wie, i do tego tak blisko Penance!

Chatka stała się regularnym miejscem ich schadzek. Ich prawdziwym domem. Kruk zbudował ołtarzyk ku pamięci Abigail, którego centralną częścią było wykradzione z jej domu zdjęcie. Wokół umieścił świece, szyszki, otoczaki znad jeziora i świetnie zachowany szkielet myszy, znaleziony przez Kozła.

Na ganku zawiesili wiatrowe dzwonki.

Spotykali się tu codziennie po szkole, jarali fajki i skręty, słuchali metalu ze starego boomboxa Lisicy. Abigail miała rację, gdy mówiła, przekazując im podpalonego jointa, że to pozwoli im poczuć więź z ziemią. Za każdym razem, gdy Kruk szedł do lasu po wypaleniu skręta, czuł się tak, jak wtedy, w pierwotnej puszczy. Moc natury pulsowała w jego trzewiach. Czuł się jak zwierzę; atakowały go zapachy i dźwięki, a cienie układały się w słowa.

Jeszcze jeden cień wisiał ciągle nad nim, a mianowicie jego nieodwzajemnione uczucie do Lisicy. Nie wiedział, z kim się zadaje, gdy nie przesiaduje z nimi, i choć nie widział, by gadała w szkole jeszcze z jakimiś chłopakami, to i tak się martwił. A jeśli znajdzie sobie kogoś? Nic gorszego nie mogłoby już chyba się przytrafić.

Ona miała należeć do niego.

Znajdź w sobie odwagę – radziła mu Abigail. *Powiedz jej.*

Nie był jednak w stanie tego uczynić. Jeszcze nie teraz.



Minął kolejny miesiąc od dnia, w którym Abigail przyprowadziła go po raz pierwszy do chaty.

Przygotował dla reszty niespodziankę.

– Abigail jest niezadowolona – stwierdził, a gdy spojrzeli na niego z niepokojem, dodał: – Chodzi o kemping. O tych gówniarzy, co zdeptują las i zachowują się tak, jakby mieli go w dupie. Wczoraj widziałem jakiegoś

szczyła wycinającego swoje inicjały w korze i łódkę, z której silnika benzyna lała się do jeziora. A przy płaskiej skale jakieś smarkule rozпалиły ognisko.

Przez chwilę jeszcze się pienił, wymieniając wszystkie wyrządzone w tym miejscu szkody. Zaśmiecili lasy Abigail. Ich lasy. Wiedział, że zrobił się cały czerwony, a jego głos stał się piskliwy z podniecenia i że Lisicy na pewno nie spodoba się w tym wydaniu, ale nie był w stanie przestać. To było jak obłąkanie, najazd obcych.

Musiał coś z tym zrobić, skoro mianował się liderem.

– Abigail i ja obmyśliliśmy plan – zaczął, wstając.

To rozlatujące się krzesło znalazł w chacie. Znajdowało się tam jeszcze poddające się pleśni łóżko i jakieś zardzewiałe narzędzia, które dość bezskutecznie próbowali przywrócić do stanu używalności.

Sięgnął po reklamówkę, którą przyniósł ze sobą, i wydobyl gumową maskę.

– Ta jest dla ciebie. – Wręczył ją chłopakowi.

– No, no! – Kozioł obracał ją w dłoniach.

– Fajna, nie? Ten koleś, który się kręci przy mojej matce, pracuje w fabryce kostiumów halloweenowych. Załatwił je dla nas.

Przełknął gulę i podał dziewczynie pomarańczową maskę lisa.

– Ta jest dla ciebie, Lisico.

Kozioł założył już swoją i macał się po twarzy.

– Jak wyglądam?

– Jak najlepszy kumpel samego Szatana! – odpowiedział Kruk.

Kozioł się zaśmiał, a Lisica oglądała maskę.

– Świetne są. Masz też dla siebie?

– No pewnie!

Wydobyl z torby maskę kruka i naciągnął ją na głowę. Śmierdziała gumą i zrobiło mu się gorąco, ale gdy tylko ją założył, poczuł, że się zmienia.

Stał się Krukiem.

– No dobra, ale na co nam one? – zapytał Kozioł.

Kruk wyszczerzył się w uśmiechu, choć przecież pod maską i tak nie było tego widać.

– Przegonimy te bachory z obozu! Wygonimy z naszych lasów.

ROZDZIAŁ 24

Frankie odchyliła się, poprawiła okulary przeciwsłoneczne i westchnęła rozkosznie.

Siedzieliśmy w łódce, prawie na środku jeziora. Tafla była gładka, od czasu do czasu marszczył ją tylko łagodny wiatr niosący przyjemne ochłodzenie.

– Zostańmy tu na zawsze! – zasugerowała.

Przestałem wiosłować, łódka sunęła już tylko siłą rozpędu.

– W Płytkich Zdrojach?

– Nie. Tu, na środku jeziora, z dala od dziwaków w maskach i bliźniaków mordujących króliki.

Zaśmiałem się. Dobrze, że wracał jej humor, choć na wspomnienie królika zmarkotniała.

Gdy wychodziliśmy z domku, wpadliśmy na Connie i Davida.

– Frankie, wszystko już w porządku? – zapytała szybko kobieta. – Ryan się o ciebie martwi.

– Mógł do nas zajrzeć i sam to powiedzieć – zasugerowałem. – Ale może...

Frankie rzuciła mi spojrzenie mówiące, żebym się zamknął.

– Nie martw się, jest porządnie wychowany – zaczął go bronić David. – Dopilnuję, żeby przyszedł i przeprosił was oboje. Poszedł na spacer, ale porozmawiam z nim, jak tylko wróci. Naprawdę się martwił, Frankie.

Zauważyłem, że jej twarz złagodniała, zanim jednak powiedziałem coś jeszcze, dołączył do nas facet, którego poznałem na tarasie Butlerów. Neal Fredericks. Mąż Sally, kobiety ukatrupionej przed laty wraz z kochankiem. Łysina świeciła mu na różowo, jakby zjarał się na słońcu.

Zauważył, że się przyglądam, bo dotknął jej delikatnie i wyjaśnił, uśmiechając się głupkowato:

– Wyszedłem bez czapki.

Skinąłem głową, odpowiadając uśmiechem. Dziwny koleś, jakiś taki żaloszny. Ciągle nie wiedziałem, co tutaj robi. Już drugi raz musiałem zbesztać się w duchu za to, że myślę o artykule, a nie o córce. Neal był idealną osobą do przeprowadzenia wywiadu, nie mogłem jednak go o to prosić w obecności Frankie, Davida i Connie. Nie chciałem nawet, by Neal wiedział, że go rozpoznaję.

Odeszli w takim szyku, jakby Neal był jakimś celebrytą, a oni jego fanami. Co kombinowali?



Woda delikatnie omywała burty łódki. Frankie przez chwilę czytała książkę, którą ze sobą zabrała. Nie przeszkadzałem, bo doskonale wiedziałem, jakie to wkurzające, gdy ktoś zagaduje podczas lektury. Spojrzałem na brzeg, na którym trwały przygotowania do wielkiego grillowania. Greg wcisnął nam wejściówki na to wydarzenie.

Frankie zamknęła książkę i uśmiechnęła się do mnie. Wyglądała na całkiem dorosłą. Poczułem ukłucie bólu, gdy uświadomiłem sobie, że spędzimy razem jeszcze tylko kilka dni.

– Przylecisz do mnie na Boże Narodzenie? – zapytałem.

Cały tydzień zbierałem się, by to zrobić. Musiałem złapać dodatkową fuchę, by opłacić jej przelot, ale przecież nie byłem aż taką pierdołą.

– Nie wiem. Mama przebąkiwała coś o wycieczce do Aspen.

– Aspen! A skąd ona ma niby kasę na taki kurort?

– Bill ma – odpowiedziała. – To ten facet, z którym wyjechała.

– Mama na nowego chłopaka?

– No, już raczej nie chłopaka. To taki dziad w twoim wieku. A nawet chyba starszy, bo już całkiem siwy. Przyjaciółka mamy, Karen, mówi na takich „srebrne lisy”.

Dlaczego tak mnie to ubodło? Rozwiedliśmy się przed trzema laty. Przecież już nic nie czułem do Sarah.

– To coś poważnego? – zapytałem. – Gdzie go poznała? Zamieszkają razem? Weź mi o nim powiedz coś więcej.

– Ej, tatuśku, wyluzuj! Mama mówi, że to tylko flircik!

- Ale mimo to zaplanowała z nim narty na święta? I ciebie też zabierają?
- Wcale nie chcę z nimi jechać. Wolę polecieć do Anglii.
- Porozmawiam z nią – stwierdziłem.

Z pewnością Sarah nie chciała, by nastolatka robiła jej obciach przed jakimś „srebrnym lisem” na stoku!

Ale to przecież nie chodziło o mnie, tylko o Frankie. Czy się dogada z tym całym Billem? A może on zechce się bawić w tatusiowanie? Jest dziany, to już wiedziałem. I jest na miejscu, w Ameryce.

- Jak się odnajdujesz w tej sytuacji? – spytała Frankie. – Nie jest dziwnie?
- Co? Nie, wszystko okej.
- No ale ty nie masz żadnej dziewczyny.
- Weź nie jedź po mnie, dobra?

Zaśmiała się.

– Ej, a tamta babeczka z wczoraj? Wydaje się miła. Zaraz się porzygam tęczę, ale wydaje mi się, że na ciebie leci.

- Serio? Dlaczego tak sądzisz?
- Nie wiem, tak czuję po prostu.
- Gadasz ze mną jak stara.

Zanurzyłem wiosła, żeby wykręcić w stronę brzegu.

– A nie myślałeś o tym, żeby przeprowadzić się do Ameryczki? Moglibyśmy się częściej widywać, cały czas. Tutaj się przenieś, do Maine. Założę się, że za kasę ze sprzedaży londyńskiego mieszkanca mógłbyś sobie kupić pałac w Penance! Zamieszkałbyś z Nikki i spisywał memuary o wszystkich gwiazdach rocka, które poznałeś!

Teraz ja się zaśmiałem.

- No raczej nie, Frankie!
- Dlaczego?
- Po pierwsze, Nikki nie wygląda mi na kogoś, kto pozwoli na to, by inni decydowali o jej życiu uczuciowym. Po drugie, teraz nie byłoby mi łatwo zdobyć wizę.
- Ano tak, trzeba było nie rozwodzić się z Amerykanką.

Przestała się uśmiechać.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Na pewno jest ci ciężko.

– Już lepiej, bez wątpienia lepiej niż na początku.

Zebrało mi się na płacz, a i Frankie wyglądała, jakby za moment miały puścić jej nerwy. Tak bardzo za nią tęskniłem! Na myśl o wsiadaniu do samolotu coś ścisnęło mnie w dołku. Wróćę do pustego mieszkania i będę ją widywał już tylko na ekranie. A gdy spotkamy się następnym razem, okaże się, że jest już dorosła.

– Ale pamiętasz – zacząłem, by odpędzić te myśli – że za kilka lat kończysz liceum? Mogłabyś przyjechać na studia do Anglii! Byłoby naprawdę świetnie.

– Mama chce, żebym złożyła papiery na Harvard albo do Yale.

– A Oxford i Cambridge?

Przyłożyła dłoń do czoła.

– Tato, rozboli mnie od tego głowa! Naprawdę musimy teraz o tym gadać?

– Nie, nie musimy. Przepraszam.

Zapadła cisza, tylko woda chlupotała o burty. Zacisnąłem zęby, bo naprawdę czułem, że za moment się rozpłaczę. Frankie też nie wyglądała za wesoło, ale nagle parsknęła śmiechem.

– Co jest? – zapytałem zaskoczony.

– Przypomniał mi się *Piątek trzynastego*. Pamiętasz? Pierwsza część. Jason wynurza się z wody i łapie tę babkę.

– Ale że co, mam szybciej wiosłować?

– Tak! – ponagliła mnie.



Dobiliśmy do nabrzeża i wysiedliśmy z łódki. Chwilę trwało, nim odzyskałem władzę w zdrętwiałych nogach; potem poszliśmy do budki na lody, żeby wykorzystać kupony od Grega. Aż dziw brał, że dziś nie dał mi kolejnych.

– To co teraz robimy? – zapytałem.

– Cześć, Frankie! – dobiegło zza naszych pleców.

Odwróciliśmy się jak na komendę. Ryan. Zasłoniłem sobą córkę.

– Ona nie chce z tobą gadać. Nie po tym, co się wczoraj stało. Zostawiłeś ją samą!

– Tato...! – szepnęła bezradnie Frankie.

Na jego widok przypomniałem sobie, jak się poczułem, gdy Nikki przyprowadziła Frankie do domku.

Ryan zwiesił głowę.

– Rodzice już mnie za to zbesztali.

– No ja myślę! – rzuciłem.

– Chciałem przeprosić. Frankie, naprawdę mi przykro. Ale... Tak szybko odbiegłaś, nie dogoniłem cię. No i pomyślałem, że nie zechcesz ze mną gadać. A sam też byłem wkurzony. – Zerknął niepewnie w moją stronę.

– Wszystko powiedziałam tacie – szepnęła.

– A, no tak...

– Tak, właśnie tak! – odezwałem się. – Rozumiem, że też byłeś zdenerwowany, ale nie porzuca się dziewczyny samej w ciemnym lesie, bez względu na okoliczności!

– Trochę to seksistowskie – zaczął. – Z całym szacunkiem...

– To może inaczej to ujmę. Nie powinieneś być zostawiać mojej córki samej w lesie, aby po ciemku szukała drogi do domu. Chodźmy, Frankie!

Ruszyłem i uszedłem kilka kroków, nim zorientowałem się, że została z tyłu.

– Frankie?

– On ma rację, naprawdę od niego uciekłam.

– A biega szybciej ode mnie.

To jakoś mnie nie dziwiło, bo zawsze była najszybsza w klasie. Na ścianie jej pokoju wisały medale z zawodów.

– Tylko chwilę z nim pogadam – powiedziała.

– Jesteś pewna?

– Tak. Chcę posłuchać, jak się będzie kajał.

Ja nie byłem tego pewien. Ale przecież nie mogłem rozbijać tej świeżo zadziergniętej przyjaźni. Chodziło o to, by Frankie była szczęśliwa. Lepiej, żeby się pogodzili.

– Dobrze – zgodziłem się. – Ale niech nie wraca sama! Gdy wszystko sobie wyjaśnicie, masz ją odprowadzić pod same drzwi!

– Teraz masz zaszalutować i wyszczekać: „Taa jest, proszę pana!” – dodała Frankie.

Wracałem do domku, zastanawiając się, czy dobrze zrobiłem, zostawiając ich razem.

Zdziwiłem się, widząc jakąś kobietę stojącą przed chatką i zaglądnącą przez frontowe okno.

Odwróciła się, a gdy mnie zobaczyła, na jej twarzy pojawił się grymas poczucia winy z powodu tego, że ją przyłapałem.

– Nikki? Co się dzieje?

Stała cała spięta i przez chwilę wydawało mi się, że zwieje. Po chwili jednak się wyluzowała.

– Wejdiesz? – zapytałem.

– Nie wiem... – Rozejrzała się nerwowo, jakby bała się, że zobaczy ją ktoś, kto nie powinien jej tu widzieć. – Muszę...

Nie zamierzałem pozwolić jej odejść bez wyjaśnień. Co tu robiła?

– Wejdz – poprosiłem i gestem skierowałem ją do środka.

ROZDZIAŁ 25

– Przejdziemy się? – zaproponował Ryan, gdy ojciec Frankie zniknął z pola widzenia.

– Pewnie. To znaczy, chyba tak.

Szli wzdłuż brzegu jeziora i przez dłuższy czas żadne się nie odezwało. Dochodziło wpół do siódmej, ale słońce stało jeszcze wysoko i wciąż było gorąco. Frankie wyjęła z torby krem z filtrem i zaczęła smarować przedramiona.

– Chcesz trochę? – zapytała.

– Nie, dzięki.

Zapadła niezręczna cisza.

– Przyjdiesz potem na grilla?

– Na grilla?

– Tak, ma być wielkie ognisko dla wszystkich. Moi rodzice przygotowali na tę okazję jakąś tajemniczą niespodziankę.

– Czyli co?

– Nie chcieli powiedzieć. Boją się, że wygadam. Wydaje im się, że będę latał i rozpowiadał, jakby obchodziły mnie te ich chore fazy! Chyba chodzi o tego łysego gościa, z którym się prowadzają.

Weszli do młodnika. Ścieżka wiała się pomiędzy drzewami wzdłuż brzegu.

– A jeśli chodzi o wczoraj... – zaczął Ryan. – Naprawdę strasznie mi przykro.

Objęła się ramionami, jakby chciała się od niego odgradzić. Nie była w stanie na niego spojrzeć.

– Ja też nie jestem bez winy. Nie powinnam była tak się wściekać, no i uciekać. – Poczowała się całkiem dorosła, biorąc na siebie część winy

i wyrażając to w ten sposób. – Myślałam, że trafię sama do domu, ale tak szybko zrobiło się ciemno...

– Co się tak naprawdę stało?

Opowiedziała.

– Ja cię! To miejsce jest naprawdę popieprzone! No i co oni robili?

– Nic, po prostu stali. – Zachichotała, choć wcale nie było jej do śmiechu. – Jakby łączyli się z naturą czy coś.

– Cholera! Może to jacyś sataniści? Albo poganie! Wiesz, na ciałach tamtych nauczycieli wymalowano krwią takie różne symbole.

– Weź przestań.

– Sorry. Ale tutaj naprawdę jest jakoś dziwnie. Niech następnym razem ojciec zabierze cię do Kalifornii, to sobie popływamy na deskach. Umiesz surfować?

– Ta, jasne, wszyscy surfujemy w Albany! – Uśmiechnęła się. – No nieźle, parkour i surfing! Co za zestaw umiejętności!

– A tobie humorek dziś dopisuje!

– Może ze stresu coś mi się w głowie poprzestawiało.

– Dobra! – Wyciągnął rękę. – Kumplujemy się dalej?

Potrząsnęła jego dłoń.

– Zachowujemy się, jakbyśmy podpisywali jakiś kontrakt – stwierdził. – Chodź tu! – Przyciągnął ją do siebie i objął.

To było bardzo przyjemne; nagle całe napięcie z niej uleciało. Chyba nigdy w życiu nie czuła się tak dobrze w niczyich objęciach.

Ruszyli dalej.

– Mogę cię o coś zapytać? – zagadnęła. – Wyoutowałeś się przed rodzicami?

– Ta! Nawet gdybym przyprowadził chłopaka do domu, to i tak nie zauważąliby nic podejrzanego. Może coś w końcu do nich dotrze, ale są tak skupieni na tych swoich gównianych zbrodniach, że świata poza nimi nie widzą.

– A ten chłopak, który ci się podoba. Glen, dobrze pamiętam? Masz już plan, jak go wyrwać?

To określenie wydało się Ryanowi przezabawne.

– Wyrwać!

Przez chwilę się wygłupiali, snując plany „wyrwania” Glena. Chyba po raz pierwszy na tych durnych wakacjach Frankie poczuła się w pełni szczęśliwa. I miała wrażenie, że zawdzięcza to tylko sobie.

Ścieżka doprowadziła ich na wzgórze, więc mogli spojrzeć z wysoka na jezioro. Dalej biegła znowu w dół, w stronę kolejnej zatoczki. Drzewa nie rosły gęsto, korony przepuszczały mnóstwo światła, więc dziewczyna nie czuła żadnego lęku. Otworzyli się przed sobą; Ryan opowiadał, jak to pewnego dnia dorośnie i wyfrunie z domu, a rodzice będą żałować, że tak go zaniedbywali. Frankie wspomniała o rozwodzie i o tym, jak początkowo kiepsko radziła sobie z tą sytuacją, szczególnie gdy wywieziono ją do obcego kraju. Czy kiedykolwiek wcześniej gadało jej się z kimś równie fajnie? Czuła, że przy Rynie może być sobą, nawet bardziej niż przy koleżankach czy rodzicach. Co za popołudnie...

Nagle usłyszeli głosy.

Tutaj drzewa zupełnie się przerzedziły i ich oczom ukazało się wypłaszczenie terenu, coś na kształt zatoczki. Piękne miejsce, ustronne i ciche.

Schowali się między drzewami. Na przybrzeżnych skałach siedziały dwie osoby, trzecia stała nieopodal. Wszyscy byli odwróceny tyłem.

Ten stojący odwrócił się i obszedł skałę. Siedząca dwójka wiodła za nim wzrokiem.

Frankie chwyciła Ryana za ramię.

Tamci mieli na głowach maski.

– Co jest, kurwa...? – syknął Ryan.

– To oni! To ich widziałam w nocy! – szepnęła dziewczyna.

Byli za daleko, by dostrzec szczegóły, ale maski na pewno przedstawiały zwierzęce głowy. Czarny ptak, pewnie kruk. Frankie zmrużyła oczy. Na kamieniu siedział ktoś z głową... Psa... A może lisa? Ten stojący miał jakiś czarno-szary łeb. Nie owcy, jak początkowo jej się zdawało, a już na pewno nie diabła. Koziół.

Frankie czuła się tak, jakby miała w żołądku żwir. Chciała odwrócić się i zwiewać. To była jednak doskonała okazja do zdobycia dowodów, dla ojca albo dla policji.

Mieli na sobie bardzo charakterystyczne ubrania, które wyglądały dziwnie znajomo. Kozioł odziany był w czarny dres z paskami na lampasach, a ten ktoś przebrany za lisa w wyblakły pomarańczowy top. Gdyby istniało muzeum lat dziewięćdziesiątych, takie by w nim wystawiano, stwierdziła Frankie. Jej mama nosiła takie, zanim zaszła w ciążę.

Przecież tak byli ubrani Buddy i Darlene, gdy Frankie po raz pierwszy na nich wpadła! Kozioł to był Buddy, a lisica to Darlene.

Na pewno.

– Masz telefon? – szepnęła do Ryana.

Potwierdził i wyciągnął go z kieszeni. Nowszy model iPhone'a, z dobrym aparatem. Zrobił zbliżenie, jakość pozostała niezła. Frankie zaglądała mu przez ramię. To były gumowe maski, zakrywające całe głowy.

Ryan strzelił fotkę. Rozległ się trzask migawki i wszystkie postaci, począwszy od kruka, odwróciły głowy w ich stronę. Czy to możliwe, że ich usłyszeli? A może ten w masce kruka wyczuł ich obecność?

Frankie nie mogła się ruszyć, stała jak zauroczona. Telefon pstrykał, Ryan robił kolejne zdjęcia. Gapiła się na zamaskowane postaci. Buddy i Darlene wstali. A potem... Co robili?

Po sekundzie się zorientowała.

Schylali się po kamienie.

– W nogi! – krzyknęła.

ROZDZIAŁ 26

Nikki wyglądała okropnie, jakby od naszego ostatniego spotkania w ogóle nie spała. Marszczyła czoło i miała ciemne kręgi wokół oczu.

– Co się dzieje? – zapytałem. – Dlaczego zaglądasz w nasze okna?

– Chciałam sprawdzić, czy jesteś w domu. Czy wszystko w porządku po wczorajszym. Gdzie Frankie?

– Z Ryanem.

– Och, a więc się pogodzili? To dobrze, to bardzo dobrze!

Usiadła, ale wciąż była spięta. Pochyliła się, opierając łokcie na kolanach.

– Napijesz się czegoś? – zaproponowałem. – Kawa? Wino?

– Wystarczy woda. – Wyciągnęła z torby paczkę papierosów i już miała odpalać, gdy sobie przypomniała, że jest w pomieszczeniu.

– Chcesz wyjść na taras?

– Nie! – prawie krzyknęła. – Nie, wszystko w porządku.

Podaliśmy jej szklankę wody. Coś ewidentnie nie grało, ale nie odważyłem się zapytać, o co chodzi. Sama musiała chcieć się wygadać.

– Przechodziłem obok księgarni – zagadnąłem – ale była zamknięta.

– Przepraszam, zasnęłam. Ale chciałeś coś kupić czy...?

Odwróciła wzrok, gdy nasze spojrzenia się spotkały. Na chwilę zapomniałem, o czym właściwie chciałem z nią porozmawiać.

– Tom?

– A tak, chciałem zapytać, gdzie dokładnie znalazłaś Frankie, bo zgubiła tam telefon.

– Oj.

– Ale spoko, wpadłem na Carla, instruktora łucznictwa, pomógł mi szukać, niestety bez rezultatów... Porozmawiałem sobie również z Gregiem i opowiedziałem mu, co wyczyniają Buddy i Darlene. Czeka, mówiłem ci już o całej sprawie? – nie mogłem sobie przypomnieć. – Mam nadzieję, że on to załatwi. Nie chciałbym mieszać w sprawę policji. Znasz go?

– Kogo?

– Grega. Jesteście w podobnym wieku. Chyba.

– Tak, tutaj wszyscy...

– ...wszyscy się znają, wiem już. A więc zakładam, że wiesz, kim są Buddy i Darlene?

Gapła się na mnie niewidzącym wzrokiem, chyba również nie za uważnie słuchała.

– Co?

Wstała nieprzytomnie, podeszła do okna, wyjrzała, zaciągnęła roletę.

– Co się dzieje? – zapytałem ponownie.

Odwróciła się do mnie z uśmiechem.

– Nic, słońce mnie razi.

Nie wiedziałem, co myśleć o jej zachowaniu. Wyglądała na zdenerwowaną. Czy zasłoniła okno dlatego, że zamierzała zacząć się do mnie dobierać? No i co zrobię, jeśli faktycznie zacznie? Podobała mi się. Frankie mogła jednak wrócić w każdej chwili, a Nikki zachowywała się naprawdę dziwnie; chodziła tam i z powrotem, dłubiąc przy paznokciu kciuka.

– Podobasz mi się, Tom – powiedziała w końcu.

– Ty również mi się podobasz.

Co teraz? Całowanie? Czekałem, bo zupełnie wyszedłem z wprawy i nie bardzo wiedziałem, jak się teraz zachować. Miałem zacząć pierwszy? Czekać na jej ruch?

– Myślę, że powinniście z Frankie stąd wyjechać – dodała.

No tego się nie spodziewałem.

– Co? Dlaczego?

– Bo... Bo tu chyba nie jest bezpiecznie.

– Dobra, teraz mnie wystraszyłaś.

Odetchnęła, jakby chciała się smutno zaśmiać.

– Tutaj dzieją się złe rzeczy, Tom. I mam... Mam przeczucie, że znowu wydarzy się coś złego. Gdybym była tobą, po prostu spakowałabym was i wyjechała. Zabierz córkę jak najdalej stąd. Tutaj dzieje się coś, co... Co sięga daleko w przeszłość. – Zawiesiła głos, jakby powiedziała aż nadto. – Naprawdę cię lubię, Tom, i nie chciałabym, by stało ci się coś złego. Ani Frankie. Proszę, wsiedźcie do auta i odjedźcie.

Znowu podeszła do okna, odchyliła roletę i wyjrzała. Gdy się odwróciła, zobaczyłem, że zbladła. Teraz już wydawała się przerażona.

Wstałem z krzesła.

– O czym ty mówisz? Myślisz, że grozi nam niebezpieczeństwo ze strony Buddy’ego i Darlene?

Miałem wrażenie, że zaraz się rozpłacze. Znowu zajrzała do torebki, wyciągnęła papierosy.

– Nic więcej nie mogę powiedzieć. Nikt nie może wiedzieć.

– O czym nikt nie może wiedzieć?

Pokręciła głową. Wyciągnęła papierosa i niepewnie uniosła go do ust. Dłonie jej drżały.

– Muszę już iść – stwierdziła. – Tom, błagam, wyjedźcie! Zabierz Frankie do domu.

Otworzyła drzwi i naprawdę zamierzała wyjść, ale złapałem ją za przedramię.

– Czy ktoś groził Frankie? – zapytałem. – Albo mnie?

– Puść, to boli!

Wyrwała się i zbiegła po schodkach, a ja poczułem się jak ostatni drań. Nie powinienem był tak brutalnie jej dotykać. Ale spanikowałem. Jeśli mojej córce groziło jakiegokolwiek niebezpieczeństwo... Byłem idiotą? Zbagatelizowałem zagrożenie ze strony Buddy’ego i Darlene?

O mój Boże! Frankie! Musiałem ją odnaleźć!

Nikki zniknęła z pola widzenia. Usiłując nie wpadać w panikę, podążyłem w stronę jeziora.

Cały ośrodek buzował, bo chyba wszyscy pracownicy zaangażowali się w przygotowania do wielkiego ogniska i grillowania. Impreza miała się odbyć

nad brzegiem, w pobliżu stolików piknikowych. Wszędzie uwijali się ludzie w firmowych koszulkach. Jakiś facet, najwyraźniej na kierowniczym stanowisku, wykrzykiwał polecenia, może był szefem kuchni. Ruszył w stronę młodej kobiety niosącej przenośną lodówkę. Na jego widok upuściła ją, wieczko się otworzyło i na trawę wypadł homar.

Nigdzie nie zauważyłem Grega. Pewnie chował się w biurze, a wszystkich innych zagonił do roboty.

Już miałem ruszyć w drugą stronę, gdy dojrzałem Davida. Podbiegłem do niego. Wydawał się podniecony, przestępował z nogi na nogę. Wręczał wszystkim wokół jakieś ulotki, w moją stronę też jedną wyciągnął. Widniał na niej odręcznie napisany tekst.

Dziś wieczorem! 21:00 na strzelnicy! Wielka niespodzianka, który której nie możecie przegapić! Podajcie dalej wieści!

Było wpół do ósmej.

– Widziałeś Ryana i Frankie? – zapytałem.

– O! Pogodzili się? To fajnie!

– Ale widziałeś ich czy nie?

– Nie. A co znowu? – Podał przechodzącym ludziom kartki.

Nie miałem czasu, żeby mu wszystko tłumaczyć. Od czego niby miałem zacząć? Ruszyłem dalej, ale rzuciłem jeszcze przez ramię:

– Co to za niespodzianka?

– Coś ekstra dla naszych fanów! – Wyszczерzył się.

– Czy to ma związek z morderstwami?

Puścił oko.

Nie miałem czasu na jego gierki. Dokąd mogli pójść młodzi? Widziałem ich kiedyś na placu zabaw, więc tam udałem się najpierw, ale ich tam nie było. Z pewnością nie poszli do Penance, nie po tym, co się wydarzyło. Ruszyłem biegiem w stronę budki z lodami, by zapytać sprzedawczyni, czy ich widziała.

– Szukam córki, nie było jej tu?

Opisałem Frankie i Ryana.

– Chyba widziałam, jak szli w tamtą stronę! – Wskazała na ścieżkę, która wiała się w górę i wiodła wśród rosnących sosn.

– Dziękuję!

Potruchtałem w stronę ścieżki, lawirując pomiędzy kręcącymi się wszędzie ludźmi.

Teraz żałowałem, że przyjechaliśmy do miejsca, w którym nie ma zasięgu. Po prostu zadzwoniłbym do córki. No tak, gdyby nie zgubiła telefonu.

Serce mi waliło, w ustach zaschło. Nikki powiedziała, że dzieją się tu „złe rzeczy”, i wiedziałem, że nie chodziło jej tylko o przeszłość. Skoro kazała mi się spakować i spieprzać, musiała wiedzieć coś konkretnego. Coś, co świadczyło o tym, że Frankie grozi niebezpieczeństwo.

Kawałek dalej na wąskiej ścieżce już nie było ludzi, więc ruszyłem biegiem.

ROZDZIAŁ 27

Frankie i Ryan pędzili w górę zbocza, w stronę ośrodka. Zdawało im się, że grunt jest bardziej wyboisty i stromy niż wcześniej. Na szczycie ścieżka rozwidlała się na trzy odnogi.

– W prawo! – zawyrokowała Frankie.

– Na pewno?

No nie, teraz już nie była pewna, spanikowała. Po tej koszmarnej przygodzie w lesie straciła całkiem wiarę w słuszność swoich decyzji. Odwróciła się, za ich plecami połyskiwała tafla jeziora. Jej nastrój był jak spienione fale, mgła nad czarną tonią.

– Tak, w prawo.

Gdy przebiegli jeszcze kawałek, zapytała Ryana:

– A kim był ten trzeci? Facet w masce kruka.

Chłopak tylko wzruszył ramionami.

Dotarli do kolejnego rozwidlenia; lewa odnoga prowadziła w górę wzniesienia, prawa głębiej pomiędzy drzewa. Wewnętrzny kompas podpowiadał Frankie, żeby iść w prawo, że tam właśnie jest ośrodek, nie pamiętała jednak, aby przechodzili przez tak gęsty las.

Kim jest kruk?

Na tę myśl poczuła zawroty głowy i mdłości. Odwrócił głowę w ich stronę w taki sposób, że... I ten agresywny ruch, gdy schylał się po kamień. Może tylko to sobie wyobraziła, ale miała wrażenie, że zza tej maski emanuje pogarda. Owca

– Może to ich ojciec? – zasugerował Ryan. – I tak sobie właśnie spędzają rodzinne popołudnia?

Mimo grozy sytuacji zaśmiała się. Śmiech jednak zamarł jej w gardle, bo usłyszała za plecami dwa młode głosy.

– Tędy – rzucił Buddy.

– Na pewno? – zapytała Darlene.

– W prawo! – To był męski głos, pewnie tego w masce kruka.

– Ale... – zaczął Buddy.

– Musimy zdobyć ten telefon! – przerwał mu mężczyzna. – Ja pójdę w lewo, wy w prawo. Jak ich zobaczycie, wołajcie. Zrozumiano?

– Tak – odpowiedział Buddy.

– Szybciej! – syknęła Frankie.

Ryan się jednak nie poruszył.

– W naszą stronę idą tylko Buddy i Darlene. Może powinniśmy z nimi pogadać, przemówić im do rozsądku?

– Rozsądku?

Pochowają nas żywcem i nikt nigdy nie odnajdzie naszych ciał!

Znów ogarnęła ją panika; nogi jej zmiękły, oddech się urywał.

– To ty pierwsza chciałaś z nimi rozmawiać, teraz mamy okazję! – nie poddawał się Ryan.

Czy on naprawdę to proponował?

– To było, zanim dowiedzieliśmy się, że są psycholami!

Ryan nadal jednak tkwił w miejscu.

– Po prostu przeproszę, oczyszczę atmosferę. Wyrażę skruchę z powodu wyśmiewania się z Penance.

– Nie! Teraz to już nic nie da! Oni nie są normalni! Są źli!

– Chyba nie...

– Ryan! Błagam! Z nimi się nie da rozsądnie rozmawiać!

Słyszała, że przedzierają się w ich stronę.

– O Boże, Ryan, proszę...!

– Nie. Chcę to naprawić. Nie zamierzam spędzić ostatnich kilku dni wakacji, oglądając się z przestachem za siebie!

W końcu zrozumiała, co on wyprawia. Chciał jej zadośćuczynić po zeszłej nocy. Pewnie ojciec zrobił mu wykładzik o męskości i teraz Ryan usiłował zgrywać macho, który nie przestraszy się gówniarzy w maskach.

Spróbowała wziąć go za rękę, pociągnąć za sobą, pewna, że jego plan jest zły, ale było już za późno. Jakies dwadzieścia metrów za nimi pojawili się Buddy i Darlene. Wciąż mieli na sobie maski. Frankie z przerażeniem zauważyła, że kieszenie chłopaka są wyładowane kamieniami.

– No cześć – zaczął Ryan. – Pogadajmy.

Postąpił krok w ich stronę. Stali sztywno jak posągi. Frankie miała wrażenie, że za moment się zwiastuje.

– Mam gdzieś to, w co się tutaj zabawiacie – podjął Ryan. – Chcę się pogodzić. W porządku? Buddy? Darlene?

Zamaskowane oblicza spojrzały po sobie, jakby zdziwili się niepomernie, że ci tutaj wiedzą, kim są. Frankie poczuła, że Ryan właśnie wszystko pogorszył. Czy bliźnięta za moment zaczną drzeć się do tamtego mężczyzny, że zostali zdemaskowani? Może przy okazji zdradziliby jego imię albo zaczęli wołać „Tato!”.

Milczeli jednak.

– Dobra, przestańcie już! – odezwał się znowu Ryan. – Będziecie tak stać jak dwa leśne dziwadła?

Frankie pomyślała, że to bardzo gówniane przeprosiny. Zamaskowana para drgnęła, zbliżyli się.

Frankie pociągnęła towarzysza za rękę.

– Proszę cię, chodźmy stąd!

A jeśli mają noże? Albo broń, której użyli do spłoszenia koni? W głowie rozbrzmiewały jej dziecięce głosiki o zakopywaniu żywcem kota. Każdy, kto zrobił coś takiego, był psychopatą. A Ryan powinien już się zamknąć!

On tymczasem paplał jak potłuczony, tylko pogarszając sytuację:

– A może tutaj wcześniej świętujecie Halloween, co? Ćwiczycie przed październikiem? Dalej, zdejmujcie te maski i pogadajmy jak normalni ludzie.

– Uniósł telefon. – Chyba nie chcecie, żeby ktokolwiek zobaczył te fotki, co?

Ich bezruch sprawiał, że w żyłach Frankie przestała krążyć krew. Tak samo zachowywali się w nocy, zanim znalazła ją Nikki. Ręce zwisały im

bezwładnie. Wiedzieli, na pewno wiedzieli, co robią, bo ten bezruch sprawiał, że wydawali się jeszcze straszniejsi.

I nagle, jakby komunikowali się bez słów, unieśli synchronicznie ręce i cisnęli w ich stronę kamieniami. Dopiero wówczas, gdy Frankie po raz kolejny szarpnęła T-shirt Ryana, chłopak rzucił się do biegu.

Jeden z kamieni uderzył w pień, odbił się i prawie musnął dziewczynę, drugi z głuchym stuknięciem upadł na poszycie. Obejrzała się przez ramię. Gonili ich. W dłoniach znów mieli kamienne pociski i Frankie poczuła, jak jej żołądek zawiązuje się w supeł. Po wyschniętej, nierównej ścieżce ciężko się biegło, łatwo było o potknięcie. Kolejny kamień zahaczył o jej ucho i naprawdę wolała nie myśleć, co by się stało, gdyby z całym impetem trzasnął w jej potylicę. Dusiała w sobie szloch, musiała skupić się na oddychaniu. Przyspieszyła, a wtedy Ryan z jękiem upadł płasko na brzuch.

Zatrzymała się i spojrzała na gramolącego się chłopaka.

– Dostałeś?

Nie zdążył odpowiedzieć, bo kolejny kamień poleciał w jego stronę; tym razem Ryan upadł na plecy, usiłując się uchylić.

Buddy i Darlene zatrzymali się jakieś dziesięć metrów od nich. Ryanowi w końcu udało się wstać.

Buddy zamachnął się, celując w Ryana, a Frankie bez namysłu stanęła pomiędzy nimi.

– Przestań! – krzyknęła do chłopaka. – Proszę!

Buddy zamarł na chwilę; zmienił pozycję i przesunął się, więc znów miał na celowniku Ryana, a Frankie ponownie go osłoniła.

– Skasujemy te zdjęcia! – zawołała piskliwym głosem, który brzmiał obco. – Nikomu nie powiemy, że was tu widzieliśmy. Cokolwiek tu robicie, nie obchodzi nas to!

Ryan uniósł telefon, tak że wszyscy go widzieli. Teraz już wyglądał na skruszzonego, a może po prostu był przerażony.

– Patrzcie! – powiedział. – Kasuję. Nawet z kosza. – Telefon pikał, gdy Ryan klikał w ekran. – Już, nie ma ich.

Obrócił telefon w ich stronę, ale przecież z takiej odległości nie dostrzegali detali na wyświetlaczu.

– Spadamy stąd, dobra? – dodał. – Przepraszam za to, co mówiłem. Za to, co napisałem.

Para oprawców znów zamarła.

Ryan po omacku odszukał dłoń Frankie. Skinął głową w jej stronę, jakby chciał zapytać, czy wszystko z nią w porządku. Kiwnęła, choć chyba nie mogła czuć się gorzej. Odwrócili się powoli, a serce waliło Frankie tak, jak małe pikawka Swifty’ego, którą zawsze wyczuwała pod palcami, gdy go podnosiła. Usłyszała za plecami ruch i gdy się odwróciła, zobaczyła, że napastnicy znów przymierzają się do rzucania. Zamarła, a Ryan wraz z nią, dokładnie tak, jak robiły to przerażone króliki.

– Hey! – rozległo się z oddali. – Hej, co jest, do cholery?

Buddy i Darlene zamarli na sekundę, ale Frankie była przekonana, że i tak zaczną rzucać. Oni jednak znowu chyba wyczyniali jakieś swoje czary z telepatią, bo jednocześnie upuścili kamienie i wycofali się.

– Hej, wszystko w porządku?

Nie wytrzymała. Poczula, że nogi jej miękły, i osunęła się na kolana.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak bardzo ucieszyła się na widok swojego ojca.

ROZDZIAŁ 28

Patrzyłem, jak dwie zamaskowane postacie uciekają w górę ścieżką.

Może powinienem za nimi pobiec? Nie, najpierw musiałem się upewnić, że Frankie nic nie dolega. Kucnąłem przy niej i ją objąłem.

– Wszystko dobrze? – zapytałem.

Czułem, jak kiwa głową, ocierając twarz o moje ramię. Serce waliło jej tak mocno, że czułem to przez ubranie. Powoli się uspokajała. Ryan przysiadł na trawie nieopodal, objął kolana ramionami. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie zsiadł z rollercoastera, nie spodziewawszy się, że będzie to aż tak ekstremalna jazda.

– Czy to byli Buddy i Darlene? Te maski... To te same, co zeszłej nocy?

Frankie pokiwała głową.

– Buddy był przebrany za kozła, a Darlene za lisa.

– Był z nimi jeszcze jakiś facet... – zaczął cicho Ryan. – Miał maskę ptaka, chyba kruka. Rozdzielili się, by nas poszukać, on poszedł w drugą stronę.

Na zmianę opowiadali, co się wydarzyło.

– Błagam, powiedz mi, że nie skasowałeś tych zdjęć! – rzekłem.

– Skasowałem... – jęknął Ryan.

Wiedziałem, że to było dobre posunięcie w chwili zagrożenia, ale i tak odczułem cholerną frustrację.

– Poczekajcie tutaj! – Wstałem.

Frankie również, podenerwowana.

– Dokąd idziesz?

– Tylko się rozejrzę, czy jeszcze się tu kręcą.

– Nie możesz nas zostawić! Chcę wracać do domku, tato, błagam!

Musiałem się dowiedzieć, kim jest ten cały kruk, nawet jeśli to było ryzykowne. Przypomniałem sobie ostrzeżenia Nikki. Może faktycznie powinienem załadować nasze bagaże i Frankie do auta i natychmiast wyjechać.

Nie byłem jednak w stanie tego zrobić. Nie myślałem o artykule, wcale nie o to szło. Chodziło mi o sprawiedliwość. Byłem pewien, że to te dzieciaki odpowiadały za śmierć Donny. Poza tym zaatakowali moją córkę. Chciałem, by ktoś ich dorwał i ukarał. No i musiałem, po prostu musiałem się dowiedzieć, kim jest włóczący się z nimi facet.

Czy to naprawdę mógł być Everett Miller? Teraz, gdy zobaczyłem w lesie te zamaskowane postaci, to wcale nie wydawało mi się takie nieprawdopodobne.

Podniosłem jeden z kamieni, które tamci upuścili, uciekając. Może nie była to jakaś wyrafinowana broń, ale lepszy rydz niż nic.

Rozkazałem dzieciom czekać i podążyłem ścieżką za oprawcami. Po dwóch minutach doszedłem do rozwidlenia. Nasłuchiwałem, ale w kompletnej ciszy nie doleciały do mnie ani głosy, ani szelesty, tylko odległe mruczenie silnika motorówki.

Buddy, Darlene i tajemniczy mężczyzna w masce kruka rozplynęli się bez śladu.



Zabrałem Frankie do domku. Słońce już zaszło, więc impreza z grillowaniem zaczynała się rozkręcać. Na zaimprovizowanej scenie rozkładała się kapela. Nad brzegiem przygotowano ognisko wielkie jak stos dla czarownicy. Wszędzie walały się ulotki rozdawane wcześniej przez Davida. Na widok i zapach tego całego wielkiego żarcia, przygotowanego do podgrzania w wielkich pojemnikach, zaburczało mi w brzuchu, w końcu nie jadłem nic od śniadania. Napędzały mnie adrenalina i stres.

Z Ryanem pożegnaliśmy się przed jego domkiem. Namawiałem go, aby poszedł z nami na imprezę, jednak był nieugięty, chciał pobyć sam. Chyba tylko w samotności mógł przetrwać wszystko, co się właśnie wydarzyło. Davida i Connie nie zastaliśmy, więc pewnie zajęci byli gdzieś indziej swoją tajemniczą niespodzianką.

– Jesteś pewien, że sam się ogarniesz? – zapytałem.

– Tak, już wszystko okej.

– Zamknij się od środka na wszelki wypadek. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, wiesz, gdzie nas szukać. Tak?

Gdy weszliśmy do naszej chaty, Frankie drżała. Usiadła na kanapie, na której przed godziną rozmawiałem z Nikki. Za naszymi oknami przechodzili ludzie, kierowali się w stronę brzegu. Nie mogłem nie zastanawiać się, ilu z nich przybyło tutaj ze względu na mroczną przeszłość tego miejsca. Pewnie kręciło ich to, że być może Everett Miller łązi po okolicy. Że przez dwadzieścia lat knuł swój wielki powrót.

Nie zamierzałem rozmawiać o tym z córką.

– Dobra – zagadnąłem. – Spadamy stąd.

Spojrzała na mnie bez zrozumienia.

– Co masz na myśli?

– Pakujemy nasze rzeczy. Wyjeżdżamy. Natychmiast. W Houlton zatrzymamy się na posterunku i porozmawiam z lokalnym szeryfem.

– Przecież powiedziałeś Ryanowi, że w razie czego może na nas liczyć!

No tak. Powiedziałem.

– Musimy poczekać na powrót jego rodziców.

Zawahałem się. Nie mogliśmy zostawić chłopaka bez opieki, a nie zanosilo się na to, by David i Connie mieli zaraz wrócić. Przygotowywali się w końcu do odpalenia swojej wielkiej niespodzianki. Cokolwiek to było, na pewno pochłonie ich na długie godziny.

– Dobra, to pójdziemy ich poszukać. Opowiemy im o całym zajściu i o tym, że Ryan czeka na nich w domku. A potem odjeżdżamy, zgoda?

– Chcę zostać w środku...

– Frankie!

– Idziesz tylko na chwilę, tak? Zacznę się pakować.

Zgodziłem się z ociąganiem. Sam szybciej ich odnajdę, bo nie będę się martwić o to, że moją córkę pochłonie tłum.

– Dobrze, ale zamknij za mną domek na klucz. Zaraz wracam.

Gdy doszedłem do drzwi, rzuciłem jeszcze przez ramię:

– Znajdziemy jakiś hotelik w Portland i tam spędzimy resztę wakacji. Z dala od lasów.

Nie bardzo wiedziałem, czy mnie na to stać, ale tym mogłem zamartwiać się później.

– Brzmi super!

Gdy przestępowałem próg, Frankie zawołała:

– Tato!

Odwrociłem się.

– Ryan nie powinien być sam. Zajdziesz do niego i poprosisz, by tu przyszedł?

Dobry pomysł, razem będą bezpieczniejsi.

– Zaraz go tu przyślę.

Wyszedłem i rozejrzałem się, usiłując dostrzec, czy w ciemności nie kryją się jakieś zamaskowane figury, a potem przeciąłem trawnik i poszedłem do domku Butlerów. Zapukałem do drzwi i czekałem. Ze środka nie dochodził żaden dźwięk, zapukałem więc ponownie. Może Ryan był w łazience. Co tu robić? Nie chciałem, by Frankie przebywała sama dłużej niż to konieczne. Zdecydowałem, że pójdę na imprezę i od razu przyprowadzę Davida i Connie. A potem wraz z Frankie przed północą znikniemy z tego miejsca. Później postaram się o zwrot pieniędzy za niewykorzystany pobyt. Wciąż zamierzałem tu wrócić, ale sam, żeby zrobić research do artykułu i przyczynić się do wymierzenia sprawiedliwości. Teraz byłem już pewien, że Donna umarła, bo przestraszyła się Buddy’ego albo Darlene, których musiała zobaczyć w pobliżu swojego domku. No i postać, którą widziałem przez zaparowane okienko, musiała być Buddym w masce kozła. To naprawdę nie były zwykłe szczeniackie wygłupy. Ktoś stracił życie. No i od ciosu kamieniem mogła zginąć Frankie bądź Ryan.

A kim był mężczyzna w masce kruka? Nie mogłem przestać myśleć, że być może to Everett Miller.

Nie potrafiłem tego potwierdzić. Choć chciałem być tym, który odkryje prawdę, teraz ważniejsze było bezpieczeństwo córki. Niech policja się tym zajmie.

Przyspieszyłem i wbiłem się w gęstniejący tłumek ludzi wychodzących z domków i podążających nad jezioro. Większość była wystrojona jak na te warunki: kobiety w letnich sukienkach, panowie w koszulach. Ktoś przechodzący obok spytał:

– Jak myślisz, co to będzie?

Na pewno rozmawiali o niespodziance Davida i Connie.

Na brzegu zebrał się już spory tłum. Ustawiły się kolejki do grilla i baru. Choć jeszcze nie zapalono ogniska, już panowała zabawowa atmosfera. Wszędzie biegały dzieciaki, na trawie siedzieli ludzie, podjadając z talerzyków wypełnionych po brzegi. W powietrzu unosił się zapach smażonego mięsa i sosu barbecue. Jakaś dziewczyna zajadała hot doga, a siedzący u jej stóp golden retriever patrzył na przekąskę błagalnym wzrokiem. Splątana ze sobą parka całowała się pod drzewem. Na scenie przy przystani stroiła się kapela. Spojrzałem w stronę lasu. To tam zaatakowano Frankie. Ciemna ściana drzew była przerażająca i wyobraziłem sobie, jak bardzo moja córka musiała się bać. Jak poważnie mogli ją zranić. Prawie biegiem ruszyłem, przepychając się w tłumie.

Gdzie, do cholery, byli David i Connie?

Podpytywałem mijanych ludzi, ale kręcili głowami, zajęci zabawą. Może powinienem pójść za jakąś falą? Nie wiedziałem jednak, która zmierza w stronę Butlerów.

Pojawiła się czerwona koszulka polo. Carl. Zastąpiłem mu drogę.

– O, Robin Hood! Sorry, ale to wciąż śmieszne. Jak Katniss? Znalazła telefon?

Uśmiechnąłem się krzywo.

– Widziałeś może Davida i Connie? Butlerów?

Zmarszczył brwi.

– Niestety, nie wpadłem na nich.

W mordę!

– A Greg? Może on coś będzie wiedział? Gdzie go znajdę?

Bez wątpienia kierownik musiał coś wiedzieć o szykowanej atrakcji.

– Też go nie spotkałem, ale na pewno gdzieś tutaj się kręci.

W hałasie ledwie słyszałem jego słowa. I nagle zagrzmiała z pełną mocą kapela. Grali cover Prince'a *Let's Get Crazy*. Ludzie rzucili się w kierunku sceny.

– David i Connie planują jakąś spektakularną niespodziankę – powiedziałem. – Wręczali ulotki z informacjami na ten temat.

Objął dłonią ucho i pochylił się w moją stronę, bo muzyka ryczała.

– Sorry, stary, nie dosłyszałem!

– Nieważne! Sam ich znajdę!

Kurtuazyjnie skinął głową, bo z pewnością tego również nie dosłyszał, po czym wmieszał się w tłum.

Rozejrzałem się. Na imprezie zjawili się chyba wszyscy goście ośrodka. Czułem, że powinienem wrócić do domku i zadekować się w nim razem z Frankie i Ryanem aż do powrotu jego rodziców. Jeszcze tylko ostatni rzut okiem na tłum.

Zacząłem przepychać się pomiędzy ludźmi, odczuwając boleśnie skurcze żołądka spowodowane wszechobecnym zapachem mięsiwa i smażonej cebuli. Nagle ktoś chwycił mnie za ramię.

– Oj, spokojnie, stary! Nie chciałem cię przestraszyć!

Stałem z uniesioną pięścią, gotów do zadania ciosu.

To był David i wyglądał na zaalarmowanego tą postawą.

Opuściłem rękę.

– Szukałem cię! – krzyknąłem.

– A ja ciebie. No to chodź! – Ruszył z miejsca.

– Nie, czekaj!

Oddalał się jednak szybko, zręcznie lawirując w tłumie, a ze sceny akompaniowało mu *Born in the USA*. Nie słyszał, że go wołam.

Podążyłem za nim.

ROZDZIAŁ 29

Prawie biegłem, usiłując dogonić Davida. Minęliśmy budynek recepcji i poszliśmy dalej, w stronę kortów i placu zabaw. Tłum tutaj wcale się nie przerzedzał, więc pomyślałem, że chyba na tę okazję ściągnęli tu również mieszkańcy Penance. Pewnie o to chodziło, o integrację.

Pomiędzy drzewami zawieszono girlandy lampek, które miały oświetlać ścieżkę. Z każdym krokiem oddalałem się od Frankie, ale David nie zamierzał zwolnić. Znaleźliśmy się wśród ludzi, którzy musieli być fanami jego i Connie. Co chwilę ktoś przybijał z nim piątkę.

– No to jesteście! – oznajmił zdyszany.

Staliśmy na strzelnicy. Na wschodnim krańcu rozstawiono duży namiot, którego kształt majaczył w ciemności. Para z latarkami zapraszała gości do wnętrza.

Ciekawe, czy władarze ośrodka wiedzieli o tym, czy to była samowolka? Chyba po trochu i to, i to. Mimo że wcześniej Carl stanowczo zaprzeczał, domyślałem się, że ośrodek z chęcią przyjmie każdą kasę, nawet od ludzi, którzy przyjechali tu w poszukiwaniu mocnych wrażeń. Choć oczywiście nikt nie przyzna się do tego oficjalnie. Carl był typem, który z pewnością szedłby w zaparte, gdyby ktokolwiek oskarżył go o czerpanie korzyści finansowych z czyjejś śmierci. Wkurzał mnie! Pewnie nie miał na to dotychczas czasu, a może po prostu zignorował sprawę spacyfikowania Buddy'ego i Darlene, choć obiecał, że to zrobi.

Bezskutecznie usiłowałem zagadać do Davida, który witał się z coraz to nowymi ludźmi, więc po prostu poszedłem za nim do namiotu. W kącie mrucała prądnica, wewnątrz było dobrze oświetlone. W kilku rzędach ustawiono plastikowe rozkładane krzesła, zapewne pożyczone z ośrodka. Pozostało tylko kilka wolnych miejsc w ostatnim. Zebrało się może ze

czterdzieści osób, wciąż napływały kolejne. Na skleconej z palet scenie stał mikrofon na stojaku. Connie najwyraźniej zbierała się do wystąpienia.

– Siadaj! – David wskazał puste krzesło. – Zaczyna się!

– Davidzie, musimy pogadać, chodzi o Ryana! On nie...

Nie słuchał mnie, po prostu odszedł.

Koniec zabawy, musiałem wracać do Frankie.

Odwróciłem się, ale ludzie zatarasowali wejście. Usiłowałem się precisnąć, jednak jakiś olbrzym w czapeczce Chicago Bulls nie mógł, a może nie chciał się odsunąć, by mnie przepuścić. Musiałem przejść pod ścianką namiotu po drugiej stronie, ale cała była obstawiona krzesłami. Connie opierała się na lasce; zerkałem na nią, szukając drogi wyjścia.

– Panie i panowie! – zaczęła kordialnie. – Dziękuję za przybycie. Zdaję sobie sprawę, jak wielkim wyrzeczeniem było oderwanie się od grilla, ale jestem pewna, że gdy skończymy tutaj, zostanie jeszcze mnóstwo jedzenia!

– Siadaj pan! – syknęła na mnie jakaś starsza kobieta. – Nic nie widzę!

Wszyscy rzucali mi nienawistne spojrzenia, a na domiar złego przede mną stał wózek inwalidzki. Albo przejdę po nim, albo będę musiał prosić tę kobietę, by odjechała kawałek.

– Ej, stary! – rzucił facet o poczerwieniałej twarzy. – Siadaj, do cholery!

Zaszczuty, przycupnąłem na najbliższym wolnym krześle.

– Nie będę dłużej trzymać was w niepewności! – kontynuowała Connie do mikrofonu. – Z pewnością wielu z was przybyło do Płytkich Zdrojów, by zobaczyć miejsce okropnej zbrodni sprzed dwudziestu lat. By oddać hołd ofiarom, Ericowi Danielsowi i Sally Fredericks. Nie wiem, jak wy się na to zapatrujecie, ale dla mnie to, że jest to tak piękne i spokojne miejsce, napawa jeszcze większą grozą. Jak bowiem coś tak potwornego mogło wydarzyć się w tak pięknych okolicznościach przyrody?

Naprawdę musiałem się stąd wyrwać, wrócić do Frankie, ale utknąłem. Tymczasem publika zdawała się wniebowzięta. Connie naprawdę była sławna w tej swojej banieczce, teraz to widziałem.

– Wielu z was słucha mojego podcastu i innych audycji poświęconych nierozwiązanym zbrodniom, bo fascynuje was tajemnica, zagadki. Może chodzi o wgląd w mroczną stronę ludzkiej duszy? Odkrycie, co sprawia, że

człowiek staje się mordercą? A może chcecie, by wymierzono sprawiedliwość? Powiem wam, co mnie skłoniło do obrania tej drogi.

„Kasa i sława?” – pomyślałem i chyba nawet powiedziałem to na głos, bo siedząca obok mnie kobieta spojrzała na mnie krzywo.

A inna, siedząca przede mną, dźgnęła łokciem swojego towarzysza i mruknęła:

– Mogłaby już nie przynudzać...

Connie jednak najwyraźniej nie zamierzała od razu przejść do rzeczy. Zagarnęła scenę dla siebie i na razie nie zamierzała z niej schodzić.

– Robię to, by upamiętnić ofiary. By oddać im cześć. Ile ofiar pozostaje bezimiennych? Założę się, że każdy na tej widowni bez zająknięcia wymieniłby dziesięciu seryjnych morderców!

Babka koło mnie naprawdę zaczęła ich wymieniać półgłosem.

– Wszyscy znamy Teda Bundy’ego, Wayne’a Gacy’ego i Jeffreya Dahmera. A ile nazwisk zamordowanych przez nich kobiet i mężczyzn potraficie wymienić?

Kobieta obok mnie zamilkła.

– Naprawdę mam nadzieję – ciągnęła Connie – że gdy wypływa nazwisko Everetta Millera, od razu myślicie o Ericu Danielsie i Sally Fredericks!

Po ludziach przetoczyła się fala szumu.

– Ich życia zgasły niedaleko stąd, niecały kilometr od miejsca, w którym teraz siedzimy. Dwadzieścia lat temu zjedli ostatni posiłek, uśmiechnęli się po raz ostatni. Wypuścili ostatni oddech. Kto wie, co by osiągnęli, co robiliby teraz, gdyby nie przyciągnęli uwagi Everetta Millera? – Zrobiła dramatyczną pauzę, czekając, aż jej słowa nabiorą odpowiedniego ciężaru. – Dziś uhonorujemy w sposób szczególny jedną z ofiar, Sally Fredericks.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę na zawieszony za przemawiającą kobietą ekran, gdy pojawiła się na nim twarz Sally Fredericks.

– Jest z nami mężczyzna, który opowie o niej. Ktoś, kto znał ją lepiej niż ktokolwiek inny. – Znowu pauza dla efektu. – Panie i panowie, powitajmy na tej scenie wdowca po Sally, Neala Fredericksa!

Neal wszedł na podwyższenie, świecąc różową łysiną. Publika klaskała, a Connie uściskała swego gościa. Podszedł do mikrofonu. W drżących dłoniach trzymał kartkę. Aplauz ucichł i zastanawiałem się, czy przypadkiem

ludzie nie byli rozczarowani? Mąż Sally? Facet, którego zdradzała? Niektórzy zaczęli wiercić się na krzesłach. I to miała być ta wielka niespodzianka? Może jednak zdradzi coś, czego jeszcze nie wiedzieli. Naprawdę nie rozumiałem, dlaczego ten rogacz wystawiał się dobrowolnie na widok publiczny.

Zaczął mówić, ale nic nie było słyhać.

– Do mikrofonu mów! – krzyknęła siedząca przede mną siwowłosa kobieta.

– Przepraszam – doleciało do nas lekko przesterowane. – Teraz lepiej?

– Tak, kochaniutki!

– To nie jest łatwe – zaczął i odchrząknął. – To przybycie do miejsca, w którym zamordowano moją najdroższą żonę Sally. Po tej tragedii nie mogłem się zdobyć na to, by tu przyjechać. Nie chciałem znać szczegółów. Wiem, co niektórzy z was myślą. Że najgorzej dowiedzieć się, że mnie zdradzała. – Znowu odchrząknął. Tłumek milczał. – Nie będę kłamał. Przez bardzo długi czas ciężko mi było się z tym pogodzić. Wieść o śmierci ukochanej kobiety i o tym, że znaleziono ją martwą w ramionach innego mężczyzny... Tak, było ciężko.

Nie mogłem tego słuchać.

– Ale potem coś zrozumiałem. Byłem egocentrykiem. Myślałem tylko o sobie. Pewnie, żadnemu facetowi nie jest łatwo pogodzić się z faktem, że żona znajduje szczęście w ramionach innego. Ale czy jej szczęście nie powinno być dla mnie najważniejsze? Niektórzy mówią, za przeproszeniem, że gdyby się nie puszczała, to do dziś by żyła. Taa... Może to prawda. Ale dotarło do mnie coś jeszcze. Aby należycie ją opłakać, musiałem jej wybaczyć. Gdy to uczyniłem, mogłem spokojnie pogрузić się w żałobie, tęsknić za nią. Chciałem mieć z nią dzieci. A to miejsce mi ją odebrało. Dziś jestem tu po to, by wychwalać to krótkie życie, jakie miała.

Rozpoczął się pokaz slajdów, które Neal opisywał, wygłaszając jakieś opowiadki i anegdotki. Sally z bratankiem na rękach. Zdjęcia ze ślubu. Na początku było niezręcznie, ale po kilku minutach Neal się rozkręcił. Po chwili publika patrzyła na niego rozczulona i smarkała w chusteczki. A więc jednak podziałało! To było nawet wzruszające. Zrozumiałem, że w ten sposób chciał odzyskać żonę, uczłowieczyć ją w ich oczach, sprawić, by na powrót stała się osobą, a nie tylko ofiarą. Nie była już kochanką Erica ani ofiarą Everetta.

Znów była żoną Neala. I sobą. Wszyscy wokół siąkali, nawet kobieta od seryjnych zabójców i ta marudząca z przodu.

Spojrzałem na Connie, która zdawała się bardzo zadowolona z siebie, dumna niemalże. Zrozumiałem, dlaczego to wszystko było dla niej i dla Davida takie ważne. Ludzi zafiksowanych na zbrodniach często oskarżano o bezduszną, o propagowanie przemocy i bagatelizowanie losu ofiar. Sam tak o nich myślałem. Neal zgodził się tu przybyć, by zmienić to myślenie, skierować uwagę na ofiary i ich rodziny.

Neal umilkł, a wówczas usłyszałem szept:

– Tato!

Rozejrzałem się. Nieopodal, tuż przy wejściu, stała Frankie i przywoływała mnie gestem. Wyglądała marnie, spojrzenie miała przestraszone.

Wstałem i tym razem ludzie, ustępując mi z drogi, nie byli już tacy wściekli, w końcu przedstawienie właśnie się skończyło. Krzesła szurały po klepisku, gdy spieszyłem w stronę córki.

– Co ty tu robisz? – zapytałem. – Miałaś siedzieć zamknięta w domku!

Spojrzała na mnie z politowaniem.

– A ty miałeś sprowadzić Ryana i nie zrobiłeś tego. Poszłam was szukać.

– Frankie, co z tobą?

– Weź przestań, przecież wszędzie dookoła są ludzie!

Westchnąłem zrezygnowany. Przy wejściu się rozluźniło, więc zacząłem wypychać dziewczynę z namiotu.

– Chodźmy do domku – zacząłem, gdy wydostaliśmy się na powietrze. – Nie ma sensu przekonywać Davida i Connie, by teraz wracali.

– Nie, najpierw muszę ci coś pokazać.

– Frankie, naprawdę uważam, że...

– Tato! Posłuchaj mnie w końcu! – krzyknęła. – Sorry, ale po prostu chodź ze mną, muszę ci coś pokazać.

Podążyłem za nią przez pole w stronę ścieżek wiodących nad jezioro, do miejsca piknikowego. Muzyka stawała się coraz głośniejsza. Przy szwedzkim stole stała grupka ludzi. Wśród nich byli Greg, Vivian i ktoś jeszcze w firmowej koszulce polo. A przy Gregu, z grobowymi minami, stała para nastolatków.

– To oni! – szepnęła Frankie. – To Buddy i Darlene!

– Co? Jesteś pewna?

– Pewnie, że jestem pewna! Nie widzieli mnie, śledziłam ich.

Czekałam na dalsze wyjaśnienia.

– Stoją tu już tak dziesięć minut. I zgadnij, jak Greg przedstawił ich tym kobietom?

– Jak?

– Poznajcie moje dzieciaki.

Gapiałem się na nią, potem na Grega i młodzież, a później znowu na nią.

Był ich ojcem.

– To musiał być on – szepnęła konspiracyjnie Frankie.

– Facet w masce kruka. To był Greg!

ROZDZIAŁ 30

Greg nie zauważył, że się na niego gapimy, bo był zajęty pogawędką z Vivian i tą drugą kobietą. Jakoś tak odruchowo postąpiłem krok w ich stronę, ale Frankie powstrzymała mnie, chwytając za rękę.

– Tato! – powiedziała. – Może lepiej, żeby on nie wiedział, że my wiemy!

Zatrzymałem się. Miała rację. Poza tym wokół niego kręciło się mnóstwo ludzi. Gdybym publicznie oskarżył go o chodzenie po lesie w masce i organizowanie ataku polegającego na rzucaniu w moją córkę kamieniami, on oskarżyłby mnie o to, że mi odbiło.

Bo to istotnie brzmiało jak majaczenie szaleńca.

– Od początku wydawał mi się dziwny – stwierdziła Frankie. – Powtarzałam ci to, prawda?

Frankie już dwukrotnie widziała ich razem: kruka, kozła i lisa. Podejrzewałem, że krukiem może być Everett, ale Greg, który przecież wcale nie zaginął, wydawał się bardziej prawdopodobnym kandydatem. Tylko co oni knuli? Czy nastolatki wciągnęły Grega w zemstę na Frankie i Ryanie? Tatuś mszczący się wraz z dziećmi na przyjezdnej parce, która na insta nazwała jego rodzinne miasteczko zadupiem?

Bez sensu. Nastolatki, owszem, ale nie dorosły facet! I to kierownik lokalnego ośrodka wypoczynkowego! Niemożliwe!

Tutaj musiało się dziać coś innego.

Coś, co miało związek z morderstwami?

Krwia Erica Danielsa wymalowano pogańskie symbole. Czy to możliwe, że Greg i jego rodzina byli poganami? A maski stanowiły jakiś element ich obrządków?

Czy Greg był zamieszany w tamtą zbrodnię?

– Tato, spadajmy stąd! – ponagliła mnie Frankie. – Zabierzmy Ryana i jedźmy na policję.

Przez chwilę czułem się zupełnie zagubiony, w głowie miałem galopadę myśli. I co, powiem na policji, że podejrzewam, że Greg może być zamieszany w morderstwa sprzed dwudziestu lat? Frankie miała przecież na myśli to, co wydarzyło się ostatnio: rzucanie kamieniami, zaszlachtowanego królika, włamanie do domku Donny i przestraszenie jej na śmierć.

– Czekaj chwilę! – rzuciłem.

Musiałem zebrać myśli.

Może to było dziwaczne przeczucie, ale teraz byłem już pewien, że to jakaś grubsza sprawa, a nie tylko szczeniackie wygłupy Buddy’ego i Darlene. Na początku miałem zamiar powiedzieć policji tylko o tym, co wyrabiali, ale teraz czułem, że jestem na progu odkrycia czegoś wielkiego, przełomowego. Czegoś, co złoży w całość koszmarną historię tego miejsca.

– Tato! – zagadywała mnie Frankie.

Greg dalej gawędził sobie w najlepsze i nie pocił się tyle, co zwykle. Zdawał się być w świetnym humorze. Buddy i Darlene, oklapli i znudzeni, trwali przy jego boku.

Co zrobią gliny, jeśli zjawię się z takimi podejrzeniami? Greg był lokalną grubą rybą, z pewnością szanowanym członkiem społeczności. Twierdziłby, że zmyśliłem to wszystko. Nie było dowodów, że ktokolwiek dotykał leków Donny. A bez zdjęć zrobionych przez Ryana nie było również potwierdzenia na istnienie zamaskowanych postaci.

Czy w ogóle mieliśmy dowody na cokolwiek? Mogłem co najwyżej pokazać pogróżki, które wysłano Frankie, logując się do jej konta na moim telefonie. Wysłano je anonimowo, ale dowodziły czegoś. Tylko czego? Może choć one sprawią, że policjanci nas wysłuchają.

– Pamiętasz hasło do Wi-Fi?

Frankie pokiwała głową.

– *Zdroje321*, przez duże „Z”.

Sam wymyślałem takie słabe hasła.

– Super, to teraz zaprowadź mnie gdzieś, gdzie jest zasięg.

Był niedaleko, po drugiej stronie budynku recepcji. Schowaliśmy się za śmietnikami i wpisałem hasło do prawie rozładowanego telefonu, a potem

odpaliłem Instagram. Trwało to wieki, bo połączenie było bardzo słabe. Podałem komórkę Frankie, by zalogowała się na swoje konto, co udało się jej za drugim razem, bo pomyliła hasło.

– Ej, serio? – Pokazała mi telefon.

– Co się stało?

– Wiadomości zniknęły.

– Żartujesz?

Nie żartowała. Skrzynka odbiorcza była pusta.

– Pewnie znaleźli mój telefon i je skasowali.

– Miałaś aż takie łatwe hasło?

– Datę urodzenia...

Podałem ją, gdy się meldowaliśmy. Swoją również. Frankie wyglądała na zdruzgotaną, jakby zrobiła coś strasznie głupiego, ale przecież nie mogłem jej winić. Większość moich haseł to była data ślubu. Już kilkakrotnie zamierzałem je pozmieniać, bo od rozvodu za każdym razem, gdy je wpisywałem, drżała mi ręka.

Wróciliśmy w okolice miejsca, w którym przed chwilą znajdował się Greg. Właśnie ruszył ze swoim towarzystwem w stronę wciąż niepodpalonego ogniska: on przodem, kobiety za nim, młodzież wlokła się na końcu. Nagle oboje się odwrócili, jak na komendę, i spojrzeli prosto na nas. Przeszył mnie nieprzyjemny dreszcz.

Zrobiło się już całkiem ciemno i domyśliłem się, że to pewnie Greg będzie pełnił honory ogniomistrza. W mroku połyskiwały czerwone koszulki obsługi, która kierowała zgromadzonych w kierunku brzegu. Kapela skończyła utwór i zapadła cisza. Zaczęli schodzić się również ludzie z namiotu, w którym skończył przemawiać Neal. Ani gościa, ani gospodarzy nie było jednak jeszcze widać, więc pewnie zostali w środku.

– Tato...

Zamyśliłem się tak bardzo, że przestałem zwracać uwagę na Frankie.

– Tato!

– Sorry. Co tam?

Przed nami stała uśmiechnięta kobieta. Nikki.

– Cześć! – rzuciła.

Obrzuciłem ją zaintrygowanym spojrzeniem. Wyglądała zupełnie inaczej niż jeszcze nie tak dawno temu. Musiała wziąć prysznic i umyć włosy. Usta pociągnęła szminką. No i ten uśmiech! Teraz już wydała mi się naprawdę piękna! Byłem jednak skonfundowany, bo zachowywała się tak, jakby nasza wcześniejsza rozmowa w ogóle się nie wydarzyła. Jakby stała przed nami inna osoba.

– Co tu robisz?

– Nie rozumiem. Przyszłam na imprezę. No i pomyślałam, że to dobra okazja do zareklamowania księgarni, tak jak radziłeś.

– Ale...

– Cześć, Frankie! – rzuciła do mojej córki i wówczas zrozumiałem to dziwne zachowanie.

To przed nią grała. Nie chciała jej wystraszyć. Nie chciała zdradzić tego, co wie, co sprawiło, że kazała nam uciekać. Czy to miało związek z Gregiem? Może ta wiedza przydałaby się policji?

Musiałem porozmawiać z nią sam na sam. Patrzyła na mnie tak, jakby również uważała to za nieodzowne. Nie mogłem zaprosić jej do naszego domku, bo tam nie bylibyśmy w stanie rozmawiać bez podsłuchującej Frankie. Mogłem powiedzieć więc tylko:

– Nikki, poczekasz tutaj na mnie? Zaprowadzę Frankie do domu i zaraz wrócę.

– Pewnie.

– Frankie, chodź.

Potruchtała za mną.

– Co ty wyprawiasz? Co się dzieje?

– Myślę, że Nikki wie coś ważnego na temat Grega. Oni wszyscy tutaj się znają. Każdy mi to powtarza. Może namówię ją, by pojechała z nami na policję.

– Aha, ale mam nie podsłuchiwać, jak będziecie sobie gadać?

– Frankie...!

– Dobra, jak sobie chcesz.

Dotarliśmy do kwatery.

– Tu będziesz bezpieczna. Greg i bliźniaki są przy ognisku. Nie spuszcze ich z oka. Zamknij drzwi i okna od środka i czekaj na mnie. To potrwa tylko chwilkę, obiecuję!

Pognałem z powrotem ścieżką nad jezioro.

Gdy dotarłem do miejsca, w którym zostawiłem Nikki, usłyszałem podekscytowane okrzyki od strony stosu drewna. Greg trzymał w ręku pochodnię, wokół zebrał się tłum. Płomienie oświetlały jego twarz; wyglądał jakoś inaczej. Złowrogo. Potężnie. Wśród ludzi dostrzegłem Buddy'ego i Darlene czy tylko mi się zdawało?

– Chodźmy pogadać w jakieś spokojniejsze miejsce – rzekłem do Nikki.

Już się nie uśmiechała.

Teraz wyglądała na przerażoną, patrzyła w ziemię. Mijali i poszturchiwali nas ludzie podążający w stronę ogniska. Powietrze wypełniał swąd dymu i węglącego się mięsa, popiół wirował w powietrzu. Odgarnęła pył z twarzy, rozmazując sadzę po policzku. Została tam jak szary ślad ust, jakby pocałowała ją śmierć.

Podszedłem bliżej. Miałem wrażenie, że czuję żar bijący od jej ciała.

– Nikki, naprawdę mnie lubisz?

– Co?

– Pytam, czy ci na mnie zależy. Bo ja cię lubię i potrzebuję twojej pomocy, zanim ktoś jeszcze zginie. Sama zaczęłaś. Ja i córka jesteśmy w niebezpieczeństwie. Mam wrażenie, że to zagrożenie jeszcze wzrosło. Buddy i Darlene już wiedzą, że my coś wiemy. Że rozszyfrowaliśmy, że to Greg jest ich ojcem. No i myślą, że Ryan zrobił im zdjęcia z ukrycia.

– O Boże...

– Musisz mi powiedzieć wszystko, co wiesz o Gregu.

– Co to znaczy wszystko?

Zbladła i wyglądała tak, jakby zaraz miała puścić pawia.

– Na przykład to, czy mógł mieć coś wspólnego z tamtymi morderstwami.

Widziałem w jej oczach, że walczy ze sobą. Zanim odpowiedziała, z dołu dobiegł entuzjastyczny ryk tłumu. Ogień zapłonął. Płomienie strzelały w górę, a dym przysłonił sporą część nieba. Czarna sylwetka Grega z uniesionymi ramionami odcinała się na tle ognistej poświaty. Może przemawiał, ale nie słyszałem, co mówi.

- Dobra – odezwała się Nikki.
- Dziękuję.
- Ale najpierw muszę się czegoś napić. Czegoś mocnego.

ROZDZIAŁ 31

Frankie siedziała na łóżku, na podłodze leżała spakowana walizka. Tutaj było prawie zupełnie cicho, odgłosy z ogniska i muzyka dolatywały przytłumione.

Martwiła się o Ryana. Nie widziała go ani w namiocie, ani nigdzie indziej na terenie ośrodka. A tata powiedział, że chłopak się nie odezwał, gdy zapukał do drzwi Butlerów.

Siedział pod łóżkiem, bojąc się otworzyć drzwi? Ukrywał się?

Czuła palącą potrzebę opowiedzenia mu o tym, czego dowiedziała się o Gregu. O tym, że jest ojcem bliźniaków. No i musiała się upewnić, że nic Ryanowi nie grozi. Czułaby się lepiej, bezpieczniej, gdyby byli tu teraz razem.

A ojciec chyba zniknął na wieki! O czym niby chciał gadać z tą całą Nikki, na którą ewidentnie leciał? Czego Frankie nie mogła podsłuchać? Znowu traktował ją jak małą dziewczynkę. Mama zachowywała się tak samo, gdy między nimi zaczęło się psuć. Rozmowy przyciszonym głosem, krycie się ze wszystkim. Nikt jej nie pytał, jak się czuje w tej sytuacji.

Podjęła decyzję.

Sama pójdzie po Ryana. Buddy, Darlene i Greg są przy ognisku. Tata powiedział, że będzie mieć na nich oko. Potrzeba sprawdzenia, czy z Ryanem wszystko w porządku, była silniejsza od strachu.

Wyjęła z drewnianego bloku kuchenny nóż, tak na wszelki wypadek, chwyciła klucze i wyszedłszy, zamknęła drzwi. Kapela znowu grała, a ponad wierzchołkami drzew unosił się dym. Wszystkie domki były ciemne i puste, pewnie dlatego, że ich mieszkańcy, co do jednego, bawili się nad jeziorem. Miała w nosie wszystkich. Obchodziło ją tylko odegranie scenariusza, który przewijał się w jej głowie jak dawno widziany film: odnajduje Ryana, mówi

mu o wszystkim, czekają na jej tatę, a potem spieprzają stąd do wszystkich diabłów!

Już widziała ich auto opuszczające Płytkie Zdroje. Odwróci się i pokaże przez tylną szybę środkowy palec, tata się zaśmieje i włączy jakąś dziadowską muzykę. Pojawią się napisy końcowe.

Tylko na tę chwilę czekała!

Stała przed drzwiami Butlerów i zapukała. Tutaj też wszystkie światła zgaszono, a przez czarne matowe szyby nie była w stanie dojrzeć nic w środku. Teraz, na zewnątrz, w tej ciemności, poczuła w żołądku mrowienie strachu. Może rzeczywiście wyszedł? Jakoś ciężko jej było uwierzyć w to, że o tej porze już śpi albo czai się w ciemności. A może po prostu za bardzo się bał, by otworzyć drzwi.

– Ryan! – krzyknęła. – To ja, Frankie! Przyszłam sprawdzić, czy nic ci nie jest!

Walnęła pięścią w drzwi. Żadnej odpowiedzi, żadnego szmeru z wewnątrz.

Pomyślała, że powinna wrócić i poczekać na tatę.

A jeśli Ryanowi coś się stało? A jeśli, gdy nikogo tutaj nie było, Buddy i Darlene włamali się, by odzyskać jego telefon i...

I co?

Zabili go.

Przypomniała sobie, że teraz byli nad jeziorem, przy ognisku, więc przeszła na tyły chaty, pod okna pokoju Ryana. Postukała w szybę, potem przyłożyła do niej twarz. Teraz była już prawie pewna, że przytrafiło mu się coś okropnego. Że naprawdę leży w środku martwy. Choć znali się od zaledwie kilku dni, nie mogła znieść tej myśli. Jeszcze chwilę temu nie chciała go więcej widzieć, ale po tym, jak się pogodzili, postanowiła utrzymać tę znajomość na zawsze, gadać z nim przez WhatsAppa i Skype'a, a gdy dorośnie, poleci do tej Kalifornii i pozwoli mu pokazać sobie, jak się surfuje, jak się biega na przełaj po mieście. Ryan przedstawi jej swojego chłopaka, Glena, ona opowie o koleśkach, którzy jej się akurat będą podobać. A jeśli on jednak nie żyje, to wszystko się nie wydarzy. W miejscu, w którym w jej życiu powinien rozgościć się przyjaciel, będzie ziała mroczna pustka. Cała przyszłość się przyczerni.

Przeszła przed domek i spojrzała na ścieżkę. Ojca ciągle nie było widać. Może powinna wrócić nad jezioro, odnaleźć go, poszukać Davida i Connie

i błagać ich, by wrócili i pomogli otworzyć drzwi. Nie była w stanie zdecydować, co robić, stała jak sparaliżowana.

Weszła na taras i przyłożyła twarz do frontowego okna.

Za szybą zamajaczył pokój. Na podłodze rysował się ciemny kształt.

To było ciało.

ROZDZIAŁ 32

Podeszliśmy z Nikki do baru zaaranżowanego w pobliżu stołów piknikowych. Stanęliśmy w kolejce, nie odzywając się do siebie. Ludzie wokół świetnie się bawili, sączyli drinki, śmiali się. Niektórzy rozłożyli się na trawie, inni tańczyli.

Nikki zamówiła duży kieliszek wina, a ja wziąłem piwo, by trochę ukoić nerwy. Usiedliśmy na wolnym skrawku trawy. Choć ognisko płonęło spory kawałek dalej, czułem na policzkach żar, a w oczach Nikki odbijała się złocista poświata. Kątem oka obserwowałem Grega, pewien, że dzieci są gdzieś przy nim.

– No dobra – zaczęła Nikki. – Jeśli chodzi o Grega... – Westchnęła ciężko. – Przyjaźniliśmy się za dzieciaka. Chodziliśmy do tej samej szkoły, ale do różnych klas. Na korytarzach udawaliśmy, że się nie znamy. – Pokręciła głową, jakby zbierała myśli. – Byłam wówczas totalnym przegrywem, nawet bardziej niż teraz. – Zaśmiała się smutno. – Dziwaczka i samotniczka. Popularne dziewczyny miały mnie za totalne dno, bo nie kręciło mnie nic, co kręciło je. Totalna introwertyczka, na granicy katatonii. Nie interesowały mnie ciuchy, chłopcy, nocowanie u koleżanek Ciągle czytałam i kochałam zwierzęta.

– Trochę jak Frankie... – wtrąciłem.

– Może i tak, z tym że Frankie to równiacha, o wiele większa, niż ja kiedykolwiek byłam. Miałam świra na punkcie przyrody, ciągle włóczyłam się po tych lasach. Wytaczałam ścieżki i budowałam jakieś bazy, choć już dawno powinnam wyrosnąć z takich zabaw. – Powiodła ręką wokoło. – To właśnie tutaj się zaszywałam. I tutaj poznałam Abigail.

– Abigail?

– Tak. Lokalną hippiskę. Nie urodziła się tu, była napływowa. Wyszła za gościa z Penance, Logana, ale nigdy nie wtopiła się w lokalną społeczność.

Gdy pierwszy raz ją zobaczyłam, zbierała grzybki.

– Czekał, grzybki-halucynki?

Zaśmiała się.

– Nie no, zwykle jadalne grzyby! Zobaczyłam ją na czworaka, w długiej sukni utyłanej błotem, z tymi pięknymi, rozwianymi, jasnymi włosami. Zagapiłam się, bo nigdy nie widziałam, by jakikolwiek dorosły wyprawiał takie rzeczy. Miała ze czterdzieści lat. Prawie rzuciłam się do ucieczki, gdy mnie dostrzegła, ale powstrzymałam się, bo mnie zawołała. Pokazała, co robi. Wyjaśniła, jak odróżnić jadalne grzyby od trujaków. To był początek naszej... „Przyjaźń” to może nie jest najwłaściwsze słowo. To było raczej jak relacja mistrz i uczeń. Prawie codziennie spotykałam się z nią po szkole, a ona pokazywała mi różne rzeczy, edukowała mnie. Wielbiłam ją. Moi rodzice to były sztywne, odległe, zapracowane figury. Nie rozumieli mnie. Abigail za to zajrzała w moją duszę. Mówiła, że widzi we mnie młodszą wersję siebie. Trwało to chwilę, a potem dołączyły do nas jeszcze inne wyrzutki.

Już wiedziałem, do czego to zmierza.

– W tym Greg?

– Dokładnie. Był takim samym outsiderem jak ja. Chłopak bez przyjaciół. Również został jej akolitą, tak to się bodajże nazywa. Pokochał ją tak mocno jak ja.

– No dobra, ale jaki związek ma ta znajomość z morderstwami? I z tym, co się teraz dzieje?

Pociągnęła z kieliszka.

– Teraz zrobi się trochę dziwnie, jesteś pewien, że chcesz tego słuchać?

– Myślę, że tutejsze doświadczenia wystarczająco mnie do tego przygotowały.

Minęła nas jakaś trzymająca się za ręce parka; chichotali, jakby przed chwilą poświntuszyli sobie w lesie. Pewnie właśnie to robili. Nikki poczekała, aż odejdą.

– Większość tych nauk Abigail pochodziła z książki, którą kupiła na wyprzedazy garażowej. Nosiła tytuł *Uświęcone miejsce: Sekretna historia Płytkich Zdrojów*. Pamiętam to wszystko tak dokładnie jak moje dzisiejsze śniadanie. Na brązowej okładce książki była czarno-biała fotografia przedstawiająca kobietę odzianą w białe, powłóczyście szaty, stojącą w lesie.

Strony pożółkły od papierosowego dymu i śmierdziały jak stara popielniczka. Były na nich jednak wypisane ekscytujące tajemnice, być może tak ekscytujące za sprawą sposobu, w jaki Abigail nam je wykładała. Jakby to była jakaś święta księga.

Nikki wyciągnęła z kieszeni paczkę Marlboro i podpaliła papierosa.

– Chcesz?

– Nie. – Miałem w głowie coś innego. – Co było w tej książce?

Zaczęła spokojniejszy rozdział opowieści.

– Historia tej okolicy. Penance zostało założone w osiemnastym wieku przez pastora George'a Levetta. Zbudował kościół, który stoi po dziś dzień. Uczęszcza do niego większość mieszkańców. Zapytaj o Levetta kogokolwiek, a wyrecytuje ci oficjalną biografię. O tym, jak przybył wraz z żoną i tuzinem dzieci z handlowej osady na południu i założył pierwszą tutejszą wspólnotę. Chrzczył ludzi w tym jeziorze. – Wskazała na czarną taflę. – Według naszej książki George miał sekret, a było nim głębokie umiłowanie natury. Darzył przyrodę szacunkiem. Można go chyba nazwać jednym z pierwszych ekologów. Do tego bardzo szanował Indian, którym Europejczycy zagrabili ziemię. Ze dwóch ich pozostało w tej społeczności. Pewnie wiesz, że tutaj na siłę zmuszano do przejścia na chrześcijaństwo? Baptyści w tym przodowali. Według tamtej książki Levett wprowadził do społeczności Indiankę. Zaprzyjaźnił się z nią. I to właśnie ona wyjaśniła mu, że ta ziemia jest dla Indian święta.

Musiałem mieć ironiczny wyraz twarzy, bo szybko wyjaśniła:

– Nie mówię o jakichś nawiedzonych cmentarzyskach, jak w horrorach. Po prostu Zdroje to źródło świętej energii. Kolebka harmonii między człowiekiem i naturą. Animizm, kojarzysz? Wiara w to, że ludzie, rośliny, zwierzęta, nawet góry, jeziora i rzeki noszą w sobie ożywiające je duchy. I wszystkie te duchy są częścią duszy wszechświata.

– I Levett dał się przekonać do animizmu?

– Nie. Był chrześcijańskim pastorem. Ale szanował inne wierzenia. Postanowił chronić to dziedzictwo i te lasy. Poczuli, że został obdarowany wiedzą całych pokoleń. Mimo pokusy dużych zysków ludność Penance nie zgodziła się na wykarczowanie tych lasów. Walczono również z projektami budowy fabryk, które zenieczyłyby jezioro.

– To jest... chwalebne. Ciągłe jednak nie rozumiem, jaki to wszystko ma związek z Gregiem i tym, co tu się dzieje.

– Zaraz do tego dojdę. Wcześniej musisz jednak wiedzieć, że byliśmy pod przemożnym wpływem Abigail. Mieszkaliśmy w podłym miasteczku. W szkole byliśmy prześladowani. Uważaliśmy, że Penance to dziura w środku nicości, piekielko na ziemi, które wszyscy mają gdzieś. Tu się właśnie urodziliśmy. To nas w pewien sposób ukształtowało. Więc ta wizja, w której uważano Zdroje za święte miejsce Indian, o które walczone przez pokolenia, które chroniono przed zepsuciem, bardzo do nas przemówiła. Przestaliśmy uważać naszą ojcowiznę za totalne zadupie. Skoro było tak wyjątkowe, to my również tak się poczuliśmy. I gdy Abigail umarła...

– Umarła?

Nikki patrzyła w ziemię, jakby nagle pogrążona w żałobie.

– Miała raka płuc. To okropne, bo przecież była jeszcze młoda, a my znaleźliśmy ją może rok. No i teraz ta dziwna część, ale przecież cię ostrzegałam. Gdy umarła, nie wierzyliśmy, że opuściła nas ostatecznie.

Zapadła cisza, ale tylko na moment.

– Wierzyliście, że jej dusza została z wami?

– Tak, ożywiający ją duch. Abigail kochała to miejsce i przed samą śmiercią oznajmiła nam, że nigdy stąd nie odejdzie. I nie odeszła. A przynajmniej my w to wierzyliśmy. Wprawdzie była niewidzialna, ale czułam jej obecność. I ta obecność sprawiała, że dla nas to miejsce stało się jeszcze bardziej święte. Było jej domem. Jej domem na wieczność.

– Ale ty naprawdę wierzysz w to wszystko?

Zgasiła papierosa na ziemi, ale niedopałek schowała z powrotem do paczki.

– Wierzyłam. To się teraz liczy. Dla nas wtedy to było ważne. Animizm to nie jest jakaś dziwaczna sekta. Wiele uznanych religii na nim bazuje, wystarczy spojrzeć na Japonię, sporą część Azji, Afrykę. Buddyzm, shinto, hinduizm. Gdy zagłębisz się w statystyki, zobaczysz, że w jednego Boga wierzy mniejszość. My odrzucaliśmy wierzenia, które narzucało nam społeczeństwo. O wiele fajniej było wierzyć w to, co nam mówiła Abigail. Ja przynajmniej traktowałam to jako emocjonującą zabawę.

– Chyba rozumiem. – Choć historyjka była wciągająca, musiałem pospieszyć się z powrotem do Frankie, więc gestem ponagliłem Nikki do dalszej opowieści.

– A więc tak, wierzyliśmy, że duch Abigail został w Zdrojach. Wpadliśmy w obsesję zachowania okolicy nienaruszonej, bo dla niej to było bardzo ważne. Gniewała się z powodu najmniejszych zaniedbań. Wszędzie walały się śmieci, ludzie imprezowali i zostawiali po sobie pobojuwisko. Dużo polowano, nie tylko w sezonie, ale i poza nim. To była rzeź zwierzyny. Do lasu wywożono mnóstwo odpadów. Według nas największą winę za to ponosili bywalcy kempingu. Za każdym razem, gdy przyłapaliśmy kogoś z namiotu śmiejącego w lesie, opieprzaliśmy go, ale to niewiele dawało.

Wyprostowałem się. Wróciła do mnie treść książki Jake’a Robineaux. Coś o jego konfrontacji z lokalsami, gdy wymknął się z Mary-Ellen na fajkę.

– To byliście wy? – zapytałem. – W książce Jake’a?

– No. My.

Coś się nie zgadzało.

– Czekał, ale Jake opisywał dziewczynę i dwóch chłopaków. Kim był ten drugi? Everett?

Everett Miller był tylko o kilka lat starszy od Nikki i Grega, to musiał być on!

– Daj mi skończyć. – Nikki nie dała się podpuścić. – Usiłowaliśmy rozbujać jakąś lokalną kampanię, zaangażować inne dzieciaki i ich rodziców, założyć komisję ubiegającą się o uczynienie ze Zdrojów rezerwatu czy coś, ale wszyscy mieli to gdzieś. Kemping przynosił zyski, a kasa zawsze wygrywa, prawda? Spójrz na to miejsce. Płytkie Zdroje. – Wymówiła to z wyraźną pogardą. – Nikogo nie obchodziły nasze starania. Postanowiliśmy więc działać sami, ale już bardziej radykalnie.

Coś mi świtało.

– Te wszystkie wygłupy i straszenia na kempingu to wy?

W jej oczach pojawiła się jakby duma, co było dość zaskakujące.

– Myśleliśmy, że zdołamy ich odstraszyć na dobre. Sprawić, by uznali to miejsce za nawiedzone. Zakradaliśmy się na pole, wyciągaliśmy śledzie, przekładaliśmy przedmioty albo po prostu skradaliśmy się wokół namiotów jak duchy w mroku. Chcieliśmy ich nastraszyć, ale tak porządnie.

Pokręciłem głową z dezaprobatą.

– No co? Wtedy nikomu nie stała się krzywda!

– Ale okradaliście ludzi. Sikaliście im do śpiworów!

Zachnęła się.

– To akurat nie ja! No i to już było pod koniec, gdy wpadliśmy w desperację, bo zdaliśmy sobie sprawę z tego, że nic nie działa. Nieważne, co robiliśmy, pole namiotowe wciąż prosperowało.

Zapaliła kolejnego papierosa, dopiła wino. Powinienem chyba przynieść jej następne, ale nie chciałem przerywać opowieści.

– No i gdy już zdaliście sobie z tego sprawę, co zrobiliście? – zapytałem.

Nie odpowiedziała od razu. Strząsnęła popiół na trawę i zrobiła skruszoną minę, jakby natychmiast tego pożałowała. Jakby zbrukała ziemię.

Ziemię świętą.

– Wtedy wszystko się spieprzyło.

ROZDZIAŁ 33

Frankie gapiła się na kształt na podłodze. Ryan, och, Ryan! Czy to była jej wina? Powinna od razu powiedzieć tacie, by przyprowadził go do nich. Ale może i tak był już wtedy martwy?

Może gdyby byli razem, to oboje już by nie żyli.

– Przepraszam... – szepnęła, a jej oddech osiadł na szybie. – Tak bardzo mi...

Kształt się poruszył.

Frankie krzyknęła. Tymczasem ten ktoś na podłodze odwrócił się w stronę drzwi, wstał, podszedł do futryny i zapalił światło.

– Ryan! Wpuść mnie!

Gdy otworzył drzwi, rzuciła mu się na szyję.

– O mój Boże! Myślałam, że nie żyjesz! Coś ty wyprawiał?

– Słuchałem muzyki.

Pokazał jej trzymane w dłoni bezprzewodowe słuchawki.

– Ale dlaczego, do cholery, na podłodze?

Wzruszył ramionami.

– Zawsze tak robię. Wejdiesz?

Miała ochotę strzelić go w pysk.

– Tak, to znaczy nie! Muszę ci tyle powiedzieć! Zgadnij, kto jest ojcem Buddy’ego i Darlene!

– Szatan?

To wcale nie było śmieszne, ale poczuła tak wielką ulgę, że parsknęła.

– Greg!

– Co? Chyba sobie jaja robisz!

– Nie! I jestem prawie pewna, że ten koleś w masce kruka to był właśnie on. Tata zalogował się do mojego Instagrama na swoim telefonie, bo chcieliśmy pokazać te privy policji, nic więcej nie ma, bo skasowałeś zdjęcia. Ale wyczyścili mi całą historię.

– Cholera!

– No jasna cholera! Teraz tata gada z tą babką z księgarni i chce wyciągnąć od niej coś, z czym moglibyśmy pójść na komisariat. – Spojrzała przez ramię, mając nadzieję, że ojciec już wraca, ale ścieżka była pusta. – Więc tak, wolę wejść, bo razem będziemy bezpieczniejsi, ale tata myśli, że siedzę zamknięta u nas, więc...

– Mam iść z tobą do was?

– Tak. Okej?

– Pewnie. Tylko wezmę telefon i kurtkę. Zrobiło się zimno.

Wszedł do środka i po minucie wrócił ubrany. Zamknął drzwi na klucz i razem przeszli do domku Andersonów.

– Będzie co opowiadać, jak już wrócimy do cywilizacji, nie? – zagadnął.

– No, faktycznie! – Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale się zawahała, nie chcąc wyjść na roszczeniową. – Czy myślisz, że po wakacjach będziemy się jeszcze przyjaźnić?

– No pewnie! Masz przylecieć do Kalifornii uczyć się surfować, pamiętasz?

Uśmiechnęła się.

– Tak się cieszę, że żyjesz! – wypaliła i oboje się roześmiali.

– Ja też się cieszę!

Frankie otworzyła drzwi i weszli do domku.

Na kanapie siedział Buddy z maską kozła na kolanach. Dostrzegli go równocześnie. Frankie chwyciła Ryana za rękę i jęknęła przestraszona. Ryan też się przeląkł; odwrócili się, by uciekać.

Nie było jednak jak uciec. Darlene zaczęła się za drzwiami i teraz zatrzasnęła im je przed nosem.

Frankie postąpiła krok w tył, zdając sobie sprawę z tego, że nóż, który wciąż ściska w ręku, na nic się tu nie przyda.

Darlene bowiem celowała do nich z pistoletu.

ROZDZIAŁ 34

– No to co żeście nawyprawiali? – zapytałem Nikki. – Jak zaostrzyliście sprawę?

Nie odpowiedziała od razu. Drżącymi dłońmi zapaliła kolejnego papierosa.

– Nie sądziłam, że ta sprawa znowu wypłynie... Nie po tylu latach.

Widziałem, że znów jest podminowana. Opowieść musiała ją wiele kosztować. I nosiła to brzemień przez bardzo długi czas.

– Jak już ci powiem, to co zrobisz z tą informacją? – zapytała w końcu. – Bo wiesz, Tom, boję się, że jak ci powiem, to może przytrafić mi się coś złego...

Podobała mi się, bardzo. Lubiłem ją. Ale jeśli oczekiwała ode mnie rozgrzeszenia, jak od jakiegoś księdza, to nie mogłem jej go udzielić, nie, jeśli zrobiła coś naprawdę strasznego.

– To zależy, co się wtedy stało – zacząłem, rozglądając się, by mieć pewność, że nikt nas nie słyszy. Siedzieliśmy w mroku nad samą wodą; najbliżsi ludzie stali jakieś dwadzieścia metrów dalej. – Cokolwiek to jest... To byłaś wtedy gówniarą, tak?

Zaciągnęła się głęboko dymem.

– Od dwudziestu lat tak to sobie tłumaczę. Byłam gówniarą. Głupią gówniarą. Ale to wcale nie oznacza, że nie zasługuję na karę. – Przełknęła ślinę i odkaszlnęła, jakby zakrztusiła się własnymi słowami. – Od tamtego czasu muszę żyć z tym ciężarem. – Wyprostowała się z ogromnym wysiłkiem. – Ale może pora się przyznać. Tak długo bałam się tego, że ktoś mnie za to ukarze... Ale ten sekret jest jak toczący mnie rak, rośnie we mnie. Może pora na prawdę i zmierzenie się z konsekwencjami...

– Opowiedz mi, co się wtedy stało – zachęciłem ją.

Spojrzała mi w oczy, a w jej własnych błyszczała determinacja.

– Opowiem. I dam ci dowód, bo na pewno się przyda. Greg to szanowany i wysoce ceniony obywatel naszej społeczności. Jego rodzina żyje tu od pokoleń. No i choć to, co powiem, jest najszczerzą prawdą... Cóż, bez dowodu na policji pewnie by cię wyśmiali.

– A więc naprawdę masz dowód?

– Tak – zawiesiła głos. – Jest w księgarni. Chodź ze mną, pokażę ci.

Zawahałem się.

– Najpierw muszę sprawdzić, czy z Frankie wszystko okej.

– Pewnie. – Wstała. – Pójdziemy skrótem.

Ruszyła w stronę wzgórza, na którym wcześniej znalazłem młodych.

– Jesteś pewna, że to skrót?

– Tak, w końcu znam te lasy lepiej niż ty, Tom!

Zaczęliśmy się wspinać. Nikki zatrzymała się na szczycie wzgórza i spojrzała na taflę jeziora.

– Tam się zwykle spotykaliśmy. Nasza mała wspólnota.

– We dwoje? Nie, czekaj, we troje? Wspominałaś, zdaje się, o kimś jeszcze.

– Kozioł, Lisica i Kruk – potwierdziła.

No jasne!

– Kruk załatwił nam maski. Chyba jeden z facetów, z którymi randkowała jego matka, pracował w fabryce halloweenowych kostiumów. Uwielbialiśmy je! Odzwierciedlały nasze zwierzęce totemy.

– A twój totem to...? – zapytałem, choć przecież wiedziałem.

– Lisica.

Tutaj było tak ciemno, że z trudem odnajdywałem ścieżkę; Nikki za to szła lekko i pewnie, jak prawdziwy lis, jakby doskonale widziała w ciemności. Musiałem trzymać się blisko niej, wówczas było łatwiej.

– Greg był Krukiem?

Żadnej odpowiedzi.

– A kim była ta trzecia osoba? – nie poddawałem się. – Czy to był Everett Miller?

Liczyłem, że potwierdzi, ale zamiast tego powiedziała:

– Pokażę ci w księgarni. Jak już sprawdzisz, co z Frankie.

– Co mi pokażesz?

Znowu brak odpowiedzi.

– Ty i Greg... – podjąłem. – Chodziliście ze sobą?

Zaśmiała się, ale zabrzmiało to dość histerycznie.

– Ja z Gregiem? Nie. Nie z Gregiem.

– A więc ty... Z Kozłem?

Cisza.

– A jak wygląda dziś sytuacja Grega? – zapytałem. – Ma kogoś? Nie zauważyłem, żeby nosił obrączkę.

– Pewnie dlatego, że jego żona odeszła, gdy bliźniaki były malutkie.

– Serio?

– Taa. Była całkiem miła. Jak na mój gust, trochę za miękka, ale urocza. Chodziła z nami do szkoły. Zaczęli ze sobą kręcić, gdy mieli po dwadzieścia jeden lat. Po pół roku odbył się ślub.

– Bo zaciążyła?

– Dokładnie. Wiesz, jesteśmy tutaj strasznie konserwatywni. Zniknęła, gdy Buddy i Darlene skończyli dwa lata. Słyszałam, że prysnęła do Chicago. A może do Seattle? Nikt nie wie gdzie. Nie utrzymuje kontaktu ani z Gregiem, ani z dziećmi.

Tego nie byłem w stanie zrozumieć. Żyłem tysiące mil od córki, ale sytuacja, w której ona znika z mojego życia, była dla mnie niewyobrażalna.

– Ot tak odeszła? – zapytałem.

Nikki się zatrzymała; zrobiła minę jak ktoś, kto nie może się zdobyć na odpowiedź.

– Powiedziała, że jej rodzina to zło wcielone.

– Miała na myśli dzieci?

Ruszyła dalej bez słowa.

– Daleko jeszcze? – dopytałem, doganiając ją.

Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy, nigdzie nie było widać chat.

– Nie. Tędy się przebijemy.

Weszliśmy w gęstwinę drzew. Nie dobiegały tu ani gwar imprezy, ani dźwięki grającego zespołu. Zaczynałem żałować, że z nią poszedłem; miałem

ochotę zawrócić i dotrzeć do celu znaną mi ścieżką. Teraz jednak nie potrafiłbym określić, w którą stronę mam się kierować.

Doszliśmy do ścieżki wschód-zachód.

– Tutaj jest znajomo – stwierdziłem.

Choć w ciemności nie bardzo się orientowałem, miałem wrażenie, że jesteśmy po drugiej stronie ośrodka, w pobliżu polany z płaską skałą.

Dosłyszałem dźwięk wiatrowych dzwonek, gdzieś z oddali, pomiędzy drzew.

Po ciemku i w głębi lasu drzewa wcale nie wydawały się siedliskiem dobrych i pięknych duchów, które mogli czcić Nikki, Greg i Abigail. Zdawały się wrogimi bytami, które wyciągają gałęzie, by zagrozić nam ścieżkę. Powykrzywiane, groteskowe pnie przypominały marionetki z koszmaru. A odległy dźwięk nie był czysty i kojący, lecz dysharmonijny i niepokojący. Jakby las śmiał nam się w twarz.

Nikki przyspieszyła, najwyraźniej była pewna drogi. Nie wydawała się już zdenerwowana, może pogodziła się z losem, jakkolwiek on będzie.

I nagle las się przerzedził, a ja poczułem się tak, jakbym nagle umknął z labiryntu, ale już wiedziałem, gdzie jesteśmy. Faktycznie byliśmy w pobliżu polany ze skałą, przy ścieżce wiodącej do kwater.

Minęliśmy domek Butlerów i dotarliśmy do naszego.

Już unosiłem nogę, by wejść na stopnie prowadzące na taras, ale Nikki chwyciła mnie za rękę. Jej nastrój zmieniał się jak w kalejdoskopie. Zbladła i zadrżała. W mdłym świetle było widać smugę sadzy na jej policzku. I nagle, całkiem niespodziewanie, chwyciła mnie za ramiona i pocałowała.

Trwało to chwilę, potem się odsunęła.

– Co ty...

Położyła palec na moich ustach.

– Pragnęłam to zrobić – szepnęła – póki jeszcze mogę.

Nie podobały mi się te słowa. Coś w mojej głowie zamruczało ostrzegawczo.

– Co przez to rozumiesz? – zapytałem, choć wiedziałem, że nie odpowie.

– Wejdź do środka, Tom.

Poczułem, że lodowacieję.

– Co ty mówisz?

Nie patrzyła mi w oczy, odwróciła się. Cała się trzęsła. Płakała?

– Przepraszam – powiedziała tylko.

ROZDZIAŁ 35

Buddy szedł z przodu, z nim obok siebie Frankie i Ryan, z tyłu Darlene, wciąż dzierżąca złowrogo wyglądający pistolet.

– Za mną i ani słowa! – zakomenderował chłopak.

– Zabijemy was! – syknęła Darlene.

– Pochowamy was żywcem! – dodał Buddy z niezdrowym podnieceniem w głosie.

– To podobno najgorszy sposób, w jaki można umrzeć! – uzupełniła skwapliwie jego diaboliczna siostrzyczka, a ton miała tak obojętny, jakby czytała na głos jakąś cholernie nudną lekturę. – Walczysz o powietrze, w gardle masz ziemię. Panikujesz, tracisz oddech. Wiesz, że nie ma ucieczki.

– No i pochowamy was osobno! Będziecie zdychać pojedynczo, w samotności!

– Jesteście pierdolnięci! Psychopaci! – warknął Ryan, a minę miał taką, jakby chciał im napluć w gęby.

– Powiedziałem, że macie się zamknąć! – rzucił Buddy. – Nie macie prawa głosu, dopóki Kruk nie pozwoli się wam odezwać!

Frankie w ogóle nie miała zamiaru się odzywać. Wystarczyło jej słuchanie tych wszystkich przerażających rzeczy, od których robiło jej się niedobrze ze strachu. Po omacku odnalazła dłoń Ryana i ścisnęła ją mocno.

Usłyszała znajome dzwonki, więc była pewna, że znajdują się nieopodal polany, na której się ostatnio zgubiła. Teraz jednak nie było w pobliżu żadnej Nikki, która by ich uratowała.

Buddy oświetlał ścieżkę latarką, a pajęczne cienie gałęzi budziły we Frankie najpierwotniejsze lęki. Coś poruszyło się u jej stóp; odskoczyła przerażona, puszczając dłoń przyjaciela.

– Weź się ogarnij! – zaśmiała się Darlene.

Dotarli do polany. Dzwonki dźwięczały tu donośnie. Jakby las się z nich nabijał.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz! – szepnął Ryan.

Darlene parsknęła śmiechem i kazała mu się zamknąć.

Przeszli przez polanę. Dzwonki rozklekotały się już na dobre. Buddy przystanął i omiół słupem światła ścianę zieleni, jakby czegoś szukał. W końcu odsunął nisko zwisającą gałąź i zanurkował w gęstwinę.

– Za mną! – rozkazał. – Tylko nie róbcie nic głupiego!

Gałęzie uderzały ich po twarzach, ciernie chwyciły za ubrania i wplątywały się we włosy. Frankie ledwie mogła oddychać ze zdenerwowania, podążając za Buddym, który torował drogę. I nagle ścieżka się skończyła.

Światło latarki padło na rozwalającą się chatę o drewnianych ścianach pokrytych mchem i porostami, które przypominały skórę trędowatego. Na ganku wisały piekielne dzwoneczki, poruszane delikatnym wiatrem. Frontowe okna szczyrzyły zęby wybitych szyb. Schodki prowadzące na ganek przegniły.

Chatę ze wszystkich stron okalały drzewa. Wyglądała na dawno opuszczoną i zapomnianą. Jakby las chciał ją na powrót wchłonąć. Frankie patrzyła na nią, czując, że z nerwów zaczyna jej się kręcić w głowie. Zdawało jej się, że front chaty to marszcząca się w grymasie gęba.

Nie była w stanie dłużej tego znosić. Odwróciła się i rzuciła na Darlene, uderzając ją ramieniem, pewna, że zaraz rozlegnie się strzał. To by skróciło męki i oszczędziło jej spotkania z jakimś „Krukiem”, może ich ojcem? Lepiej paść na miejscu, niż czuć, jak do ust wdziera się ziemia, w której pełno głodnych mrówek...

Darlene upadła, a Frankie rzuciła się biegiem w stronę ściany roślin. Gdzie ta ścieżka? Rwała gałęzie i pnącza, ale plątanina zdawała się nie do sforsowania.

Poczuła, że ktoś ciągnie ją do tyłu za włosy i zobaczyła tuż przy twarzy wylot lufy.

– Zabiję cię! – syknęła Darlene i Frankie pomyślała, że to naprawdę jej ostatnia sekunda życia.

– Co tu się, kurwa, dzieje?

Lufa opadła, Frankie odwróciła się w stronę głosu.

Na ganku stał mężczyzna. W ciemności widziała tylko zarys sylwetki i maskę. To musiał być Greg.

– Do środka z nimi! Ale to już! – zakomenderował.

W poprzek ścieżki leżał dawno zwalony pień. Buddy i Darlene poganiali ich, by nad nim przepełzli. Facet w masce kruka zniknął we wnętrzu domu.

Bliźniaki jak więzienni strażnicy pogonili osadzonych na schodki.

– Ostrożnie! Trzymajcie się lewej! – poinstruował Buddy.

Frankie przywarła do zmurszałej poręczy. Na szczycie potknęła się.

– Na miłość piekieł, weź się nie wywal!

Otarła czoło. Czuła, że po twarzy spływa jej zimny, lepki pot.

Frontowe drzwi stały otworem i zdawało jej się, że ze środka wypływa taka sama zimna i lepka ciemność. Nie chciała tam wchodzić, ale nogi same ją niosły. Dłoń Ryana w jej dłoni dodawała otuchy, ale Frankie pamiętała, że z tyłu czai się Darlene z bronią. Czy miała więc jakikolwiek wybór?

Weszli do pomieszczenia, które kiedyś pewnie pełniło funkcję salonu. Mdłe światelko pomogło jej wyłowić z ciemności zarys kanapy i fotela. W kącie stała toaletka, na której umieszczono zdjęcie w ramce otoczone... Świecami? Na podłodze walały się śmieci, wokół unosił się słodkawy odór rozkładu. Wewnątrz było wyraźniej chłodno, jakby lato nie miało wstępu do tej rudery.

Za jej plecami trzasnęły frontowe drzwi.

W ciszy, która zalegała dokoła, słyszała tylko swój niespokojny oddech.

– Zabierzcie ich do piwnicy – rozległ się głos Kruka, którego maska była teraz wyraźnie widoczna. Stał przy drzwiach do drugiego pokoju. Wyglądał strasznie, ale i groteskowo zarazem, jak jakiś demon. Istota z innego świata. Z czasów, w których ziemią nie władali ludzie, ale zabobon. Ludzie wierzyli wówczas w mrocznych bogów.

Buddy chwycił Frankie za rękę i próbował wciągnąć ją w głąb pomieszczenia, ale ona nie zamierzała pozwolić zaciągnąć się do żadnej piwnicy. Z całej siły wbiła obcas w jego stopę.

– Jezu! – sarknął niecierpliwie mężczyzna. – Ja się tym zajmę!

Podszedł do niej, roztaczając wokół siebie chmurę słodkawo-kwaśnego odoru spoconego ciała. Bolesnie chwycił ją za ramię, jego palce wbiły się

w jej ciało. Był silny. Pociągnął ją w stronę drzwi. Do piwnicy. Usłyszała za plecami, jak Darlene syczy do Ryana:

– Za nimi!

Człowiek-kruk, zapewne Greg, wepchnął ją do pomieszczenia, w którym było zdecydowanie ciemniej. Porzucił ją tam. Nic nie widziała.

Zapaliła się latarka i zobaczyła, że Kruk schyla się, by coś podnieść. Złapał za uchwyt klapy w podłodze.

Postąpiła krok w tył.

– Nie... Błagam!

Poczuła, że od tyłu chwyta ją Buddy. Nie miała jak uciec.

Mężczyzna odrzucił klapę, podniósł się i łypnął na nią białkami oczu, widocznymi przez rozcięcia w masce.

– Dalej! – warknął, a głos stłumiła guma maski.

Buddy ją popchnął.

Poczuła, że spada w czeluść.

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 36

Wbiegłem po dwa stopnie na ganek, przed drzwiami upuściłem klucze. Otworzyłem skrzydło z taką siłą, że walnęło o ścianę. Nikki zniknęła w ciemnościach.

Wszedłem.

– Frankie! – zawołałem.

Wbiegłem do jej sypialni, mojego pokoiku, łazienki. Stałem na środku salonu i rozglądałem się bez sensu, może bezmyślnie nie mogąc pozbierać myśli. Gdzie ona się podziała?

Dlaczego Nikki powiedziała, że jej przykro?

Za co przepraszała?

I wtedy to zobaczyłem, na kanapie. Białą kopertę.

Podszedłem ostrożnie, jakby była tykającą bombą albo zawierała urzędowe pismo posypane węglikiem. Wziąłem ją do ręki i otworzyłem ostrożnie. Zawierała pojedynczy arkusz złożony na pół. Nakreślono na nim niezbyt starannie:

Frankie jest bezpieczna. Nie dzwoń na policję. Z nikim nie rozmawiaj.

Jeśli zignorujesz te rozkazy, nigdy nie odnajdziesz jej ciała. Jutro ciąg dalszy.

Przeczytałem notkę trzykrotnie, potem kolejny raz, piąty, dziesiąty. Obracałem kartkę, szukając czegoś jeszcze, ale nic więcej nie napisano.

Byłem w szoku, to wszystko do mnie nie docierało. Mój Boże, dlaczego zostawiłem córkę bez opieki? Dlaczego zaufałem Nikki? Wprawdzie kazałem Frankie zamknąć się od środka, ale przecież Greg, jako kierownik, miał

wszystkie klucze. Dlatego Buddy i Darlene bez trudu dostali się do Tamary i Donny. Teraz pewnie też weszli tutaj i przyczaili się na Frankie. Dlaczego wcześniej nie przyszło mi do głowy, że mogą zrobić coś takiego?

Zadręczałem się, ale musiałem jak najszybciej się pozbierać. To nie pora, aby się załamać i rozkleić. Frankie mnie potrzebowała. Musiałem się trzymać. Musiałem zachować spokój i być silny.

Co wcale nie było łatwe.

Nigdy nie odnajdziesz jej ciała.

Ktoś załomotał w drzwi i prawie padłem ze strachu.

Czy to Nikki?

Rozległ się męski głos:

– Tom, jesteś tam?

Podbiegłem do drzwi i otworzyłem. To był David.

– No cześć, stary. Jest tu Ryan? – zapytał.

Pokręciłem głową.

– Hmm... – Odwrócił się przez ramię, spoglądając w stronę swojej chaty. Na ganku siedziała Connie i ktoś jeszcze. Neal Fredericks. Kilka osób wracało do swoich kwater, większość wyglądała na podchmielonych i rozbawionych. Czy ja jeszcze pamiętałem, jak to jest dobrze się bawić? Pragnąłem cofnąć czas do momentu, w którym wychodzę, zostawiając Frankie samą.

– Nie ma go u was? – zapytałem.

– Nie. Zapytasz Frankie, czy go widziała?

– Jej też nie ma – odpowiedziałem bez namysłu.

David tylko coś mruknął, jakby nie mógł się zdecydować, czy to dobra, czy zła wiadomość.

Czy ten ktoś, kto porwał Frankie, miał też Ryana? Być może młodzi byli razem, więc dlaczego Butlerowie nie otrzymali kartki z instrukcjami? Ryana nie zastałem w domku, gdy po niego poszedłem.

– Nie ma go tam? – zawołała Connie.

– Nie! – odkrzyknął David, po czym znowu odwrócił się do mnie. – Co tam masz?

– Co?

– W ręku.

Wciąż ściszałem w dłoni kartkę od porywacza.

Nie rozmawiaj z nikim.

Ostatnie słowo podkreślono.

– Nic takiego... – Tak, teraz z pewnością nie nabierze podejrzeń. – Robię sobie notatki do artykułu.

– A... No to... A wiesz może, gdzie oni się włóczą?

W tym momencie Connie zeszła po stopniach i podeszła w naszą stronę. Podpierała się laską, przenosiła na nią ciężar ciała, jakby biodro bardzo jej dokuczało. Gdy była blisko, David rzucił:

– Tom nie widział Ryana, a Frankie też nie ma.

– Myślicie, że poszli gdzieś razem? – zapytała Connie w przestrzeń, ni to mnie, ni męża.

– Pewnie tak – stwierdził David z lekkim rozbawieniem. – Po mnie to ma!

Nie wiedział, że jego syn woli chłopaków? Matka też nie wiedziała? Nie miałem prawa ich tu i teraz uświadamiać.

Connie spojrzała na zegarek.

– Już po jedenastej... – Zdawała się bardziej przejęta od Davida. – Wie, że o tej porze powinien być w domu!

– Pewnie stracił poczucie czasu – uspokoił ją mąż.

Spojrzała na mnie.

– A Frankie? O której zwykle wraca?

– No tak... – Usiłowałem zyskać na czasie, ale jak podczas partii szybkich szachów nie miałem zbyt wielkiego pola manewru. Musiałem dowiedzieć się najważniejszej sprawy. – Nie zostawił jakiejś informacji, gdzie jest?

Spojrzeli po sobie.

– Nie zauważyłam – stwierdziła Connie.

– A co, Frankie coś zostawiła? – David spojrzał na kartkę w mojej dłoni.

– Też nie.

– Sprawdzę, bo nie zwróciłam uwagi.

Connie odeszła powoli w stronę swojej chaty. Jeśli porywacz – a podejrzanego miałem tylko jednego – zostawił list i u nich, to mi ułatwi

nico sprawę. Siedzielibyśmy w tym razem. Obawiałem się wprawdzie, że Butlerowie od razu pognaliby na policję, ale przynajmniej nie musiałbym się przed nimi kryć.

Patrzyłem, jak wchodzą do siebie. A co, jeśli ktoś nas obserwuje? Omiotłem wzrokiem ścianę drzew naprzeciwko.

– Idziesz? – rzucił David przez ramię.

Wprawdzie miałem czekać do następnego dnia na dalsze instrukcje, ale nie było nic o tym, że do tego czasu powinienem siedzieć w kwaterze. Z ich okna będę widział swój domek, więc jeśli ktokolwiek się będzie kręcił w jego pobliżu, natychmiast pobiegnę. Ale jeśli Greg – bo byłem już pewien, że to on – cały czas ma na mnie oko i pomyśli, że już się wygadałem Butlerom? Nie byłem w stanie zebrać myśli, ale musiałem natychmiast się dowiedzieć, czy oni również dostali list. Pognałem przez trawnik, wtykając kartkę do kieszeni, żeby David znów nie zadawał niewygodnych pytań. Skinąłem na powitanie Nealowi, który siedział przy stoliku i wpatrywał się w stojącą przed nim szklankę wypełnioną najprawdopodobniej whisky. Promieniował napięciem, pewnie dopiero schodziło z niego po emocjonalnym występie na scenie; gdy jednak się odezwał, w jego beznamiętnym głosie nie było już słycać nagromadzonej adrenaliny.

– Dzieciaki, co? – mruknął. – Cieszę się, że z Sally się nie zdecydowaliśmy.

Coś odburknąłem, nie chcąc się wdawać w niepotrzebną gadkę, a wówczas pojawiła się Connie.

– Nie ma żadnej kartki. – Wyglądała na niezłe przestraszona, otarła wierzchem dłoni zaszklone oczy.

– Zamorduję gówniarza! – zadeklarował David. – Same zmartwienia z nim!

– To nastolatki! – wtrącił Neal. – Wydaje im się, że są już tacy dorośli, a...

Connie zmierzyła go takim wzrokiem, że się zamknął i uniósł dłoń w przeproszającym geście.

– Musimy go znaleźć! – stwierdziła.

– Znaleźć ich oboje – uzupełnił David, patrząc na mnie, więc tylko przytaknąłem.

– Kiedy ostatni raz widziałeś córkę? – dopytała Connie.

W tej kwestii nie musiałem ściemniać. Ważne, bym pozostał dyskretny w pozostałych.

– Znalazła mnie w namiocie, w którym przemawiał Neal. Odprowadziłem ją do naszej chaty i znowu wyszedłem.

– O której to było?

Nie bardzo pamiętałem.

– Chyba przed dziesiątą. Tak mi się wydaje... Może dziewiąta trzydzieści.

Nie wiedzieli o zajściu z Buddym, Darlene i kamieniami. Usiłowałem opowiedzieć o tym Davidowi, ale był tak zaaferowany, że nie słuchał. Czy oni w ogóle mieli pojęcie o tym, co się wokół nich działo przez ostatni tydzień? Czy wiedzieli o tym, że ich syn rozjuszył lokalsów instagramowym postem? Chyba nie, a więc tym bardziej nie znali sprawy zamaskowanych ludzi w lesie. Nie wiedzieli o tym, że podejrzewałem Grega o przynależność do tej szajki. To by wyjaśniało fakt, że list pozostawiono jedynie u mnie. Tylko ja wiedziałem, co tu się wyprawia. Tylko ja mogłem zniweczyć plany Grega i jego paczki, jakiegokolwiek były, pójściem na policję. Tylko ja podejrzewałem ich o uprowadzenie Frankie i Ryana.

– Wyglądasz na nieźle wystraszonego... – zauważył David.

– Hm? – wyrwało mi się, bo zmącił mój tok myślenia. Cała trójka się na mnie gapiła. – No fakt, jestem nieźle przestraszony! – Odwróciłem się, bo z pewnością wyczytaliby z mojej twarzy, że coś ukrywam. Kartka palila w kieszeni jak węgielek z ogniska.

– Idę ich poszukać – rzucił David.

– Pomogę – zaoferował Neal, podnosząc się z jękiem jak ktoś chory na artretyzm.

– Connie! – David skinął do żony. – Zostań tu na wypadek ich powrotu.

– Może – zacząłem – wy dwaj rozglądnijcie się na terenie ośrodka, a ja pójdę do lasu?

– Pójdę z tobą. Będzie lepiej, jak we dwóch przeczeszemy las między ośrodkiem a Penance – stwierdził David.

– Nie ma takiej potrzeby, serio! Przetrząśnijcie ośrodek. Korty, plac zabaw, ścieżki nad jeziorem. I zajrzyjcie za budynek recepcji, dzieciaki czasem tam chodziły, żeby złapać zasięg.

– A o tym nie wiedziałam! – zdziwiła się Connie.

– Frankie zdradziła się jakiś czas temu. Spotkamy się tutaj za jakąś godzinę, dobra?

– Może po prostu zadzwonimy po gliny? – zasugerował Neal.

– Nie! – zaprotestowałem może nieco zbyt żarliwie. – No wiecie, jeśli oni po prostu robią gdzieś to, co... Co nastolatki zwykle robią, to chyba nie chcemy marnować na to czasu policji?

– Też prawda! – zgodził się David.

Chyba był pewien, że Ryan idzie w jego ślady i prowadzi się tak, jak on w wieku piętnastu lat. Connie nie wydawała się jednak przekonana. Może wiedziała o orientacji syna, ale nie chciała zdradzić tego mężowi, przynajmniej nie teraz. David martwił się chyba tylko na pokaz, żeby jej nie wkurzać. Trudno było orzec, które z nich coś wie, a które nie wie nic.

– Pożyczycie mi jakieś światło? – zapytałem. – Ciemno w tych lasach, że oko wykol...

– Pewnie! – David cofnął się do chaty.

– No dobra, to zbiórka tutaj za godzinę! – zakomenderowałem, gdy wręczył mi latarkę.

Ruszyli z Nealem w stronę zabudowań rekreacyjnych ośrodka, a ja poszedłem, by zamknąć drzwi na klucz. Oparłem się o drzwi i wziąłem kilka głębokich oddechów, przypominając sobie pocałunek Nikki.

Specjalnie powstrzymywała mnie przed powrotem, by Greg miał czas na porwanie dzieci, bo zakładałem, że oprócz Frankie ma i Ryana. Najgorsze w tym wszystkim było to, że przecież mnie ostrzegała! Nawet dziś wieczorem dała mi ostatnią szansę na zwianie stąd. Co się działo? Dlaczego działała na dwa fronty? Szantażowano ją? Może grożono jej? Czy wciąż mogła mi jakoś pomóc?

Connie obserwowała mnie ze swojego tarasu, zastanawiając się pewnie, dlaczego jeszcze nie wyruszyłem na poszukiwania. Szarpały mną wątpliwości, ale znowu przypominałem sobie, że przecież nie zabroniono mi wychodzić z chaty. Nowe instrukcje miały nadejść dopiero jutro. A co, jeśli porywacze zmienią zdanie i pojawią się wcześniej z nowymi żądaniem? Nie mogłem tak stać, bo Connie zaraz zacznie coś podejrzewać, a jeśli się przed nią zdradzę, to złamię zasady zawarte w liście. Musiałem zrobić cokolwiek, zaryzykować. Wyjść do lasu i poszukać mojej córki.

Najpierw jednak powinienem znaleźć Nikki i wydusić coś z niej. Ruszyłem biegiem w stronę lasu, po raz ostatni zerkając przez ramię na domek.



Wzdrygałem się na każdy ruch wśród drzew, każdy szmer liści. Byłem pewien, że za moment ktoś rzuci się na mnie z zarośli albo pojawią się Buddy i Darlene w upiornych maskach, stając przede mną jak posągi. Do tego nie mogłem przestać myśleć o tym, co Nikki opowiadała o duchach lasu. „Ta puszcza jest nawiedzona!” – myślałem. „Wszystko tu żyje!”

Czułem się obserwowany: przez drzewa, skały, przez wnęki w zaroślach. Miałem wrażenie, że wszystko wokół knuje, jak mnie zniszczyć.

Udało mi się dotrzeć do Penance i gnałem główną ulicą. Wyatt, bezdomny, łytał na mnie ze swojej miejscówki pod pomnikiem, ale zignorowałem go. Pędziłem do księgarni i mieszkania Nikki.

Nacisnąłem dzwonek. Długo trzymałem palec na brzęczyku, a gdy nic się nie wydarzyło, ponowiłem próbę.

– Nie ma jej!

To był głos Wyatta.

Przeszedłem przez ulicę.

– O której wyszła? – zapytałem szorstko.

– Wyluzuj, stary! – rzucił w odpowiedzi. – Ton masz taki, jakbyś chciał kogoś zamordować! Co się stało? Sprzedała ci książkę bez ostatniej strony czy jak?

Wzięłem głęboki oddech. Moje poczucie humoru zniknęło wraz z córką.

– O której? – zapytałem ponownie.

– Jezu, stary, a co ja jestem, punkt informacji turystycznej?

Zgrzytnąłem zębami z wściekłości.

– Proszę, powiedz mi, o której wyszła Nikki!

– Kilka godzin będzie.

– I ty tak tu siedzisz od kilku godzin?

– Taa.

A więc Nikki nie wróciła do domu. To mogło oznaczać, że jest gdzieś tam, z Frankie.

Tylko gdzie znajduje się to „gdzieś tam”? Gdzie przetrzymują moją córkę?

ROZDZIAŁ 37

Frankie wylądowała na czymś miękkim, z czego sturlała się na beton. Uderzyła głową o ziemię, przed oczami zatańczyły jej iskry. Chwilę później ktoś z łomotem i jękiem upadł obok niej.

Kłapa się zatrzasnęła, a wewnątrz zapanowała atramentowa ciemność. Zasuwa zgrzytnęła.

– Ryan? – szepnęła Frankie.

Chłopak stęknął.

– Nic ci nie jest? – mówiła bardzo cicho, choć nie wiedziała dlaczego.

– Chyba nie – odpowiedział o wiele głośniejszym głosem, niż zamierzał.

Nie widziała ani jego, ani nawet własnej dłoni tuż przed twarzą. Takiej ciemności nigdy się nie doświadcza, wzrok nie ma do czego przywyknąć.

Uniosła się i zaczęła obmacywać całe ciało, szukając urazów. Głowa pulsowała bólem, ale krwi na szczęście nie wyczuła. Niczego też nie złamała. Fizycznie, bo wewnątrz czuła się pokruszona na kawałki, a może raczej rozciągnięta i sflaczała.

Nie wolno tak myśleć! Myśl, że co cię nie zabije, to cię wzmocni!

Ryan znowu jęknął boleśnie. Frankie pomacała wokół siebie. Oboje upadli na jakiś materac. Położono go tutaj, by złagodzić upadek, a to był dobry znak. Ktokolwiek ich pojmał, nie chciał od razu ich zabić.

Przynajmniej na razie.

– Czy to był Greg? – zapytał Ryan. – Ten koleś w masce, czy to on?

Brzmiał tak, jakby miał zaraz zacząć histeryzować. Sięgnęła przed siebie, żeby dotknąć jego ciała.

– Uspokój się – szepnęła.

– Próbuje! – Usłyszała, że wciąga powietrze ze świstem. – Jezu, jak tu śmierdzi! Czuję ten odór w ustach!

Ona też to czuła. Smród gnijących warzyw, mokrej ziemi i robactwa. Tak musiało cuchnąć wewnątrz grobu.

– Czy to Greg? – zapytał ponownie chłopak.

– A kto inny?

Zapadła cisza, po chwili Ryan znów się odezwał:

– Pokiwałem głową, ale przecież mnie nie widzisz. – Spróbował się zaśmiać, ale wydostał się z niego tylko niepewny syk. – Zimno mi. Bo tu jest zimno, no nie? Tylko mnie zimno? A tobie?

Faktycznie było chłodno, na pewno bardziej niż na powierzchni. Ryan chyba jednak przesadzał, pewnie zaczynał panikować. Przypomniała sobie zajęcia w szkole z jakąś hippiską, która uczyła ich technik oddechowych i wizualizacji.

– Ryan, zamknij oczy i wyobraź sobie, że jesteś na otwartej przestrzeni, na stadionie, powiedzmy.

– Co? Co ty...?

– Zrób to, dobra? Zaufaj mi. Jesteś tam?

– Jestem – usłyszała po chwili ciszy.

– Dobrze. Ściany są bardzo wysokie. A wysoko w górze zamyka się kopuła. Widzisz to?

– Chyba tak.

– Okej. To teraz stój na tym stadionie i wyobrażaj sobie tę gigantyczną przestrzeń.

Chyba znowu pokiwał głową, poczuła to podświadomie.

Ostrożnie opadła na kolana i zaczęła macać przed sobą ręką. Jak duża była ta piwnica? Jak daleko były ściany? Czy znajdowały się tu jakiegokolwiek przedmioty? Może coś, na czym mogliby stanąć i sięgnąć do klapy? A może jakaś inna droga ucieczki? Musiała coś odkryć, cokolwiek; zająć czymś umysł, żeby nie panikować. I żeby nie skupiać się na tym, że strasznie chce jej się sikać. Skoro pomyślano o materacu, to może i o jakimś wiadrze? Naoglądała się horrorów podczas nocowanek u koleżanek, w horrorach zawsze znajdowało się jakieś wiadro.

Pełzała przed siebie, po omacku.

Coś leżało na ziemi. Plastikowy przedmiot. Obmacała go z każdej strony.

Latarka! Dali im światło!

Nacisnęła włącznik.

Ryan wydał z siebie głęboki, nieartykułowany dźwięk.

– Nie otwieraj oczu! Myśl o stadionie!

Ona miała otwarte oczy i nie mogła uciec od poczucia klaustrofobicznego osaczenia. Wokół betonowe ściany, żadnych drzwi ani wnęk. Może sześć metrów kwadratowych powierzchni...

Wstała i wycelowała strumień światła w sufit. Nie była wysoka, ale gdy wyciągnęła rękę, przekonała się, że jakimś cudem musiałaby być dwukrotnie wyższa, by dosięgnąć klapy. Żadnej drabiny, nic, czego można by się uchwycić. Tylko gładkie ściany prostopadłościennej studni.

Zamknęła oczy.

Pułapka bez wyjścia.

– Frankie... – rozległ się głos Ryana.

Skierowała na niego snop światła.

– Zamknij oczy! – rozkazała mu.

– Nie, jest gorzej, gdy nie patrzę! Teraz przynajmniej... Co jest?

Zamrugnęła, raz i drugi, mając nadzieję, że kształt za nim, skupisko cieni, zniknie, że to omam. Coś za nim leżało.

– Ryan... – Jej głos był tylko świstem powietrza. – Nie odwracaj się...

Oczywiście, że się odwrócił.

– Co to jest?

Miała nadzieję, że tylko sterta szmat, jakieś wory ze śmieciami czy połamane meble. Nie była jednak w stanie oszukać mózgu. Ten cmentarny odór dolatywał właśnie stamtąd, z kąta piwnicy zawałonego... Czym?

Nie powinna się do tego zbliżać, oboje powinni wcisnąć się w przeciwległy kąt. A jednak pełzała na czworaka w stronę tej cuchnącej sterty.

– Frankie?

Była już blisko. Poświeciła latarką i straciła wszelkie wątpliwości.

Gdy zobaczyła Ryana na podłodze, zdawało jej się, że nie żyje.

Teraz już nic jej się nie zdawało. Za Ryanem leżał prawdziwy trup.

ROZDZIAŁ 38

Spojrzał na Nikki skuloną na kanapie. Siedziała z opuszczoną głową, obejmując rękami kolana. A przecież kiedyś dzieliła jego nadzieje, wierzyła w to, co robią! Nosila maskę, dokuczała obozowiczom. Wzięła nawet udział w rytuale. Nienawidziła ludzi i chciała chronić to miejsce. Chciał naiwnie wierzyć, że i ona dalej wierzy we wszystko, co wyznawali. Ale skoro najwyraźniej nie miała w sobie już wiary, musiał ją zastraszyć.

– Jeśli złapią mnie, ty też wpadniesz – powiedział jej jakiś czas temu.

Początkowo tylko wkurzał go ten jej afekt do Brytyjczyka. Wróciła dawna zazdrość, choć przecież już od dłuższego czasu nie żywił do niej głębszych uczuć. To Abigail podszeptała mu, że mogą wykorzystać jej sympatię do własnych celów. Użyć Nikki jako przynęty, by usunąć Toma z drogi i dokończyć to, co zaczęli. Najpierw chciał porwać i jego, ale podejrzewał, że zniknięcie i córki, i ojca wzbudziłoby podejrzenia, zapoczątkowało wielkie poszukiwania, sprowadziło policję. Tego z pewnością nie chciał. Plan zakładał pochwylenie młodych dopiero jutro i pozbycie się ich od razu. Gdy jednak Frankie i Ryan wpadli na nich nad jeziorem, nagle stali się poważną przeszkodą. Musiał szybko przetasować priorytety. Zgarnąć dzieci. Wysłać Nikki do Toma, by go odsunęła. No i teraz musieli dopilnować, by on i Butlerowie nie wezwali policji.

Zostawienie listu z pogrózkami zdało się Krukowi genialnym posunięciem. Naoglądał się filmów, wiedział, że kartka z ostrzeżeniem: „Zadzwoń po gliny, a dzieciak zginie” zawsze działała. Do zrealizowania planu potrzebował niecałej doby. Tyle na pewno wystarczy. Nawet jeśli Anderson zadzwoni po gliny rano, na pewno od razu nie podejmą działań. Każdy na początku stwierdzi, że para nastolatków po prostu zaszyła się gdzieś, by pobaraszkować albo nielegalnie się nawalić.

– Powinnaś się przespać – rzucił do Nikki.

Uniosła głowę i spojrzała na niego nienawistnie. Tak, ponieważ poniosła klęskę i było jej wstyd, więc musiała kogoś za to nienawidzić.

– Jak niby mam teraz spać?

– To wszystko zaraz się skończy. Zamkną ośrodek. Zdroje znowu pogrążą się w ciszy. Wrócimy do tego, co było kiedyś.

Parsknęła.

– Aż do następnego razu.

– To znaczy?

– Nawet jeśli teraz to zadziała...

– Na pewno zadziała.

– Nawet jeśli znowu wystraszysz turystów, skąd wiesz, że nie wrócą? Pojawi się nowe pole kempingowe, nowy ośrodek. A może coś gorszego. Może wytną las. Albo postawią tu fabrykę. Wszyscy, którzy wierzyli w świętość tego miejsca, dawno umarli!

– Ale ja nie umarłem. Abigail też wciąż tu jest.

Znowu prychnęła.

– Ale tu mieszkają ludzie i muszą jakoś zarabiać na życie!

– My jakoś sobie poradzimy.

– Taaa, jasne! Dla ciebie liczy się tylko Abigail! Myślę, że...

Zamilkła.

– Że co? – dopytał. – Znowu chcesz mi powiedzieć, że jej tak naprawdę tu nie ma? Że zwariowałem? Tak?

– Oczywiście, że zwariowałaś! Pracujesz w miejscu, którego nienawidzisz!

– Żeby mieć dostęp!

– Do czego? Do domków? Żeby móc się zakradać i straszyć ludzi, jak ostatnio? Nic to nie dało!

– Nie! – syknął, plując ze złości. – To nie ja, tylko Buddy i Darlene! Wzięli klucze z biura. Nie wiedziałem, co knują, dopóki nie wykradli leków tamtej kobiety!

Ukradli je, bo sądzili, że mogą je sprzedać. Gdy się dowiedział, kazał im podzucić je z powrotem.

Nie chciał przecież, żeby tamta kobieta umarła! Nie był tym złym! Zostawił przecież w piwnicy latarkę dla tych gówniarzy! Nawet jego przerażała czarna studnia pod chatą. Nie chciał męczyć dzieciaków bardziej, niż to konieczne. Jeden z chłopaków jego matki pracował w rzeźni przy granicy i ciągle powtarzał, że trzeba jak najmniej straszyć zwierzęta. Mawiał, że należy je ułagodzić, zanim wbije im się boleć w mózg. Kruk nigdy nie zapomniał tych słów.

– To było... Niekonieczne – rzekł, ocierając pot z brwi.

To nie była jego wina, że kobiecina miała takie słabe serce! Buddy zaśmiewał się, odgrywając scenkę z chwytnością się za serce i lamentowaniem: „Lucyfer! Lucyfer!”. Kruk nie wiedział przecież, że była fanatyczką religijną i na widok rogatej maski kopnie w kalendarz.

Nikki nie odrywała od niego wzroku.

– Niekonieczne... Ciekawie ujęte. – Jej oczy zaślnęły w półmroku. – Kiedyś byłeś uroczy, ale coś w tobie pękło, prawda? W chwili śmierci Abigail. Szkoda, że nie zorientowałam się dwadzieścia lat temu – mówiła cicho i spokojnie, jakby naprawdę jej na nim zależało. – Ale chyba w nas wszystkich coś pękło. Inaczej nie zgodzilibyśmy się na twój plan.

Spojrzał na leżącą na kolanach maskę kruka. Wrócił wspomnieniami dwadzieścia lat wstecz. Nic w nim nie pękło, po prostu zmądrzał. I na pewno nie był wariatem. Był tym sprytnym.



Po raz pierwszy natknął się na parkę nauczycieli, gdy wracał do swojej kwatery. Lubił sam rozmawiać z Abigail, bez rozpraszającej obecności Lisicy i Kozła. Siadał na ganku, zapalał skręta, wpatrywał się w gwiazdy migoczące między listowiem i opowiadał jej półgłosem o swoim życiu, troskach i nadziejach na przyszłość. Przepraszał za to, że plan się nie sprawdza. Frustrowało go to. Wściekał się z powodu głupoty obozowiczów. Gnoje niszczący rośliny, śmiejący i zostawiający po sobie pety i gumy do żucia. Depczący świętą ziemię. Zatruwający czyste źródło życia.

Był w połowie drogi powrotnej, przy polance z płaską skałką, gdy usłyszał dorosłe głosy.

Schował się między drzewami w obawie, że może to ktoś, kogo zna, ale szybko rozpoznał parę nauczycieli, których widział z wycieczkowiczami. Nie

znał ich imion, ale skojarzył twarze. Jutro miał się dowiedzieć, jak się nazywają.

Coś tam pomrukiwali, ale nie był w stanie dosłyszeć. Usiedli na skale i facet wyciągnął zza pazuchy butelkę. Pociągnął łyk i podał ją kobiecie. Mieli ze sobą dużą latarkę, która oświetlała jej twarz. Chuda, ale w sumie niezła laska. Pili naprzemiennie, w końcu odrzucili butelkę i usiedli bliżej siebie.

Zaczęli się całować.

Chyba potrącił jakąś gałązkę, bo kobieta oderwała usta od kochanka i spojrzała w jego stronę. Wiedział, że jest za daleko, że na pewno nie widzi go w prawie kompletnej ciemności.

Napalony facet uspokoił ją i znowu zaczęli się łapczywie całować, jak na filmach. Chłopak jego matki zostawił takie dzieła dla dorosłych, jak: *9 i ½ tygodnia* i *Nagi instynkt*.

Nauczyciele zaczęli się rozbierać. Facet ściągnął T-shirt, ona zrobiła to samo. Całował ją po szyi, sięgnął za plecy, rozpiął jej stanik i odrzucił w trawę.

Kruk miał szczęście! Oglądał sobie darmowego pornola, który jednak dość szybko dobiegł końca; mimo to zdawało mu się, że to najlepsza rzecz, jaką widział w życiu.

Zeszli ze skały, więc mógł dobrze sobie obejrzeć ich nagie ciała. Przytulili się jeszcze na chwilę i miał nadzieję, że może zrobią to znowu, ale wkrótce zaczęli się pospiesznie ubierać. Potem przecięli polanę i zniknęli w zaroślach.

Następnego dnia podglądał ich na kempingu, ukryty w krzakach. Dość długo trwało, zanim ktoś się do nich zwrócił. Pan Daniels. Pani Fredericks. Dopiero wieczorem do kompletu pojawiły się imiona: Eric i Sally. Stali w cieniu, obejmowali się. Może planowali powtórkę na polanie? Mieli obrączki, ale inne nazwiska. Niektórzy wprawdzie nawet po ślubie zostawali przy swoich, ale ta parka zachowywała się podejrzanie. Gdyby byli małżeństwem, nie chowaliby się po krzakach i nie rzucali sobie ukradkowych spojrzeń.

Oboje zdradzali współmałżonków.

W domu sprawdził ich w Internecie. Na stronie szkoły znalazł notki biograficzne i zdjęcia całej kadry.

Kolejnej nocy ukrył się przy polanie i tak jak się spodziewał, przyłapał ich powtórnie.

I nagle go oświeciło!

Początkowo odrzucił ten straszny pomysł.

Zbyt ryzykowne.

Prawda?

Myśl jednak powracała, podniecała go i odrzucała jednocześnie. Gdyby udało mu się przeprowadzić ten plan, wyszłoby idealnie! To byłby jak dotąd jedyny jego sukces w życiu. Nad implikacjami moralnymi w zasadzie się nie zastanawiał. Miał gdzieś obcą parę nauczycieli! Do tego takich, co oszukują i zdradzają! Matka podobnych skurwysynów odprawiała z krzykiem. Najwyraźniej jego ojciec również był taki, skoro go wykopała, gdy Kruk był jeszcze maluchem.

Ci dwoje tutaj uosabiali wszystko, czym pogardzał! Cieszyli się z obozowania. Najechali jego święte miejsce. Miejsce Abigail. Byli jak rak, który rozrósł się w jej materialnym ciele i teraz miał rozrosnąć się ponownie w jej sanktuarium. Zabić ją powtórnie.

Ktoś musiał coś z tym zrobić.

Tym kimś był on.

Cwany chłopak! – usłyszał szept Abigail. *Mój ulubieniec od zawsze!*

Zrób to!



Minęła północ.

Powinien sprawdzić, co z parką na dole, rzucić im przynajmniej butelkę wody. Za chwilę. Najpierw chciał posiedzieć przed ołtarzykiem Abigail i jej podziękować.

Dziś jest wyjątkowa noc, nów.

Początek nie tylko nowego lunarne go cyklu, ale i punkt zwrotny w historii Zdrojów.

Początek i koniec.

ROZDZIAŁ 39

CZWARTEK

Ktoś walił w drzwi i mnie wołał. Poderwałem się z łóżka. Zaschło mi w ustach, jakby język porósł mi futrem. Poczucie winy było jak strzał w pysk. Jak mogłem zasnąć, nie odnalazłszy córki? Spojrzałem na zegarek.

Dziewięta piętnaście.

Co się wydarzyło wieczorem?

Wróciłem od Nikki i spotkałem się z Butlerami i Nealem, którzy bezskutecznie przeszukali ośrodek. Gdzieś snuli się jeszcze pijani turyści, niektórzy wciąż leżeli na trawie, kilkoro siedziało przy dogasającym ognisku. Nie było już widać obsługi, nie było też Grega i Vivian. Budynek recepcji zamknięto. Zdawało się, że ludzie z obsługi po prostu zostawili obozowiczów samych sobie i wrócili do swoich domów.

O trzeciej w nocy David i Connie dali sobie spokój z szukaniem na terenie ośrodka, byli już wszędzie. Neal zapukał do każdych drzwi i pytał o parę nastolatków, pokazując zdjęcie Ryana w telefonie Connie. Nikt ich nie widział. Wielu dziwiło się, że w środku nocy budzi ich facet, którego kilka godzin wcześniej widzieli na scenie. Zdawało im się, że wciąż się nie obudzili.

„Pewnie!” – pomyślałem. „Dokładnie tak! Oślepił ich blask gwiazdora!”

Czy temu dupkowi się zdawało, że cały świat kręci się wokół niego? Nie powiedziałem jednak tego na głos. Nie mogłem im się przyznać, o co w tym wszystkim chodzi, choć czułem palącą potrzebę odciągnięcia Butlerów na stronę i wyjawienia im całej prawdy. Przecież to niemożliwe, że ten ktoś, kto zostawił liścik, wciąż nas obserwuje! Nie zaryzykowałem jednak.

W końcu udałem się do siebie, aby wszystko raz jeszcze przemyśleć, uknuć jakiś plan. Około wpół do piątej opadłem na kanapę. I chyba film mi się urwał ze stresu i zmęczenia, bo nic potem nie pamiętałem.

A teraz David, którego rozpoznałem po głosie, dobijał się do moich drzwi.

W ręku trzymał kartkę. Notkę od porywacza. A więc też taką dostał.

– Już miałem jechać na komisariat – zamachał mi nią przed nosem – gdy zobaczyłem to za wycieraczką.

Czytałem, podczas gdy on niespokojnie chodził po pokoju, dosłownie rwąc włosy z głowy. Groźba brzmiała tak samo jak adresowana do mnie, tylko imię zmieniono.

Oddałem mu list.

– Kiedy to znalazłeś? Wczoraj?

– Wczoraj nie zbliżałem się do auta.

Kiedy zostawiono ten liścik? Wczoraj, razem z moim? I dlaczego w przypadku Butlerów był za wycieraczką? Pewnie Greg albo jego bachory nie mogli dostać się do chaty. Może ktoś kręcił się w pobliżu, może nie mieli klucza.

Teraz to nie miało znaczenia, ale bardzo żałowałem, że David nie znalazł tej kartki wczoraj.

Sięgnąłem po swój list, który po kilku godzinach noszenia w kieszeni był już nieźle wymemłany, i pokazałem go Davidowi.

– Kiedy to dostałeś? – zapytał, przeczytawszy informację.

– Wczoraj wieczorem.

– Po powrocie z poszukiwań?

– Nie, przed.

Myślałem, że oczy wyskoczą mu z orbit.

– Jak to, kurwa? To po cholere wszędzie szukaliśmy, skoro już o tym wiedziałeś?

– A czytać umiesz? Z nikim nie gadać! A ty od razu przyleciałeś do mnie!

Szczęka mu opadła; przestudiował wiadomość raz jeszcze, jakby dopiero teraz pojmując sens groźby. Zamknął usta.

– Może się nie dowie. – Rozejrzał się. – Nie wie chyba, że teraz rozmawiamy ani o czym, a może...

Coś mi zaświtało. Jako kierownik ośrodka Greg mógł bez trudu podłożyć wszędzie podsłuchy. Może od początku słyszał wszystko.

Gestem skierowałem Davida do wyjścia, ale nie ruszył się, póki nie syknąłem:

– No wyłaź!

Rozejrzałem się za bezpieczną miejscówką. Przecież nie okablował całego ośrodka! Nie wrzucił nam pluskiew do samochodów!

David chyba skumał, o czym myślę, bo otworzył swoje auto i wskoczył do środka. Może i nas obserwowali, ale nie usłyszą, o czym będziemy rozmawiać w prywatnym aucie. Może i głupio postępowaliśmy, może każdy z nas powinien warować w swoim domku i czekać bezczynnie na dalsze instrukcje, wiedziałem jednak, że Grega obchodziło przede wszystkim to, abyśmy nie zaangażowali w sprawę policji. O czymkolwiek gadaliśmy z Davidem, we dwóch nie byliśmy w stanie zaburzyć jego szalonego planu, jakikolwiek był. Grał na czas, usiłując trzymać nas na uboczu. Ale do czego ten czas był mu potrzebny, nie miałem pojęcia.

Nagle uderzyła mnie koszmarna myśl.

A co, jeśli już skrzywdził nasze dzieci i teraz potrzebował czasu tylko po to, by zatuszować morderstwa? O Boże, może dlatego właśnie podrzucił nam listy? My tu będziemy kiblować, a on odleci w tym czasie w siną dal.

Usiłowałem nie wpadać w panikę. Teraz musiałem wtajemniczyć Davida w całą sprawę, żebyśmy mieli jeden modus operandi.

– Dobra, wysłuchaj mnie. Tylko nie przerywaj i nie pytaj za wiele.

Zacząłem od posta na Instagramie, wiadomości z groźbami, doszedłem do mojego przekonania, że to Greg, Buddy albo Darlene zabrali beta-blokery Donny. Opowiedziałem o zamaskowanych postaciach, które Frankie widziała po kłótni z Ryanem. Zakończyłem na tym, kogo młodzi widzieli nad jeziorem i że o mało nie przypłacili tego poważnymi ranami, gdy zostali zaatakowani kamieniami.

– I wczoraj wieczorem, podczas imprezy, zobaczyliśmy Grega z bliźniętami. Jest ich ojcem. To on musiał być tym kolesiem w masce kruka. Potem rozmawiałem z Nikki i...

– Czekał, kim jest Nikki?

– Kimś, kto wydawał się osobą godną zaufania. Myślę, że ona i Greg są zamieszani w sprawę zabójstwa Erica Danielsa i Sally Fredericks. To...

– Greg, kierownik ośrodka? Myślisz, że to on zabił nauczycieli, a teraz ma Ryana i Frankie? Po czym niby...

– Wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale wierz mi, on jest walnięty! Nikki mi o tym opowiedziała. Wierzy w to, że Zdroje są świętym miejscem i domem ducha jakiejś kobiety, która za dzieciaka była ich guru. Że trzeba chronić te lasy przed najazdem obcych. Nikki wprawdzie nie dokończyła mi opowiadać o przeszłości, ale wydaje mi się, że właśnie dlatego zabili tych nauczycieli. Skoro ludzie się nie wystraszyli, gdy ginęły im rzeczy i ktoś im sikał do śpiworów, trzeba było sięgnąć po radykalniejsze środki. Rytualne morderstwo. Coś, co sprawiłoby, że nikt już nigdy nie zechce spędzać tu wakacji. Żaden rodzic nie puściłby dziecka w takie miejsce.

Gapił się na mnie z otwartymi ustami. A to przecież on i Connie byli niby ekspertami od takich rzeczy! Chyba nie pojmował.

– Oj, czekaj! Czyli, że to nie... Everett Miller?

– Nie wiem. Może był zamieszany w sprawę. Nikki opowiadała, że tamta hippiska miała trójkę akolitów. Nikki była Lisicą, Greg Krukiem, więc pewnie Everett był tym trzecim, Kozłem.

– A teraz te dzieciaki, Buddy i Darlene...

– Teraz one noszą maski Lisicy i Kozła. Chyba zastąpili Nikki i Everetta. Wiem jednak, że Nikki im ciągle pomaga, pewnie Greg ją szantażuje, że ujawni jej udział w morderstwach z dziewięćdziesiątego dziewiątego. Jej zadaniem było odwrócenie mojej uwagi, by reszta mogła porwać Frankie i Ryana. Więc to wszystko, co się teraz dzieje, porwanie i listy, to dlatego, że byłem bliski odkrycia prawdy! Miałem zamiar zniszczyć plan Grega, zanim...

– Zanim zabije kogoś jeszcze? – dokończył zdanie David. – Znowu upozoruje jakąś rytualną szopkę? W mordę, chodzi o nasze dzieci! Chce ich użyć do tego, żeby osiągnąć taki efekt jak przed dwudziestu laty! Zamkną ośrodek!

– Tak.

David spojrzał na poruszone wiatrem drzewa za oknem.

– Tylko dlaczego z tym czeka?

Nie chciałem tego mówić, ale musiałem.

– Może gra na czas. Szykuje ucieczkę.

– Myślisz... Że nasze dzieci już nie żyją!? – krzyknął David.

– Nie wiem! – Ja również krzychałem i natychmiast zmusiłem się do obniżenia głosu. – A masz jakieś inne wytłumaczenie? Rocznicą tamtego zabójstwa przypada dziś, tak?

– Jeszcze nie, dopiero w przyszłym tygodniu.

No tak, nie pamiętałem daty, choć już mi o niej mówili.

– W takim ra...

David mnie nie słuchał. Odpalił silnik.

– Co ty wyprawiasz?

– A jak myślisz, kurwa? Znajdę tego drania!

– Ale były wyraźne polecenia. Dziś mają być kolejne.

– Skoro twierdzisz, że te listy mają nas zmusić do siedzenia na dupie, podczas gdy on będzie szlachtował nasze dzieci, to przecież nie będę tu siedział! Tym bardziej, jeśli oni już nie żyją!

Ruszył zdecydowanie za ostro i po kilku sekundach pędziliśmy przez ośrodek. Prawie potraciliśmy jakąś babkę na przebieżce, która musiała uskoczyć nam z drogi. To była ścieżka dla pieszych. Widziałem we wstecznym lusterku, jak nam wygraża.

– Dokąd jedziemy? – zapytałem, kiedy wypadliśmy przez główną bramę i mineliśmy znak WITAMY W PŁYTKICH ZDROJACH.

Poczułem pewną ulgę na myśl o tym, że kto inny przejął kontrolę.

– Wiesz, gdzie skurwiel mieszka?

– Nie.

– Ale dowiemy się, bo tutaj przecież wszyscy wszystkich znają. Opowiedz, dokąd dokładnie poszła Frankie, gdy szukała Buddy’ego i Darlene. Opisała jakoś to miejsce?

Gorączkowo usiłowałem posortować wspomnienia i opowieści.

– Mówiła, że mijali złomowisko, a potem szli główną ulicą miasteczka. Gdzieś na tej trasie musieli ich spotkać pierwszy raz.

Pokierowałem go na Penance. Niebo zasnuwały chmury, poranek był wilgotny i nieprzyjemny, zbierało się na burzę. Zerknąłem na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

Droga przecinała las. Na poboczu leżało spore, zabite przez auto zwierzę o zakrwawionym futrze. Może bóbr? Kawałek dalej zobaczyłem kolejną ofiarę

kół. Usiłowałem nie odbierać tego za zły omen. Przed oczyma stanął mi obraz związanej córki, leżącej w jakiejś ciemnicy nie wiadomo gdzie.

– Tędy! – Pokazałem ręką.

Wjechaliśmy na główną drogę; zamierzałem poprosić Davida, żeby przystanął. Sprawdziłbym, czy Nikki wróciła do domu albo do księgarni. Wydusiłbym z niej adres Grega. To jednak byłaby tylko strata czasu. Również Wyattta nie było pod pomnikiem.

Droga biegła teraz wzdłuż lasu, było już widać złomowisko.

– To musi być tutaj! – Wskazałem na znak stojący przy zjeździe do Rajskiej Pętli.

David wjechał między zabudowania i zwolnił. Rozglądaliśmy się za kimś, kogo moglibyśmy podpytać. Na jednym z trawników bawiła się dwójka małych dzieci; to pewnie od nich Frankie usłyszała o zabitym króliku i kocie pochowanym żywcem.

– Zatrzymaj się! – rozkazałem.

Wysiadłem i podszedłem do dzieci. Bawiły się klockami, wyciągając po kolei drewniane bloczki z ułożonej dość krzywo wieży. Dziewczynka zaklaskała, gdy jej brat prawie rozwalił budowlę.

– Cześć! – przywitałem się, a dzieciaki spojrzały na mnie wielkimi oczami.

David stał na skraju trawnika i się przyglądał.

– Szukam znajomego, taty Buddy’ego i Darlene – usiłowałem brzmieć łagodnie i przyjaźnie. – W którym domu mieszkają?

Dziewczynka wskazała na sąsiedni budynek. Zwykły dom otoczony białym płótkiem, z flagą wciągniętą na maszt i powiewającą na wietrze oraz obręczą do kosza przykręconą nad drzwiami garażu.

– Widzieliście ich dziś?

– Nie-e. – Dziewczynka pokręciła głową.

– A wczoraj wieczorem?

– Chyba też nie – odparł chłopiec, ale nie brzmiał zbyt pewnie.

Spojrzałem raz jeszcze na dom. Cichy i martwy, żadnego znaku życia. Założyłem, że w pracy Greg również się dziś nie stawił. Może zadzwonił i powiedział, że poprzedniego wieczora zatrał się burgerem.

– No dobra, dzięki! – rzuciłem dzieciom na odchodne.

Weszliśmy przez bramkę i stanęliśmy przed domem. Furtka nie zaskrzypiała. Choć niebo pokrywały gęste chmury, ptaki dały się wśród gałęzi. Zwykły poranek w małym amerykańskim miasteczku.

Mój żołądek też dał się z nerwów. Co niby mieliśmy zrobić?

– Co teraz? – zapytałem. – Pukamy?

David wyglądał na wyraźnie spiętego. Przed garażem stał zaparkowany mały czerwony hyundai.

– Zaczekaj, przejdę się dookoła domu.

Poszliśmy razem, przez dobrze naoliwioną furtkę do zadbanego ogródka. Zajrzałem do kuchni przez okno na tyłach domu. Wszystko wyglądało normalnie: kilka talerzy w zlewie, napoczęty bochenek na stole. Wokół coś porozrzucano, przyjrzałem się bliżej. To były cukierki w kolorowych papierkach, jakby ktoś otworzył zbyt gwałtownie torebkę i słodczyce się rozsypały.

– Bez sensu – stwierdziłem. – Chyba ich tu nie ma.

David nie słuchał. Przekręcił gałkę tylnych drzwi.

Otworzyły się.

– Czeka!

Ale on już wszedł do środka. Podążyłem za nim.

Wewnątrz było cicho, tak cicho, że wyraźnie słyszałem własny oddech. David wyciągnął nóż z bloku i sprawdził go, po czym wybrał ostrzejszy. Zauważyłem, że miejsce po największym nożu było puste.

Wyszliśmy przez korytarzyk do salonu. Również tutaj na podłodze porozrzucane były cukierki. Na kanapie leżały pady od PlayStation, na dywanie pudełko po grze *Resident Evil 7*. Na stoliku kawowym dwie puszki po coli. I znajoma rzecz – nedorzecznie droga butelka Frankie. Wszędzie bym ją poznał.

Obróciłem ją w dłoniach, czując dreszcz pełnący po kręgosłupie. To był dowód rzeczowy, który łączył tę rodzinę z moją córką. Albo byli durniami, trzymając to w domu, albo mieli wszystko gdzieś. Bo pewnie już dawno ich tu nie było? A nasze dzieci leżały gdzieś w głuszy martwe?

Przytrzymałem się oparcia fotela. To nie była pora na załamanie nerwowe! Przeszedłem do przedpokoju; David stał przy schodach.

– Nikogo nie ma w domu – powiedziałem cicho.

On jednak już wchodził na piętro. Ruszyłem za nim, przystanęliśmy na górze.

– Popatrz! – wyszeptałem.

Najbliższe drzwi były przymknięte, ale nie zamknięte. Na klamce widniały ciemne plamy.

Krew.

David zbladł, zuchwa zadrgała mu, jakby szybko żuł gumę. Pchnąłem drzwi stopą, spodziewając się zobaczyć za nimi krwawe miejsce zbrodni i leżące na podłodze ciało.

To była tylko pusta łazienka.

Wypuściłem z ulgą powietrze, ale wtedy zauważyłem, że kurki i umywalka również były zakrwawione, jakby ktoś pośpiesznie i niezbyt dokładnie mył umazane posoką ręce. Na podłodze zaschły plamy z różowych mydlin. Na brzegu wanny wisiał zakrwawiony ręcznik.

David podniósł go i spojrzał na mnie przerażony. Bezgłośnie wymówił imię syna.

– Ryan? RYAN? Jesteś tu? Synu, jesteś ranny?

Cisza.

Wyszliśmy z łazienki.

Do sprawdzenia zostały trzy pomieszczenia. Na jednym wisiała plakietka *Pokój Darlene*, uroczy znaczek obramowany kwiatuśkami. Pewnie wisiał tam od dnia jej urodzenia. Na drzwiach obok zobaczyłem ostrzegawczy znak ZAKAZ WSTĘPU. Pewnie pokój Buddy'ego.

Ostatnie drzwi były zamknięte. Przed nimi na podłodze widniało więcej zaschniętej krwi i teraz zauważyłem, że krople znaczyły drogę do łazienki.

Odetchnąłem głęboko. Nie chciałem tego robić. Ale jaki miałem wybór? Zadzwoić po policję nie wolno, jeszcze nie. Nie przed sprawdzeniem tego pokoju.

Zakryłem usta dłonią, nacisnąłem klamkę i pchnąłem skrzydło.

ROZDZIAŁ 40

Frankie i Ryan przywarli do siebie i wcisnęli się w najbardziej oddalony od truchła kąt.

To były ludzkie szczątki.

Dziewczyna chyba przez całą noc nie zmrużyła oka. A może to był dzień? Tutaj nie miało to znaczenia, istniała tylko jednostajna ciemność. Minuty wlekły się w nieskończoność, a potem godziny mijały jak sekundy. Zniknęło poczucie czasu. Piekły ją oczy, a w ustach odczuwała ziemisty posmak. Palił ją pęcherz. Zdecydowali się wyłączyć latarkę, bojąc się szybkiego wyładowania baterii i teraz, w tej nieprzeniknionej ciemności, łatwo było sobie wyobrazić pełznącego w ich stronę trupa, wlekącego po betonie pokryte zetlałymi szmatami kości. Widziała zarys strupiałej dłoni, usiłującej chwycić ją za kostkę. Co chwilę włączała światło na moment tak krótki, aby przekonać się, że szmaty nie zmieniły położenia.

Oczywiście, że nie zmieniły.

Ten ktoś był martwy, i to od bardzo dawna.

Wczoraj w nocy, czy kiedykolwiek to było, gdy zdali sobie sprawę z tego, że coś jeszcze tu jest, podkradli się powoli, bardzo powoli, do tej sterty śmieci. Nie chcieli tego oglądać, ale przecież musieli to zobaczyć.

Frankie do ostatniej chwili liczyła na to, że to tylko jakiś stary manekin, w końcu przy nikłym świetle latarki, z całym tym strachem mączącym umysł, łatwo było o pomyłkę. Tak bardzo pragnęła, aby rzekome truchło okazało się starą kukłą. Mogliby się zaśmiać i stwierdzić, że są strachliwymi głuptasami.

Włączyła latarkę i ich oczom ukazał się stary szkielet; bez wątplenia tym właśnie był, o zgnitych dawno organach i mięśniach. Frankie usiłowała nie wyobrażać sobie, jak robactwo czy gryzonie, cokolwiek mogło tu żyć, rozprawiają się z miękkimi tkankami. Czy tu bytowały szczury? Nie bała się

zwierząt, ale myśl, że coś nagle wskakuje na nią z piskiem, przyprawiała ją o dreszcze. A co, jeśli zostaną tu z Ryanem na zawsze i zamienią się w coś takiego?

Nieemożliwe, to się nie mogło stać!

Gapiała się na czaszkę, na puste oczodoły i nie mogła przestać sobie wyobrażać, że za jakiś czas ona lub Ryan będą tak właśnie wyglądać.

– O mój Boże...! – szepnął chłopak.

Nachylił się mimowolnie, ona zrobiła to samo. Mogli zidentyfikować ubranie. Czarna motocyklowa kurtka.

Na plecach wyrysowano biały emblemat: okrąg, a na nim półksiężyc.

– Rogaty Bóg... – szepnął Ryan.

Pod spodem widniało jedno słowo: *Wolfspear*.

– To jest Everett Miller!



Siedzieli wciśnięci w przeciwległy kąt pomieszczenia i teraz, po tym jak Ryan wtajemniczył Frankie w historię morderstwa sprzed lat, którą znał aż za dobrze dzięki swoim rodzicom, dziewczyna snuła przypuszczenia, co mogło się stać. Everett Miller ukrywał się tutaj i przypadkowo wpadł w pułapkę, z której sam nie był w stanie się wydostać. Wodząc po podłodze snopem światła, Frankie zauważyła mnóstwo porzrzucanych kamieni, a na kłapie i suficie widniały ślady uderzeń. Wyobraziła sobie Everetta rzucającego się wściekle, usiłującego przyciągnąć uwagę kogokolwiek, kto mógłby znajdować się w pobliżu. Nikogo jednak nie było. Nikt nie wiedział o istnieniu tej chaty, nikt w nią naprawdę nie wierzył. Ciekawe, czy Everett znalazł ją przypadkiem, czy też była swego rodzaju „miejską legendą” wśród dzieciaków z Penance?

Everett się ukrywał. Wiedział, że jest podejrzany o podwójne morderstwo. Czy był winny, tego nie wiedział nikt i dziś nie miało to już żadnego znaczenia. Nie zwiął do Kanady. Schował się tutaj. Być może błędził po lasach, szukając kryjówki, trafił na tę chatę i po ciemku wpadł do piwnicy przez otwartą kłapę.

Nawet będąc w takiej samej sytuacji, Frankie nie potrafiła sobie wyobrazić, jak bardzo musiał się wówczas bać. Głodny, spragniony i zupełnie sam.

Krzyczący bezskutecznie, wołający o pomoc. Modlący się o cud. Z pewnością usiłował się wydostać, kombinował, zanim zdał sobie sprawę z tego, że stąd nie ma wyjścia. Czy siedział w tej dziurze i wspominał wszystkie swoje złe uczynki? Czy rzeczywiście było wśród nich morderstwo? Jeśli tak, to czy naprawdę chciał, by policja go odnalazła? Czy był ktoś, może rodzina albo przyjaciele, kogo chciał przeprosić? Czy wyobrażał sobie płaczącą matkę, która zastanawiała się, w którym momencie ona i ojciec popełnili błąd, że ich syn wyrósł na zabójcę?

Nagle przypomniała sobie o własnym ojcu, który na pewno wychodził z siebie, szukając jej. Czy zadzwonił do mamy, żeby poinformować o zaginięciu? Czy ona już tu jedzie? No i co z policją? Czy przeczesują lasy?

W Penance muszą być jeszcze jacyś normalni ludzie oprócz tych, którzy wtrącili ich do tego lochu, którzy wiedzą o istnieniu tej chałupy, po prostu muszą jacyś być!

Pewnie Everett Miller w ten sam sposób dodawał sobie otuchy...

Ryan poruszył się i otworzył oczy, choć bardziej wyczuła to, niż zobaczyła.

– Dalej tu tkwimy? – zapytał.

– Obawiam się, że tak.

– Muszę do łazienki... – mruknął żałośnie.

– To będzie tam! – Wskazała snopem światła na przeciwległy kąt.

Oboje mimowolnie zachichotali, co wskazywało na to, że chyba zaczynało im odbijać.

Przepełził we wskazane miejsce i powiedział:

– Nie podsłuchuj!

Frankie wysikała się, gdy Ryan spał. Po jej nodze przebiegł pająk i wówczas poprzysięgła sobie, że nigdy w życiu nie będzie już narzekać na syf w publicznych toaletach, bez względu na to, jak bardzo będą syfiaste. Już nigdy, gdy tylko stąd się wydostaną. Jeśli się wydostaną.

Kiedy Ryan na powrót usiadł przy niej, usłyszeli na górze kroki i głosy. Męski i wyższy. Jakaś kobieta? Czy to któreś z bliźniaków? Frankie poczuła ulgę zmieszaną z nienawiścią. Miała nadzieję, że wpadną tutaj i połamią sobie karki. Ale dopiero po tym, jak ich wypuszczą.

Patrzyli z nadzieją w sufit.

– Jak myślisz, czego oni od nas chcą? – zapytał chłopak cicho.

– Staram się o tym nie myśleć...

– Sorry, ja po prostu...

– Ty co?

– Nie mogę przestać myśleć o historyjce o zakopanym kocie. Może to właśnie z nami robią.

– Jezu! Dzięki, Ryan!

Zamilkli, wsłuchując się w głosy na górze, ale były zbyt przytłumione, by coś zrozumieć.

– Rodzinka psycholi! – stwierdził Ryan. – Widziałaś *Teksańską masakrę piłą mechaniczną*?

– Ryan, do cholery!

– Przepraszam.

– Ile lat miał Greg, gdy wydarzyły się tamte morderstwa? – Frankie wskazała głową w stronę szczątków.

– Nie mam pojęcia. Teraz ile może mieć? Trzydzieści parę?

– No to wówczas był w naszym wieku, jakoś tak. – Zrobiła dramatyczną pauzę. – W każdym razie był dość dorosły, by kogoś zamordować.

Ryan zdawał się przeżuwać tę teorię.

– Czy to wszystko dzieje się, bo... Bo wyśmiałem Penance na insta...?

Odszukała jego rękę i uściśnięła zimne palce.

– Policja będzie nas szukać, może już to robią. Wyślą helikoptery. Znajdą nas.

Sama w to nie wierzyła.

– Na pewno, w końcu...

Zamilkła, bo na górze rozległo się szuranie i podłogę zalało światło. Ktoś otworzył klapę.

„Niech to będą nasi rodzice! Niech to będą gliniarze!”

– Odsunąć się!

Coś wpadło i potoczyło się po podłodze. Butelka wody, potem kolejna. I coś jeszcze. Papierowa torba.

Frankie spojrzała w górę. Twarz okryta maską kruka zaglądała przez dziurę. Pewnie myślał, że to dobrze, że nie wiedzą, kim on jest, prawda?

Pewnie wciąż sądził, że go nie przejrzeni.

– Macie tam kanapki, banany i jabłka.

– Proszę! – miauknęła Frankie. – Wypuść nas, błagam!

– Błagam! – powtórzył bezradnie Ryan.

– Wszystko w swoim czasie!

Zawiasy zaskrzypiały.

– Zostaw chociaż otwartą klapę! – prosiła Frankie. – Tutaj jest tak ciemno.

Brakuje nam świeżego powietrza!

Chyba się zastanawiał.

– Błagam! – nie poddawała się. – Powiemy, że dobrze się nami opiekowałeś. Że sami z tobą poszliśmy, że nie zrobiłeś nam krzywdy. Powiemy, co zechcesz! – Przełknęła z trudem. – Zrobimy, co zechcesz!

– No dobra, Katniss – odrzekł. – Tylko już nie jęcz.

Zapadła cisza, gdy zdał sobie sprawę z tego, że się zdradził.

– Oj! – rzucił, a skoro już wiedziała, kim jest, zdjął maskę.

ROZDZIAŁ 41

Greg leżał na podłodze swojej sypialni w kałuży własnej krwi, która wsiąkała w dywan i pokrywała rozbryzgami białe drzwi. Kawał faceta, teraz już martwy, to wielkie cielsko, zajmowało całą podłogę pomiędzy łóżkiem a szafą. Miał na sobie firmowe polo, więc to musiało stać się w chwili, w której szykował się do pracy. Choć nie chciałem się przyglądać, nie mogłem oderwać wzroku. Niektóre plamy krwi już ciemniały. Musiał dostać nożem w brzuch. Przynajmniej dwa razy. W pokoju cuchnęło krwią, potem i ekskrementami.

Cofnąłem się, nie mogąc znieść tego widoku i smrodu.

Gestem nakazałem Davidowi odwrót. Nogi się pode mną ugiwały, musiałem chwycić się poręczy. Było mi niedobrze, ale to David zwymiotował spektakularnie, zachlapując cały korytarz. Przeszedł chwiejnie do kuchni, spryskał twarz wodą. Potem otworzył tylne drzwi i łapał przez nie świeże powietrze, jak ryba.

– To bliźniaki! – powiedziałem, przystając za nim. Któż inny? PlayStation, cukierki, puszki po coli. – To na pewno oni! Zabili własnego ojca!

– Ale to znaczy, że...?

Obaj zaczęliśmy się głośno zastanawiać. Czy to oznaczało, że Greg nie był niczemu winien? To nie on był Krukiem, a założyłem tak tylko dlatego, że okazał się ojcem bliźniąt? Jedna rzecz była pewna: Frankie i Ryana tutaj nie było. Nigdy ich tu nie przetrzymywano.

– Teraz to już trzeba zadzwonić po gliny, natychmiast!

Przeczesałem palcami włosy. Dopiero w ogrodzie mogłem znowu oddychać. Powietrze było ciężkie i wilgotne, ale przynajmniej nie cuchnące. Chyba nigdy nie zapomnę tego słodko-mdlącego odoru rozprutych trzewi i krwi.

– Tom? – ponaglił mnie David. Wyglądał na pokonanego, miał puste spojrzenie.

– Daj mi pomyśleć... – mruknąłem w przestrzeń.

Nie mogłem stracić wiary w to, że dzieci jeszcze żyją. Buddy i Darlene, Kruk – kimkolwiek jest, ale czy to możliwe, że to Everett? – ktoś, kto ich uprowadził, na pewno ukrył ich gdzieś i czeka... Na co? Gdybym tylko wiedział, na co czeka...

Na kuchennej ścianie wisiał kalendarz. Podszedłem, by przejrzeć zrobione na nim zapiski. Po głowie kołatało mi się coś, co przeczytałem w książce Jake'a Robineaux, coś o miejscu zbrodni, ale nie mogłem sobie przypomnieć co. I nagle to zobaczyłem, symbol, który był odpowiedzią.

– Davidzie, chodź no tutaj!

Wtoczył się do kuchni, wyglądał na ledwie żywego.

Wskazałem na kalendarz.

– Co jest takiego szczególnego w dzisiejszym dniu?

– Nic? – Powiódł z rezygnacją za moim palcem.

– Przyjrzyj się!

Gapił się przez chwilę na kalendarz.

– Czeka, dziś jest nów.

– Tamte zbrodnie również zdarzyły się podczas nowiu. Tak?

– Tak, tak było.

– A co symbolizuje nów?

Nie odrywał wzroku od kalendarza.

– Connie opowiadała o tym w jednym z odcinków. Nowy początek, świeże projekty, takie różne bzdury.

– A teraz już wiemy, że właśnie to próbowali zrobić w dziewięćdziesiątym dziewiątym. Chcieli pozbyć się obozowiczów raz na zawsze. Oczyszczyć to miejsce, by mógł w nim spokojnie bytować duch tamtej kobiety. Abigail. Dziś jest nów. Na to właśnie czekali. Frankie i Ryan wciąż żyją, jestem tego pewien!

Nie wierzyłem w duchy, pogańskie bożki ani w moc czarnej magii. Moja wiara nie miała tu jednak nic do rzeczy, liczyło się to, w co oni wierzą. Nieważne zresztą, jaką ideologię do tego dorobili – tamte morderstwa

podziały. Kemping zamknięto. Nie ma znaczenia, czy i tym razem posypie się zbrodnię jakąś pradawną magią. To znowu zadziała.

– Tom, musimy zadzwonić na policję!

Miał rację, nie mogliśmy tak po prostu zostawić tutaj ciała Grega. No i jeśli oprawcy czekali na zapadnięcie ciemności, by móc przeprowadzić na naszych dzieciach jakieś rytuały, to zakaz poinformowania policji miał po prostu zapewnić im czas. Wcześniejsze poszukiwania zniweczyłyby ich plan.

A ja jak ostatni frajer dałem się nabrać. Powinienem był zadzwonić na policję, gdy tylko znalazłem list.

Wyjąłem z kieszeni telefon i wybrałem numer alarmowy.

Gdy czekałem na połączenie, David oznajmił:

– Jadę do ośrodka i opowiem wszystko Connie. Pewnie wychodzi z siebie.

– Dobra.

Patrzyłam, jak gna do auta, i wtedy odezwała się centrala. Wyjaśnienia zabrały mi kilka minut, bo z wiadomych względów funkcjonariuszka była bardzo dociekliwa. Nie wspomniałem o pogańskich rytuałach i czekaniu na nów, bo uznałaby mnie za wariata.

– Ile muszę czekać – zapytałem – aż ktoś tu przyjedzie?

Wsluchiwałem się, jak klika w klawiaturę, i wtedy przypomniałem sobie słowa Wyatta o tym, że najbliższy posterunek znajdował się ponad sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. Będą się tu turlać godzinę albo i dłużej. Może karetka przyjedzie szybciej, w końcu oni zawsze gnali na złamanie karku do pacjenta.

Godzina. Nie mogłem tu sterczeć przez godzinę.



Na sąsiednim trawniku wciąż bawiły się dzieci. Słodkie twarzązki skupione na grze. Czy Buddy i Darlene też tacy kiedyś byli? Przypomniałem sobie słowa Nikki o tym, że ich matka uciekła, bo uważała, że jej dzieci są uosobieniem zła. Czy naprawdę można było tak myśleć, patrząc na dwulatki? One wszystkie są trudne, nieznośne i niepodatne na sugestie, każdy to wie. Co dojrzała w nich własna matka, że uciekła? Może przewidziała, jakie się staną? Zadrzałem na tę myśl.

– Tajemna chatka w lesie – szepnąłem, kucając przy dzieciach. To tam są Ryan i Frankie, nigdzie indziej. – Wiecie, gdzie to jest?

Synchronicznie zacisnęły usteczka i pokręciły głowami.

Sięgnąłem do kieszeni i wydobyłem pieniądze, jakieś pięćdziesiąt dolców.

– Dam wam to wszystko, jeśli mi powiecie.

Oczka im się rozszerzyły, ale dziewczynka pisnęła tylko:

– Naprawdę nie wiemy.

– Nikt nie wie – uzupełnił chłopiec.

Wstałem, przeklinając pod nosem.

– Widzieliście dzisiaj Buddy’ego i Darlene?

Znowu zaciskanie ust, znowu kręcenie głowami.

Wróciłem do domu i wszedłem na piętro, omijając drzwi sypialni Grega. Podszedłem do drzwi z wywieszką „ZAKAZ WSTĘPU”, nie bardzo wiedząc, czego właściwie tam szukać. Może czegoś, co pomoże zlokalizować chatę? Jakiś pamiętnik, mapka przekazywana z pokolenia na pokolenie. Mało prawdopodobne, ale byłem zdesperowany. Gdzieś tam zamknięto Frankie, na pewno była przerażona. Mogli jej zrobić krzywdę, coś, o czym wolałem nie myśleć.

Pokój Buddy’ego niczym się nie różnił od pokoi innych nastolatków. Niezaścielony tapczan, komputer na biurku, smrodek dojrzewającego ciała. Nic, co by wskazywało na to, że mieszka tu psychopata. Na ścianach plakaty, pewnie wiszące tu od lat: zapaśnicy, *Minecraft*.

Przeszukałem szuflady biurka, ale znalazłem tylko szkolne zeszyty, przybory do pisania, wyświechtane karty z pokemonami i figurki z klocków Lego, poplątane słuchawki i kable od ładowarek. Tylko śmieci, nic użytecznego. Żadnego pamiętnika, żadnej mapki z zaznaczoną krzyżykiem sekretną chatą.

Pokój Darlene wyglądał, jakby odbyło się tu półlegalne policyjne przeszukanie. Wszystko porozwalane. Długopisy, nożyczki i klej na blacie biurka, całe tuziny prawie pełnych buteleczek perfum, w tym niemal nowe piątki od Chanel. Skąd to wszystko miała? No jak to skąd, pokradła z chatek w ośrodku, używając zapasowego klucza.

W kącie stało terrarium z jakimś robactwem; to były te obrzydliwe madagaskarskie karaluchy. Widząc je w sklepie zoologicznym, zawsze się

zastanawiałem, co trzeba mieć we łbie, by trzymać takie paskudztwa jako domowe zwierzątka. Odskokczyłem w obrzydzeniu i wówczas usłyszałem posapywanie i skrobanie. Ktoś był na górze! Ale to niemożliwe, by tak szybko przybyła policja!

Rozejrzałem się za jakąś bronią, żałując, że nie wziąłem z kuchni noża. Darlene z pewnością miała w pokoju coś, czym można było zabić. Na półce stał obciążnik do papieru ze skorpionem zatopionym w szklanej kuli. Zważyłem go w dłoni. Ciężki, można nim było pozbawić przytomności.

Wyjrzałem ostrożnie z pokoju. W korytarzu nie było nikogo. Żadnych cieni na schodach, cisza i spokój.

Unosząc obciążnik do ciosu, wyszedłem z pokoju dziewczyny. Skradałem się z plecami przy ścianie aż do sypialni Grega.

Spojrzałem w dół schodów. Nikogo. Pewnie tylko to sobie wyobraziłem. Może to wiatr albo dzieciaki na zewnątrz. Może David wrócił. Oddychałem płytko, wsłuchując się w ciszę, w której dawało się dosłyszeć walenie mego serca.

Znowu jakieś dźwięki, zza drzwi za mną. Jakby ktoś próbował mówić, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu.

Wszedłem do pokoju Grega. Jego powieki trzepotały.

On wciąż żył!

– Greg? – Kucnąłem przy nim.

Kolejna próba otwarcia oczu.

– Karetka już jedzie! – Wymacałem w kieszeni telefon. – Powiem im, żeby się pospieszyli.

– Próbowałem... – jęknął.

– Dzwonić po karetkę?

Z trudem pokręcił głową, widziałem, że walczy ze sobą. Oczy miał zamknięte, ale wargi poruszały się bezgłośnie. Dojrzałem szklankę wody na nocnym stoliku i sięgnąłem po nią. Wlałem odrobinę do jego rozchylonych ust, ale tylko się zakrztusił i woda wylała mu się na brodę.

– Robiłem, co mogłem... – wychrypiał.

O czym on mówił? O swoich dzieciach? Zacisnął powieki jak ktoś, kto nagle poczuł dotkliwy ból.

– Abigail? – szepnął.

– To ja, Tom – odpowiedziałem. – Tom Anderson. Greg, gdzie jest Frankie? Dokąd zabrali ją Buddy i Darlene?

Ledwie oddychał, nabierał powietrza krótkimi, urywanymi haustami. Jak to możliwe, że ciągle żył? Może nie miał uszkodzonych organów, ale zdążył się już porządnie wykrwawić.

– To... Moja...

Pochyliłem się, żeby lepiej słyszeć.

– Moja kara... – wydyszał. – Za to, co zrobiliśmy. – Spróbował na mnie spojrzeć. – Abigail?

– Greg, błagam! – jęknąłem bezradnie. – Słyszysz mnie? Gdzie jest chata? Sekretna chata?

Z jego ust wytoczyła się krwawa piana.

– Greg?

– Nazywam się... Kozioł.

– Greg, błagam, powiedz mi, gdzie jest sekretna chata!

Spojrzał na mnie, zamrugął.

– Carl?

Carl? Wziął mnie za instruktora łucznictwa?

– Twoja... – Spróbował unieść rękę, jakby chciał wskazać palcem. – Twoja wina.

Pokręciłem bezradnie głową. Dlaczego o nim mówił?

I nagle mnie olśniło.

– Czy Carl jest Krukiem? – Pochyliłem się nad nim. – Greg? Gdzie jest chata? Błagam, muszę odnaleźć Frankie!

Znowu zamrugął, może w końcu mnie rozpoznał.

– Chata! – ponaglałem. – Gdzie to jest?

Nie chciał tego zdradzić. Chciał się wyświadczyć, uzyskać rozgrzeszenie. Resztką sił skinął, bym się pochylił. I wyszeptał mi wszystko do ucha. Całą prawdę o tym, co zrobili z Carlem i Nikki.

Gdy skończył mówić, opuściły go siły. Twarz mu posiniała, błyszczały na niej krople potu. Wydawał się spokojniejszy, jakby zrzucił z pleców ciężar,

który dźwigał od dwudziestu lat. Dopiero teraz mógł spokojnie umrzeć.

– Greg, proszę cię! – błagałem. – Jak znajdę tę chatę?

Usiłował się uśmiechnąć.

– Wiatr... – szepnął ledwie słyszalnie. – Idź za...

Zamilkł.

– Greg!

Chwyciłem jego rękę, szukając pulsu na nadgarstku.

Umarł.

ROZDZIAŁ 42

Gdy Carl wracał do domu z gotowym planem w głowie, las dawał mu znaki. Źdroje mu kibicowały. Czuł mroczną moc tego miejsca, wiedział, że zostanie nagrodzony za swoje trudy. Na środku ścieżki, jak dar od duchów lasu, leżał kawałek materiału. Carl, czy może raczej Kruk, bo tylko tak myślał o sobie od momentu, w którym Abigail darowała mu zwierzęcy totem, rozpoznał go natychmiast. To była bandana Everetta Millera.

Carl jeszcze do niedawna nawet go lubił. Facet wydawał się całkiem w porządku. Parę razy wpadli na siebie, raz w sklepie z płytami; wtedy to Everett polecił mu kilka fajnych albumów, coś innego niż wyświechtana Metallica czy Korn. Polecał szczególnie Wolfspear, pokazując logo kapeli wymalowane na plecach swojej skórzanej kurtki.

Carl wiedział, że w mieście mają Everetta za dziwaka. Farbował włosy na czarno, nosił satanistyczne T-shirty i prawie się nie odzywał. W sklepie sprzedawcy rozmawiali między sobą, że to pewnie taki ścichapek, jak ci, co strzelali w szkole Columbine. Skoro bali się odwetu za to, że są dla niego niemili, to może po prostu powinni być miłsi? Carl znał ludzi zbyt dobrze, byli źli, wredni i durni.

Jednak ta pogarda dla Everetta udzieliła się i jemu.

Wszystko przez Lisicę.

Carl szybko odkrył, kto jest tajemniczym znajomym Nikki. Któregoś popołudnia, gdy czmychnęła z chaty wyjątkowo wcześniej, śledził ją aż do Penance. Chociaż profilaktycznie oglądała się za siebie, nie zauważyła go, bo osiągnął mistrzostwo w kamuflowaniu się.

Szła na wysypisko. Co ona wyprawiała?

I wtedy sobie przypomniał. To właśnie tam mieszkał z ojcem Everett Miller.

Gdy Carl zobaczył, jak chłopak otwiera jej bramę składowiska, prawie zwymiotował z nerwów. Tymczasem Everett dotknął poufale jej włosów, powiedział coś, a ona w odpowiedzi się uśmiechnęła, i to jak! Jego królowa wdziękowała się do miejscowego dziwaka!

Wtedy po raz pierwszy w życiu Carl poczuł, jak to jest szczerze kogoś nienawidzić. W gardle pojawia się płonąca gula. Ból żołądka. Przemykająca przez wszystkie żyły kula lodu i ognia jednocześnie. Patrzył na plecy oddalającej się w kierunku domu pary i zadreślał się wyobrażeniami tego, co będą tam za chwilę robić. Everett miał siedemnaście lat, o dwa więcej niż Nikki. Czy dziewczyny zawsze muszą umawiać się ze starszymi kołesiami? To nie fair! Do tego Everett był przegrywem, dziwadłem. Nikki miała należeć do Carla! Czy to dlatego, że nie odważył się wyznać, co do niej czuje? Za długo się do tego zbierał. Pojawił się Everett i sprzątnął mu ją sprzed nosa!

Ale teraz lasy zrobiły mu prezent. Wcisnął bandanę Everetta do kieszeni.

Mógł upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Doprowadzi do zamknięcia kempingu i pozbędzie się Everetta! Wtedy Nikki przejrzy na oczy. Doceni jego spryt. No i na drodze nie będzie stał już żaden Everett. Kruk musi tylko się postarać, by połączyła ich jakaś tajemnica, coś, czego nie będą mogli nikomu zdradzić.

Tak, tego potrzebował. Czegoś, co połączy ich na zawsze.

Abigail zdawała się podzielać jego nadzieje, podziwiała jego plan.

Jej widmowa sylwetka zamigotała przed nim, szepcząc, co jeszcze mu się przyda, by wcielić plan w życie.



Dobę później stali we trójkę nad brzegiem jeziora: on, Greg i Nikki. Zapadła noc, a czarne jak atrament niebo nad Zdrojami było upstrzone gwiazdami. Nów wzięli za dobry omen. Carl przygotowywał się przez cały dzień i poszło mu nadzwyczaj sprawnie, szczegóły planu dopasowywały się jak puzzle. Czuł się tak, jakby swoimi śmiałymi planami zbudził duchy lasu, istotę tego świętego, wyjątkowego miejsca. Wprawił w ruch maszynę, której nie można już było zatrzymać.

– Gotowi? – zapytał pozostałą dwójkę.

Nikki wyglądała na zdenerwowaną, ale może dlatego wydawała mu się wyjątkowo piękna. Szkoda, że nie miał odwagi, by ją pocałować. Był pewien,

że po tym, co dziś zrobią, połączy ich straszna tajemnica. I to ona pocałuje jego.

Każde w nich trzymało w dłoniach puchar. Greg powąchał zawartość, zmarszczył nos.

– Jesteś pewien, że się od tego nie pochorujemy? – zapytał podejrzliwie.

– Oczywiście, że jestem pewien! Abigail podała mi przepis! – odpowiedział Carl.

Naprowadziła go na niego, był schowany w książce *Uświęcone miejsce*. Wszyscy wiedzieli, że Abigail często snuła się sama po lasach, aby medytować i rozmawiać z duchami. Raz się na nią natknęli. Była rozkojarzona, źrenice miała rozszerzone, totalnie odleciała. Gdy po kolei ich obejmowała, zauważył, że w jej oczach prawie nie było widać tęczówek. Wyglądała trochę strasznie i pocila się, miała dziwny grymas na ustach. Patrzyła na nich, ale on widział o wiele więcej, mnóstwo rzeczy, których tamci nie dostrzegali. Później wyjaśniła im, że napiła się sporządzonego przez siebie wywaru z leśnych roślin i kwiatów. Carl bez trudu nazbierał jagód i ziół.

– Co w tym jest? – zapytała Nikki.

– Nieważne, po prostu wypij!

Dziewczyna i Greg wymienili spojrzenia.

– Nie jestem przekonany... – zaczął chłopak, a Carl wiedział, że jeśli będzie musiał, wleje im to do gardeł siłą.

– Posłuchajcie – zaczął. – Chcemy, żeby obozowicze zniknęli raz na zawsze, tak? I żeby duch Abigail był zadowolony?

– Oczywiście, że tego chcemy! – potwierdziła Nikki.

– No to pijcie! To pierwszy etap rytuału.

Greg znowu powąchał zawartość naczynia.

– Nie możemy po prostu zapalić zioła, jak zawsze?

– Nie! Jeśli wszystko ma zadziałać, trzeba to zrobić jak należy!

Do tamtego momentu nie wyjawiał im jeszcze, na czym będzie polegał ten rytuał, ale zapewnił, że Abigail ich poprowadzi. Nie wspomniał o nauczycielach i przewidzianym dla nich marnym końcu. Wiedział, że jego towarzysze by odmówili, spanikowali. Musiał ich łagodnie popchnąć do działania, póki nie będą w stanie się przeciwstawić, zrobią, co im każe. Musiał im wmówić, że odpowiadają za to wszyscy.

Właśnie dlatego musieli wypić eliksir. Mógł dać im alkohol i zioło, ale sądził, że to nie będzie wystarczająco odurzać.

Ten wywar jest idealny! – powiedziała Abigail, a przecież ona nie mogła się mylić!

– Pijcie! – powtórzył, unosząc własny puchar do ust.

Napój, prawie już zimny i gorzki, nie wchodził gładko, choć Carl dodał cukru.

– Ohyda! – stwierdził Greg, gdy wychylił swoją porcję.

– Dalej, Nikki – ponaglił Carl dziewczynę. – No proszę cię!

Spojrzała na kielich, wzruszyła ramionami i wypła do dna.

– Ale paskudne! – powiedział i oboje z Gregiem zachichotali.

– Myślicie, że teraz doznamy jakiegoś objawienia, jak Abigail? – zapytał Greg. – Zobaczymy duchy? – Wydawał się jednocześnie przerażony i podekscytowany.

– Abigail powiedziała, że duchy nas poprowadzą i powiedzą nam, co robić!

– rzekł autorytarnie Carl. Spojrzał na zegarek. – Już pora. Chodźcie. I pamiętajcie o maskach!

Szli w ciszy, w głąb lasu, oddalając się od jeziora. W gęstwinie było jeszcze ciemniej, ale Carl bez trudu odnajdywał drogę.

– To odjechane! – skomentowała Nikki. – Ale ja widzę w ciemności! Jakbym naprawdę była lisicą!

– Też tak mam! – dodał Greg.

– Tak działa eliksir! – powiedział Carl, bo faktycznie napój tak działał.

– Czujecie coś? – zapytała dziewczyna.

Greg nie był pewien, Carl też coś kręcił. Ale w końcu to poczuł, ten odlot. Jakby wyszedł z siebie. Do tego miał dziwny posmak w ustach. Jego wzrok jeszcze się wyostrzył i nagle drzewa zaczęły fosforyzować w ciemności.

– Widzicie to? – Nikki wyciągnęła przed siebie rękę.

– Ale super! – mruknął Greg.

Carl spojrzał pod nogi. Igły zdawały się tańczyć u jego stóp, a drzewa sięgały witkami w jego stronę, jednak nie po to, by zrobić krzywdę, ale by go pogłaskać.

– Chyba się porzygam! – Nikki oparła się o pień. – Wszystko pływa, nie podoba mi się to!

Carl gapił się na nią, usiłując zebrać myśli. Była drobna, o wiele drobniejsza od niego i tym bardziej Grega, a wszyscy wypili tyle samo. W ogóle nie pomyślał o tym, by dostosować dawkę do masy ciała.

– Nie podoba mi się to... – powtórzyła Nikki, a jej głos brzmiał tak, jakby dolatywał z długiego tunelu.

Greg stał w miejscu, jak słup soli. Patrzyli na niego oboje, czarnymi oczami o rozszerzonych źrenicach, jak wtedy Abigail. Jakby spoglądał w czarne dziury, w pustkę. Zadrżał, poczuł zimny kamień w żołądku i przecucie, że puścił w ruch coś strasznego, coś, czego nie był w stanie kontrolować. Coś, czego nie rozumiał.

Wszystko będzie dobrze! – usłyszał szept Abigail. *Wszystko się ułoży, poczekaj chwilę!*

Uspokoiła go, zdusiła jego panikę.

– Chcę do domu! – jęknęła Nikki. – Ja już... O Boże, co to jest?

Carl powiódł wzrokiem w kierunku, w którym patrzyła. Oniemiała, nie odrywała wzroku od kępy drzew.

– Och... – szepnęła. – Och!

– O co chodzi? – zapytał Greg, a jego głos brzmiał tak, jakby był uczącym się mówić niedźwiedziem. To było złudzenie czy naprawdę mówił w ten sposób po mutacji?

Nikki nie odpowiadała. Gapiła się na drzewa, jakby stał pomiędzy nimi jednorożec, jakby tylko ona widziała jakieś dziwo.

– Nikki? – zapytał Carl. – Na co patrzysz?

Po jej policzkach płynęły łzy. Carlowi zdawało się, że połyskują tęczowo, jak rozlana benzyna. I wówczas również ją zobaczył, migoczące, świetliste widmo pomiędzy pniami.

Abigail.

Uśmiechała się do nich.

– Widzisz ją, w końcu i ty ją widzisz?

Pokiwała głową, nie była w stanie mówić.

– Abigail? – Greg spojrział w to samo miejsce. – Och, Abigail! – powiedział jakby z wdzięcznością.

– Chce, żebyśmy to zrobili! – zawyrokował Carl, kładąc dłoń na ramieniu Nikki.

Ile czasu minęło, odkąd się napili? Mogły upłynąć całe godziny, ale gdy spojrzął na zegarek, stwierdził, że jeszcze mają czas.

Potem wielokrotnie przygotowywał napój według receptury Abigail, ale nigdy nie zadziałał on tak spektakularnie, jak podczas pierwszego razu. Nigdy nie było tak intensywnie, tak magicznie jak tamtej pierwszej nocy. Później nie był w stanie tego sobie przypomnieć, zwizualizować we własnym umyśle. To było jak sen, który przykleja się do krawędzi świadomości, ale nie da się go uchwycić. Mglisto przypominał sobie pełgający blask wśród drzew, aksamitną ciemność pomiędzy nimi i niebo, które płynęło ponad tym jak rzeka gwiazd. Pamiętał ciepło w brzuchu, jakby wybuchło w nim małe słońce, a gdy dotknął ramienia Nikki, poczuł, że i jej ciało płonie. Zdawało mu się, że słyszy wilki, potem przemknęła przez ścieżkę para jeleni, jakby uciekając przed drapieżnikami, ale inni tego nie kojarzyli. Czuł się bardziej żywy niż kiedykolwiek przedtem, jego ciało aż wibrowało od skumulowanej w nim energii, a Abigail kroczyła przy nim, poważna i piękna, emanująca miłością.

Przez cały ten czas czuł również, że plan się powiedzie, że to wszystko za moment się dopełni.

Dotarli na skraj polany, do miejsca, z którego przez dwie nocy podglądał nauczycieli. Przyjaciele przystanęli obok niego, słyszał, jak oddychają w ciemności. W kieszeni paliła go bandana Everetta.

Spojrzął na Grega i Nikki, na ich niewidzące, czarne oczy, na rozdziawione usta.

– Teraz złożymy ofiarę – powiedział niskim, poważnym głosem.

Tylko pokiwali głowami.

– Ofiarę lasowi i duchom, rozumiecie?

Gapili się na niego, ewidentnie nie rozumiejąc.

– Robimy to dla nas samych, dla Abigail, dla tego miejsca! Jesteśmy w tym razem?

– Tak! – odparli unisono. – Tak!

Założyli maski, zmieniając się w demony o zwierzęcych głowach.

Rozsunął gałęzie jak kurtynę. Zobaczyli blade, splecione na skale ciała. Tamci byli tak pochłonięci sobą, że nie spostrzegli trzech zbliżających się postaci. Nie zauważyli chłopca w masce kruka, który unosił nad głową duży kamień.

Sally krzyknęła tylko raz, gdy opuścił go z impetem na tył czaszki Erica. Uciszył ją tak szybko, jak tylko się dało.

Przez moment się wahał, gdy patrzyła na niego błagalnie. Prawie oderwał ręce od jej gardła, ale wtedy usłyszał szept Abigail: *Dokończ to!*

Zrób to dla mnie!



Gdy byli pewni, że oboje nauczyciele już nie żyją, ułożyli ich ciała na skale. Bezwładne zwłoki były ciężkie, zwłaszcza ciało Erica, i chłopcy nieźle się napocili, nawet Nikki musiała pomagać. Gdy Kruk wyciągnął z kieszeni bandanę Everetta, nie zareagowała. Może po prostu tego nie zauważyła. Trudno było określić, o czym akurat wtedy myślała. Kucnęła, objawszy rękami kolana; włosy skrywały jej twarz, gapiała się w poszycie. Kruk był tak zajęty doprowadzaniem planu do końca, że prawie wytrzeźwiał.

Umoczył bandanę we krwi Erica i wymalował pogańskie wzory na kamieniu, takie jak te w książce od Abigail. Rogaty Bóg, dokładnie taki, jaki widniał na plecach kurtki Everetta, i Potrójna Bogini. Spojrzał w niebo, nie dostrzegając księżycy w nowiu.

Gdy skończył, gestem nakazał Lisicy i Kozłowi wycofanie się. Nie patrzyli, gdy porzucał zakrwawioną bandanę na ścieżce.



Teraz, dwadzieścia lat później, stał przed chatą, wpatrując się w to samo miejsce na nieboskłonie. Gdy skończyli dopieszczać miejsce zbrodni, wrócili nad jezioro, gdzie czekali, aż wywar przestanie działać. Abigail miała rację. Ani Nikki, ani Greg nie wiedzieli do końca, co się przed chwilą wydarzyło, w czym wzięli udział. Powiedział im wszystko ze szczegółami, uzupełnił białe plamy po tym, jak urwał się film.

Tamtej nocy nie zasnął. Rano włączył lokalną telewizję, by przekonać się, że ciała już zostały odnalezione przez dwójkę dzieciaków z obozu. Aż się zachnął na myśl o tym, że przecież mogli zostać przyłapani na gorącym

uczynku. Zmuszał się do zachowania pozornego spokoju, czekając na informację o zatrzymaniu podejrzanego – Everetta.

Niestety, ta część planu nie poszła po jego myśli. Jakiś reporter - debil, najwyraźniej po konsultacjach z jakimś policjantem - debilem, powiedział w wydaniu na żywo, że władze zamierzają przesłuchać lokalną młodzież „zafascynowaną okultyzmem”. Dla wszystkich zainteresowanych, a chyba chodziło wyłącznie o Everetta, stało się jasne, że jest podejrzany. Gdy policja dotarła na złomowisko, nie było już po nim śladu.

Później tego samego dnia Carl przybył do chaty, by uporządkować ołtarzyk Abigail. I znalazł Everetta, który nie zwiął do żadnej Kanady, ale ukrył się właśnie tutaj. Carl zastał go wciśniętego w kąt sypialni, przekonanego, że wtrąca go do pierdła za zbrodnię, jaka nawet nie przyszłaby mu do głowy.

– Skąd wiedziałeś o tej chacie? – zapytał przerażonego chłopaka.

– Nikki mnie tu przyprowadziła.

No jakżeby inaczej!

Carl musiał działać szybko.

– Szukają cię z psami, rozeszli się po lesie – powiedział.

Everett jęknął płaczliwie. Co, do cholery, Nikki widziała w tym miękkim fajfusie?

– Chcę się zobaczyć z Nikki – zaskomlał Everett, jakby wyjął jej postać z głowy Carla.

Chłopak mruknął spokojnie.

– Przyprowadzę ją. Ale ty powinieneś się lepiej ukryć, żeby psy cię nie wywęszyły.

Everett uznał, że schowanie się w piwnicy, dopóki sprawa nie przycichnie, będzie dobrym pomysłem. Gdy zaczął schodzić po drabinie, Carl kopnął go w twarz i usłyszał, jak ciało z głuchym łomotem upada na podłogę. Kiedy Everett leżał ogłuszony, Carl wciągnął drabinę i zamknął włącznik.

Nie przyznał się, że widział Everetta. I namówił pozostałych, żeby trzymali się z daleka od chaty, żeby się w niej nie spotykali, tak na wszelki wypadek.

Udawał, jak wszyscy inni, że wierzy w wersję ucieczki Everetta za granicę. W jego zniknięcie.

Co dziwne, po tamtej nocy odkrył, że nie pragnie Nikki już tak bardzo. To niedawno gorące uczucie zdało mu się trywialną młodzieńczą błahostką.

Pewnie, będzie miał na nią oko, aby upewnić się, że targana wyrzutami sumienia nie zrobi nic durnego. Na Grega też. Obawiał się, by nie poczuli potrzeby wyznania się w kościele. Nic takiego jednak ich nie naszło, a przez lata jego zainteresowanie Nikki zbladło do niewyraźnego, czarno-białego wspomnienia. W jego sercu było przecież miejsce wyłącznie dla jednej kobiety.

Dla Abigail.

Tylko jej od zawsze pragnął.

Tylko jej potrzebował.

ROZDZIAŁ 43

„Wiatr. Idź za...”

Co Greg usiłował mi powiedzieć?

Zostawiłem jego martwe ciało i zszedłem na dół. Nie potrafiłem określić, ile czasu minęło od telefonu na policję. Kwadrans może. Jeśli już wyjechali, o ile w ogóle ruszyli się z miejsca, to i tak są kawał drogi stąd.

Wyszedłem przed dom. Zrobiło się jeszcze ciemniej, burzowe chmury pokryły niebo czerniejącym kożuchem.

Greg mówił, że to jego kara. Zadzeganie było karą? Czy miał na myśli to, że jego dzieci wyrosły na potwory? Naprawdę wierzył, że teraz płacił za wszystko, co zrobił dwadzieścia lat wcześniej? Razem z Nikki i...

Z Carlem? Wprawdzie tego nie potwierdził, ale miałem wrażenie, że to właśnie o niego chodziło.

Widziałem Carla zeszłego wieczora przy grillu. Nie pamiętałem, o czym rozmawialiśmy, prawie nic nie słyszałem przez huk muzyki, za to doskonale przypominałem sobie nasze wcześniejsze spotkanie, podczas którego udawał, że pomaga mi szukać telefonu Frankie. Podpytywał mnie o Nikki i chyba się zdradziłem, że ona mi się podoba. Wspomniał jeszcze o pogardzie dla turystów. Pewnie się wkurzył, że jego plan tak naprawdę obrócił się przeciwko niemu i zwabił do tego miejsca jeszcze więcej ludzi. Przeróżni nerdzi zafascynowani przemocą deptali jego święte miejsca. Czy mnie śledził? Czy widział, że szukałem Nikki, że waliłem do drzwi jej księgarni? Czy zastanawiał się, jak wykorzystać tę słabość przeciwko mnie?

Nagle przypomniałem sobie coś ważnego, ścieżkę dźwiękową tej naszej niby to niezobowiązującej rozmowy.

Dzwonki wiatrowe.

„Wiatr... Idź za...”

Greg usiłował mi powiedzieć, że mam podążyć za dźwiękiem dzwonek!

Niebiosa się rozstały i lunęło, po raz pierwszy, odkąd tu przyjechaliśmy. Żadnego kapuśniaczku na początek, tylko gwałtowne oberwanie chmury. Dzieciaki pozbierały zabawki i zwały do domu.

A ja ruszyłem biegiem do lasu.

ROZDZIAŁ 44

Carl usłyszał szuranie i odwrócił się od ołtarzyka. Do chaty weszli Buddy i Darlene.

– Gdzie się podziewaliście? – zapytał.

Nie odpowiedzieli, po prostu gapili się tymi wkurzającymi, pustymi oczami.

– Jak sytuacja w ośrodku? Obserwowaliście rodziców, jak nakazałem? Zadzwonili po gliny?

Frustrowało go, że musiał robić z nich swoich szpiegów, polegać na ich oczach i uszach. Być może Anderson i Butler już dawno złamali zakaz, ale w takim wypadku lasy byłyby już przeczesywane przez służby. Nie wierzył, że zaryzykują.

– No więc? – zapytał ponownie.

Wciąż tylko gapili się tępo. Oboje byli przemoczeni, przez co ich włosy wydawały się ciemniejsze niż zwykle. Mokre ubrania wisiały na nich. Nie zauważył, że zaczęło padać.

Spostrzegł, że Darlene trzyma w opuszczonej ręce nóż.

– Po co ci to? – zapytał.

Buddy i Darlene uśmiechnęli się jednocześnie.

– Dobra, nieważne. Odłóż tutaj. Teraz zanieście...

– Nie – odezwał się Buddy.

Carl nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Co?

– Nie będziemy wykonywać dalej twojego durnego planu.

– Mamy własny – dodała Darlene.

– O wiele lepszy od twojego.

– O czym wy, do diabła, gadacie? – Carl przenosił spojrzenie z jednego dzieciaka na drugiego.

Poczuł pierwszy, jakby wędrujący skurcz strachu w żołądku, ale zaraz przypomniał sobie, że to przecież tylko para gówniarzy. Powinien strzelić Buddy'ego w ten głupi pysk, aby wybić im z głów bunt. Zauważył jednak zarys pistoletu w jego kieszeni, a do tego Darlene wciąż trzymała ten jebutny kuchenny nóż, który pewnie przyniosła z własnego domu.

Przyjrzał się uważniej i dostrzegł na ostrzu zaschniętą krew.

Darlene powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

– To ojca – wyjaśniła chyba z dumą, a brzmiało to tak, jakby nagle kot zyskał zdolność mówienia i chwalił się upolowaną myszą.

– Grega? Co ty pieprzysz?

– Najwyraźniej przyszła już na niego pora – stwierdził Buddy.

Carl postąpił krok do tyłu. Łuk i kołczan zostały na zewnątrz, nie miał tu żadnej innej broni.

– Chcecie do końca życia gnić w pierdłu? – zapytał, starając się, by nie dosłyszeli drżenia jego głosu.

– Nie pójdziemy do żadnego pierdła – stwierdził Buddy.

– Jesteśmy niewinni – dodała Darlene.

– Tak, niewinne dzieciaki.

– Ach tak? To na kogo niby spadnie wina za zabicie Grega?

– Na ciebie – szepnęła Darlene.

Carl usiłował się zaśmiać, ale z jego gardła wyrwał się tylko jakiś żłosny skrzek.

Buddy spojrzał na niego z pogardą, a potem jego oczy wypełniło zwykłe znużenie.

– Przyszliście do naszego domu, zabiliście tatę i zmusiliście nas, żebyśmy tu przyszli.

– Ty i kobieta z księgarni.

Uczucie zimna w żołądku zmieniło się w lodową kulę. Gdzie jest Nikki? Nie widział jej od kilku godzin, odkąd wyszła na papierosa. Wróciła, a potem

zniknęła. Jej papierosy i zapalniczka ciągle leżały na stoliku przy drzwiach. Uciekła? Czy śpi w sypialni, za drzwiami?

Buddy znowu odezwał się znudzonym tonem:

– Odwaliło ci. Gadałeś jakieś pierdoły o tym, że kobieta o imieniu Abigail kazała ci to wszystko zrobić. Zabij ich wszystkich! Tak mówiła. Zabij Grega i jego dzieci! Zabij też tych gówniarzy w piwnicy i puść tę rudę z dymem!

Darlene parsknęła.

– Błagaliśmy, żebyś nas uwolnił, ale totalnie ci odbiło. Wygadałeś się, że zabiłeś również tę parkę nauczycieli dwadzieścia lat temu. No i Everetta Millera. Ukryłeś jego ciało w piwniczce. Przeleżało tam przez wszystkie te lata.

– To jakieś pierdolenie! – sarknął Carl, robiąc jeszcze jeden mały krok w tył. Jeśli uda mu się wyjść, wydobyć strzałę z kołczanu i przyłożyć ją do gardła dziewczyny...

– Nawet nie próbuj. – Buddy zablokował wyjście własnym ciałem, wyciągnął z kieszeni gnata i wycelował w pierś mężczyzny.

Carl zamrugał, pot zalał mu oczy. Musiał zmienić taktykę.

– Przestańcie, dzieciaki! Chyba nie zamierzacie zrobić mi krzywdy? Po tym wszystkim, co dla was zrobiłem? Przecież to była zabawa! Mogliście plądrować domki, zabierać, co zechcecie!

– Oprócz leków.

– No cóż, zabranie tych leków było lekkomyślne. Niepotrzebnie przyciągnęło uwagę. No dobra, może chwilami byłem nieco za ostry, ale to się nie powtórzy. Zgoda?

– No nie, nie powtórzy się... – powiedziała złowieszczo Darlene.

Buddy spojrział na ołtarzyk.

– To jest głupota – stwierdził.

– Bzdury – dodała Darlene.

– Duuchy! – zapał Buddy. – Nawiedzenia!

Darlene zachichotała i zaczęła popiskiwać:

– Ouuu, Abigail! Muszę chronić twoje lasy przed tymi złymi, złymi turystaaami!

Buddy spojrział na Carla wyzywająco.

– To my jesteśmy tymi złymi! – warknął.

– I to są nasze lasy! – dodała Darlene.

Buddy podszedł do ołtarzyka i wziął do ręki oprawione zdjęcie Abigail. Przyglądał mu się przez chwilę z kpiarskim uśmieszkiem.

– To my jesteśmy wielkimi, złymi wilkami... – Stłumił śmiech, widząc wyraz twarzy Carla. – Ale masz wielkie oczy!

Darlene skrzywiła się sarkastycznie.

– Żeby cię lepiej widzieć!

– Co wy wyprawiacie? – zapytał Carl.

Trzewia zamarzyły mu już ze strachu. Buddy wciąż przyglądał się ołtarzykowi, Darlene stała za nim. Oboje wydają się rozkojarzeni. Bo są, na niczym nie potrafią się skupić, o tym już się przekonał. Czy miał szansę dostać się do drzwi? W sekundę ich dopadnie. Kolejne dwie i będzie miał strzałę w rękę. I co dalej? Jeśli zwieje, plan się posypie. Miał dwa wyjścia: przyłożyć grot do szyi dziewczyny, zmusić Buddy'ego do oddania broni i odzyskać kontrolę albo zwiać. Spieprzać do wszystkich diabłów.

Zawahał się. Nie mógł porzucić tak gruntownie przygotowanego planu. Nie mógł zawieść Abigail.

– Ale masz wielkie uszy! – Buddy nagle ruszył w jego stronę, wywijając pistoletem.

– Żeby cię lepiej słyszeć! – Do Carla doleciał zza pleców dźwięk śmiechu Darlene.

Sparaliżowało go. Drzwi. Pistolet. Czekał, aż Abigail mu doradzi, ale nie słyszał jej głosu. Z przerażeniem stwierdził, że w ogóle już nie czuje jej obecności.

– Ale masz wielkie zęby! – odezwał się chłopak.

Drzwi. Jednak rzucił się do drzwi. Usłyszał za sobą przyśpieszony oddech Darlene, jakby naprawdę była wilczycą.

– Żeby cię zjeść! – wydyszała dziewczyna i wybuchnęli śmiechem, jakby to było przezabawne.

Zrobi to, na trzy. Zwieje. Ale... Ale plan, rytuał! Nie może zawieść Abigail!

Tylko żeby ją zadowolić, musi przeżyć.

Raz.

– A jakie masz wielkie pazury! – Buddy stał plecami do niego, zwrócony do ołtarza.

Przepraszam, Abigail! Innym razem. Zrobimy to kiedy indziej.

Dwa.

Zaraz, pazury? Tego nie było w...

– By cię nimi rozszarpać! – usłyszał tuż przy uchu, poczuł jej oddech na szyi. Kiedy podkraśla się tak blisko?

Poczuł, jak ostrze wbija się w jego plecy.



Leżał na brudnej drewnianej podłodze, nie będąc w stanie się poruszyć. Nie czuł, jak wypływa krew, nie widział kałuży rozlewającej się wokół jego ciała. Patrzył na strzaskaną ramkę, twarz Abigail pośród odłamków szkła. Nad nimi pochyliły się dwie twarze. Lisica. Kozioł. Nikki i Greg. Jego jedyna prawdziwa rodzina. Przyjaciele. Uśmiechnął się, nawet nie poczuł krwi wypływającej z ust. Są tacy młodzi, całe życie przed nimi...

Ale to przecież nie Nikki i Greg. To Buddy i Darlene.

W drzwiach za nimi pojawiła się jeszcze jedna twarz. Abigail? Czy to właśnie ona po niego przyszła? Aby go zabrać... Dokąd? Co za ulga! Nie opuściła go, nie odeszła z tego miejsca. Czekala, by przeprowadzić go do nowego życia, by wziąć go za rękę i pójść z nim do lasu, do jej lasu, do tego miejsca, które dla niej chronił. Będą po nim biegać i tańczyć wiecznie, będą się śmiać, będą razem na zawsze.

Ostatni raz spojrział na portret Abigail. Zamknął oczy. Dosłyszał jeszcze, że Buddy mówi coś o spaleniu chaty, ale to nie miało już najmniejszego znaczenia.

Czekał.

Na Abigail, aż wyciągnie do niego rękę.

Nie doczekał się, gdy wypuszczał ostatnie tchnienie.

ROZDZIAŁ 45

Od błagania Carla, żeby ich wypuścił, rozboleła ją gardło i zaschło jej w ustach. Ryan nie brzmiał lepiej i nawet wrzucona do piwnicy woda nie pomagała.

Przestali krzyczeć, gdy zdali sobie sprawę z tego, że to próżny trud. Powinni oszczędzać energię. Frankie dotknęła ramienia Ryana i on również umilkł.

Na górze panowała kompletna cisza.

Dziewczyna usiłowała przypomnieć sobie, jak wyglądały pomieszczenia na górze. Wprowadzono ich do domu, do pokoju z ołtarzykiem, przez który przeszli do drugiej izby. To właśnie tam znajdowała się kłapa w podłodze.

Jeśli Carl siedział w pokoju bliżej wyjścia i zamknął drzwi, to pewnie i tak ich nie słyszał. A może po prostu ignorował zduszone krzyki.

Ryan usiadł i objął rękami kolana.

– Zdechniemy tutaj! – powiedział, wskazując głową w stronę szczątków. – Jak on.

Frankie również usiadła.

– Nie mów tak! Wydostaniemy się stąd! – usiłowała go pocieszać, odegnąć złe myśli. – I będziemy sobie żyć długo i szczęśliwie! Pełni wdzięczności za każdy kolejny dzień! Po takich przejściach żyje się pełnią życia. Zyskamy przewagę nad rówieśnikami, bo drugiej szansy się nie marnuje!

– Taa...

– Hej, to była najlepsza gadka motywacyjna, jaką wygłosiłam w życiu!

– No, niezła, to fakt.

– Szkoda, że zmarnowałam ją na ciebie!

Uśmiechnął się. W mdłym świetle latarki jego twarz wyglądała jak czaszka, trupio blada, z zapadniętymi oczami w czarnych obwódkach. Ten widok sprawił, że Frankie zadrżała; był złym omenem, zapowiedzią nieuniknionego. Czy w ostatnich chwilach życia będą leżeć przytuleni? Które skona pierwsze? I czy drugie spędzi godziny, czy dni w towarzystwie trupa przyjaciela?

Objęła go.

I nagle uniosła się klapa.

Frankie zerwała się na nogi, powstrzymując się od błagalnego krzyku o pomoc. Nie chciała rozwścieczyć Carla, by znowu ich tu nie porzucił. Musiała przemówić mu do rozsądku. Przekonać, że naprawdę nigdy nikomu nie powiedzą, co zaszło. Zabiorą jego sekret do grobu, tylko może jeszcze nie teraz.

Ale przez dziurę nie zajrzał Carl, tylko była to Nikki. Wpychała coś do piwnicy.

– Odsunąć się! – szepnęła rozkazująco.

Coś zaczęło się zsuwać, uderzyło o ziemię z głuchym łoskotem, na co Nikki zaklęła i odsunęła się, zapewne się rozglądając, czy nie przyciąga czyjejs uwagi. Do diabła z uwagą! To była drabina! Drabina!!! Mogli się wydostać. Frankie chwyciła Ryana za rękę i pociągnęła go w górę, po czym pchnęła, by szedł przodem.

– Nie, ty pierwsza! – upierał się.

Nikki wsadziła głowę przez właz.

– No szybciej!

Frankie postawiła stopę na pierwszym szczeblu i zaczęła się wspinać.

Na górze ktoś się odezwał. Nastolatek coś mówił do Nikki. To na pewno Buddy. Nikki zniknęła, słyhać było tylko, jak próbuje łagodnie, niewyraźnie go przebłagać.

Frankie zamarła w połowie drogi na górę. Spojrzała na twarz Ryana, który unosił głowę. Gdy również podniosła wzrok, znowu dostrzegła Nikki, jej łydki. Księgarka stała nad krawędzią włazu, wciąż przemawiając do Buddy'ego.

I wtedy ją zepchnął.

Spadające ciało wypełniło właz. Nikki uderzyła plecami o krawędź, zamachała nogami, ale zdołała się jej uchwycić. Jej nogi dyndały nad twarzą Frankie.

Da radę, podciągnie się!

Buddy kopnął ją w twarz albo nadepnął na dłoń; w każdym razie zrobił coś, co sprawiło, że straciła chwyt.

Poleciała w dół, w ciągu pół sekundy uderzyła o Frankie i obie straciły jakiegokolwiek punkty podparcia. Ból eksplodował w ramieniu dziewczyny, zepchnęło ją w bok, poleciała twarzą w dół, po czym uderzyła brzuchem, kolanami i biodrami o twardy beton.

Obok, z nieprzyjemnym chrupnięciem, wylądowało ciało kobiety.

Ryan rzucił się do przyjaciółki.

– Nic ci nie jest? Odezwij się, Frankie!

Przez chwilę leżała bez ruchu, usiłując złapać oddech. Ból pulsował w każdej komórce jej ciała. Wiedziała, że Ryan klęczy obok, ale nie słyszała, co mówi, bo dzwoniło jej w uszach. Przekręciła się z trudem na bok i spojrzała w stronę włazu.

Ktoś podciągał drabinę.

– Ryan! – sapnęła. – Drabina!

Odwrócił się, zerwał na nogi, ale było za późno. Nie zdołał uchwycić ostatniego szczebla. Buddy z wyrazem triumfu wciągnął ją na górę.

I zatrasnął właz.

ROZDZIAŁ 46

Pogoda się pogarszała, wiatr wzrósł i potrząsał złowieszczo gałęziami drzew rosnących po przeciwległej stronie osiedla Rajska Pętla. Deszcz siekł mnie po oczach, niewiele widziałem. Przystanąłem przy linii drzew, usiłując ustalić, gdzie znajdowała się polana, na której Frankie widziała zamaskowanych ludzi i gdzie poszukiwałem jej telefonu w towarzystwie Carla. Znałem tylko ścieżkę prowadzącą do ośrodka, ale wiodła ona naokoło. Musiał istnieć jakiś skrót, przebitka.

– Co robisz?

Odwróciłem się gwałtownie. W moją stronę, przez jezdnię, szedł Wyatt. Mokre, długie włosy przylegały do jego twarzy przypominającej teraz czaszkę, krople odbijały się od nosa i kości policzkowych. Woda zmyła z niego trochę brudu, ale to nie ułatwiło mi określenia, ile ma lat. Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? To bez znaczenia. Może mógł mi pomóc.

– Dzwonki wiatrowe! – powiedziałem desperacko. – Muszę je odnaleźć!

Zmrużył oczy, jakbym gadał od rzeczy.

– Moja córka zaginęła. Przetrywają ją gdzieś, gdzie słychać takie dzwonki. Niedaleko polany. Wiesz gdzie...?

– Dobra! – Uniósł rękę, uciszając mnie. – Nie drzyj się tak. Wiem, gdzie to jest! Co się stało?

– Nie mam czasu na wyjaśnienia. Błagam, muszę odnaleźć córkę! Jeśli nie możesz...

– Mogę.

Przepchnął się przez gąszcz i zniknął, jak magik na scenie. Jakby przedostał się jakimś portalem do innego świata.

Podążyłem za nim, przedzierając się przez nisko wiszące gałęzie sosen. Igły drapały moją twarz, gałęzie chwyciły za ubrania. Buty grzęzły

w warkoczach pnący wijących się po poszyciu. Jeśli była tu kiedyś jakaś ścieżka, całkiem już zarosła. Wyatt parł przed siebie, torując sobie drogę barkami, burcząc coś od czasu do czasu. Pokrótce wyjaśniłem mu, co zaszło, wrzeszcząc, aby przekrzyczeć szalejącą nawałnicę. O Gregu i jego ostatnich słowach. Widziałem tylko plecy Wyatta, więc trudno mi było ocenić, jak to przyjął.

– Więc ich matka miała rację! – rzucił w końcu.

Miałem wrażenie, że drzewa celowo blokują nam drogę; rosły prawie jedno na drugim, wyciągały gałęzie, żeby nas zatrzymać. Moja wyobraźnia szalała.

– Znałeś ją? – zapytałem, a on wymruczał jakieś przekleństwo, schylając się pod konarem.

– Taa, ją i jej krewnych. Prowadzili stację benzynową przy wylocie z miasta. Tacy... Bogobojni, wszyscy. Baptyści. Gotowi czytać ci Biblię, gdy stałeś, czekając, aż bak się napełni. Po samobójstwie Lainey...

– Lainey? To była żona Grega?

– Taa.

– Zabiła się? Myślałem, że po prostu wyjechała!

Coś tam mruknął w brodę.

– Strzelenie samobója to też jakaś forma wyjazdu, no nie? W każdym razie po tym jej rodzice zamknęli stację i zwiali nie wiadomo dokąd.

Doszliśmy do polany. Wszędzie wokół w ciemne niebo strzelały wierzchołki sosen. Było ciemnawo jak tuż po zmierzchu.

– Jesteśmy blisko? – zapytałem, gdy Wyatt ruszył na wschód. Deszcz ciągle lał, a dzwonek wcióż nie było słyhać.

– Już niedaleko.

– Byłeś w mieście w dziewięćdziesiątym dziewiątym, wtedy gdy zamordowano nauczycieli?

– Ta.

– Znałeś Abigail?

– Pewnie. Tu się wszyscy znają – padło nieuchronnie motto Penance.

Weszliśmy na kolejną zarośniętą ścieżkę. Teraz skapywała na nas woda z listowia i igieł.

– Jaka była?

Wyatt przez moment się zastanawiał.

– To był typ babeczki, którą spalono by na stosie w czasach inkwizycji.

– Za to, że była hippiską?

Sarknął.

– Nie była po prostu hippiską! Nie pasowała do reszty ludzi stąd. Uważali, że Logan, jej stary, powinien był ją utemperować. Nie podobało im się, że snuje się po lasach i zbiera zielsko. Przebąkiwali o truciznach i urokach. Gdy okazało się, że ma raka, twierdzili, że w końcu diabeł zabierze ją tam, gdzie jej miejsce.

– A wiedzieli o tym, że zadawała się z grupką nastolatków?

– Plotki krążyły. Coś trzeba było zrobić, ale pojawił się rak i zrobił to za nas.

– A co ty o tym wszystkim myślałeś?

Zaśmiał się.

– Ja tam ją lubiłem, zawsze była skora do podzielenia się skrętem!

Weszliśmy na kolejną polanę i natychmiast ją rozpoznałem. To tu Frankie zgubiła telefon.

Dzwoneczki. W końcu je usłyszałem!

Dźwięk dolatywał z przeciwległej strony. Wyatt ruszył, ale po kilku krokach przystanął, wężąc jak ogar łapiący trop z powietrza.

– Czujesz? – zapytał.

Zaciągnąłem się, ale początkowo nic nie przebijało się przez aromat mokrego igliwia i zroszonej deszczem ziemi.

Ale po chwili też to wyczułem.

Dym.

ROZDZIAŁ 47

Frankie zdołała się podnieść do pozycji siedzącej. Obmacała się, żeby się upewnić, że nie zrobiła sobie poważniejszej krzywdy. Głowa cała, żadnych złamań.

O Nikki nie można było powiedzieć tego samego.

Podpełzła do leżącego bez ruchu ciała kobiety. Upadła niedaleko szczątków Everetta. Leżała z otwartymi oczami, twarz wykrzywiał agonalny grymas.

– Nie mogę poruszyć nogami... – wychrypiała.

Co niby Frankie miała na to teraz poradzić?

– Co robiłaś na górze? Czy ktoś jeszcze wie, gdzie jesteśmy?

Nikki przymknęła oczy i szepnęła tylko:

– Przepraszam...

– Za co przepraszasz?

– Frankie... – zagaił Ryan, ale zignorowała go, dalej wypytyując kobietę. Nikki jednak nie odpowiadała, a gdy w końcu się odezwała, po jej skroniach popłynęły łzy.

– Nie mogłam przecież iść do więzienia! – zaczęła płakać nad sobą, więc dziewczyna wstała, zniesmaczona i wściekła.

To między innymi przez tę kobietę znaleźli się w beznadziejnej sytuacji, choć Frankie dokładnie nie wiedziała, jaki miała w sprawie udział i dlaczego Buddy zepchnął ją do piwniczki. Ta wiedza i tak niczego by nie zmieniła. Zabrał drabinę, zatrzasnął włącz.

Ryan ciągle powtarzał jej imię, jak automat, więc w końcu odwróciła się w jego stronę.

Stał, wpatrując się w klapę.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Nie czujesz?

Wstała, kręcąc głową.

– Nic nie czu...

Ale właśnie wówczas poczuła.

Dym.

– Podpalili chatę! – jęknął Ryan.

Frankie rzuciła się w stronę kobiety.

– Masz telefon?

– Został na górze. Tu i tak nie ma zasięgu.

Ryan chodził w kółko, przeklinając pod nosem.

– Nie da się stąd wydostać inną drogą?

Równie dobrze mogła ją zapytać, czy potrafi ich stąd teleportować.

Frankie poderwała się i rozejrzała. Zapach dymu stawał się coraz bardziej wyczuwalny. Kłapa nie była szczelna, przez szczelinę wokół niej dostawały się cienkie smużki. W świetle latarki było widać, jak wiją się pod sufitem. Być może ogień tu nie dotrze, wypali się na górze i... Widziała jednak zbyt wiele filmików instruktażowych z pierwszej pomocy, by nie wiedzieć, że większość ofiar i tak umiera od zaczadzenia dymem.

– Carl! – wrzasnęła. – Wypuść nas!

– Carl nie żyje – szepnęła Nikki. – No górze zostali tylko Buddy i Darlene.

Buddy i Darlene, no super.

Frankie przypomniała sobie groźby, które jej wysyłali, martwego królika podrzuconego przed chatą. Zakopanego żywcem kota. Przecież o to właśnie im chodziło, od momentu, w którym Ryan zamieścił post o Penance.

Raz jeszcze skierowała snop światła na sufit. Dym gęstniał, jego macki pełzły w dół po ścianach. Odruchowo zakaszła; już czuli, co ich czeka. Jeszcze chwila i pomieszczenie będzie całkiem siwe.

Nikki zamknęła oczy i zamilkła, pewnie zemdląca z bólu.

Frankie usiadła, potem położyła się, usiłując jak najbardziej oddalić się od dymu. Próżny trud. Ile zyska? Sekundę? Dwie?

Usiadła i przywołała gestem Ryana, a gdy opadł na ziemię obok niej, objęła go.

Czekała na śmierć.

ROZDZIAŁ 48

Wyprzedziłem Wyatta i pierwszy dopadłem do drzew, ale wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że przecież nie wiem, czego tak dokładnie szukam. Byłem tu już kiedyś i nie znalazłem przejścia. Może powinienem po prostu wdrzeć się w gąszcz i przebić przez niego? Pójść za dzwonekami i dymem? Jak dobrze, że leje, to spowolni ogień! Gdy to pomyślałem, zauważyłem, że to już żadna ulewa, a zaledwie kapuśniaczek.

Ruszyłem biegiem wzdłuż linii drzew, szukając przejścia, jakiejś ścieżki. Wszedłem pomiędzy dwie wielkie sosny, ale przede mną niemal natychmiast wyrosła trzecia. Mogłem przec na siłę, ale przecież nie wiedziałem, gdzie dokładnie jest ta chata, mogłem też utknąć na dobre.

Wycofałem się na polanę. Musiało tu być jakieś przejście! W głowie rozbrzmiewały mi ostatnie słowa Grega, teraz już zrozumiałe: „Idź za dźwiękiem wiatrowych dzwoneków”. Dźwięk słyszałem, ale nie byłem w stanie dotrzeć do jego źródła.

A może Gregowi chodziło po prostu o wiatr?

Postąpiłem jeszcze kilka kroków w tył, zamknąłem oczy. Czułem, jak wiatr dmie mi w plecy; w desperacji chciałem wierzyć w moce tego miejsca, w to, że w jakiś magiczny sposób zostaną pokierowany.

Nic takiego się oczywiście nie stało.

Co ja wyprawiałem? Chciałem, by do córki doprowadziła mnie jakaś pradawna siła? Nawet jeśli naprawdę wierzyłbym w takie bzdury, Zdroje miałyby gdzieś mnie czy moją córkę. Dlaczego niby tutejsze duchy miał obchodzić nasz los? Przez wiarę Carla w te bzdety znaleźliśmy się w żalonym położeniu.

Otworzyłem oczy.

Wiatr szarpał gałęzie naprzeciwko mnie; kiwały się gwałtownie.

– Naprawdę wskazuje mi drogę! – powiedziałem do siebie. – To się dzieje!

Moja racjonalna natura stłumiła głos w głowie. Wiatr potrząsał gałęziami, przecież byliśmy w lesie, do cholery!

Jednak to właśnie w tym miejscu dostrzegłem prześwit. Był widoczny przez sekundę, ale to wystarczyło.

Rzuciłem się jak taran pomiędzy drzewa, czułem, jak drobne witki drapią moje policzki i szarpią za włosy. Ścieżka była bardzo wąska, ale wydeptana, pojawiła się niemal w magiczny sposób. Rzuciłem się przed siebie.

I nagle wypadłem z gąszczu.

Stała przede mną. Stara chata.

Z okien buchał gęsty dym, a wiszące pod sufitem ganku wiatrowe dzwonki grzechotały wściekle. Przez otwarte drzwi widziałem szalejące wewnątrz płomienie. I ani żywej duszy.

Carl, Buddy czy Darlene – nikogo nie było.

– Frankie! Ryan! – krzyknąłem, ale odpowiedział mi tylko huk pożaru.

Wbiegłem na ganek i zajrzałem do środka, mrużąc oczy od gryzącego dymu. Uderzyła mnie fala gorąca, ale dostrzegłem, że to nie był jeszcze jakiś piekielny armagedon. Po lewej widać było otwarte drzwi do kolejnego pomieszczenia i to właśnie stamtąd buchał ogień. Pewnie podpalacz właśnie tam go podłożył i uciekł przez główne drzwi, zanim pożar się rozprzestrzenił. Może chcieli podpalić jeszcze inne rzeczy, ale wystraszyli się tego, w jakim tempie zapłonął tamten pokój.

Moje ubrania były kompletnie przemoczone, czułem wodę wciąż spływającą po skórze. To dawało mi ochronę, przynajmniej powierzchowną. Rzucić się tam czy nie? A co, jeśli Frankie jest właśnie w tamtym pomieszczeniu?

Wszedłem do chaty.

Prawie nic nie było widać. Potknąłem się o coś i z przerażeniem zauważyłem, że to ludzkie ciało.

Carl, bez wątplenia martwy, leżący na boku, plecy miał całe we krwi.

– Frankie? – krzyknąłem znowu.

Odpowiedziały tylko płomienie, wiatr na zewnątrz i dzwonki.

Frankie?

Naprzeciwko było jeszcze jedno pomieszczenie. Okna zamknięte, zadymione na amen. Nic nie było widać, dym gryzł w gardło. Wycofałem się do głównej izby.

– Frankie! – wrzasnąłem desperacko.

I wtedy usłyszałem odpowiedź, jakby z oddali.

– Tutaj!

– Frankie? Gdzie jesteś?

– Tatoooo!

– Gdzie jesteś??

– Na dole, pod klapą!

Zakryłem usta i nos przedramieniem i podążyłem za głosem. Przez dym nic nie widziałem, działałem po omacku. Kłapa? Jaka kłapa? Opadłem na czworaka i macałem podłogę. W pokoju po lewej huk pożaru się wzmacniał, za mną również. Za chwilę utknę tu na dobre, ale przecież nie mogłem uciekać! Gdzieś na dole jest moja córka, gotów byłem oddać za nią życie, a już na pewno doznać poważnych poparzeń, byle ją ratować.

Wpadłem na staroświecki ciężki fotel. Odsunąłem go z wysiłkiem i dotknąłem czegoś metalowego. Duży pierścień.

Zawahałem się.

Pewnie w piwnicy jest jeszcze sporo tlenu. A co, jeśli zasili płomienie? Obejrzałem się przez ramię; ogień jakby tylko czekał na to, by wpaść przez próg do tego pokoju.

Ale przecież musiałem zaryzykować!

– Na podłogę! – krzyknąłem. – Zakryj twarz!

Napiąłem się i otworzyłem klapę. Na szczęście ogień nie rzucił się natychmiast, by mnie pożreć, ale robiło się coraz goręcej. Trzeba działać szybko. Wetknąłem głowę do dziury, ale przez dym nic nie było widać.

– Tam gdzieś jest drabina! – krzyknęła z dołu Frankie. – Musimy wyjść po drabinie!

Potem kaszel, dwie osoby. Pewnie był z nią Ryan.

Znowu zacząłem macać podłogę. Gdzie ta drabina?

– Tata, błagam, szybciej!

Poczułem pod rękami solidne drewno. Jest, leżała na podłodze! Po omacku zacząłem spuszczać ją do piwnicy; musiałem unieść jeden koniec i prawie upuściłem ją sobie na głowę, gdy walnąłem w sufit.

– Cofnijcie się! – krzyknąłem.

Czułem, jak w dłonie wbijają mi się drzazgi, ale po chwili usłyszałem, jak nóżki uderzają w twardą podłogę.

– No dalej! – wrzasnąłem.

Ryan wyłonił się pierwszy, kaszlał i charczał. Pomogłem mu wyjść. Choć z tyłu szalał pożar, nie było innego wyjścia. Walnąłem go w plecy.

– Tamtędy! – pokierowałem. – Biegiem!

Nie czekał ani sekundy.

Za to kilka sekund później we włączu pojawiła się głowa mojej córki.

– Tato! – odezwała się Frankie, a dym formował wokół jej włosów aureolę.

Tak desperacko chciałem ją objąć, przytulić, pocałować, powiedzieć, jak bardzo mi przykro, ale te sentymentalne bzdury musiały poczekać. Wciągnąłem ją, opadła bezwładnie na moje ciało.

– Musimy stąd uciekać! – zacząłem. – Gnaj do głównych drzwi. Dasz radę?

– Czeka! – powiedziała.

Nie czekałem. Pociągnąłem ją za sobą przez płomienie i dym, przez huk i trzaskanie płonącego drewna. Wypchnąłem ją przez główne drzwi i rzuciłem się za nią, przekonany, że palą mi się już włosy na karku i skóra zaczyna skwierczeć. Żar był nie do wytrzymania. Gdyby nie to, że przed chwilą byłem mokry, pewnie moje ubranie już by się paliło.

Wylądowałem na kolanach na ganku. Na deskach leżał porzucony łuk Carla i kołczan. Frankie pomogła mi zejść ze schodków na mokrą trawę. Padłem na plecy i gapiłem się w niebo; w powietrzu tańczyły dym i popiół. Czułem, jak Frankie i Ryan włoką moje ciało w kierunku drzew.

Usiadłem, dusząc się od kaszlu; z trudem łapałem oddech. Uniosłem głowę i otworzyłem usta, łapiąc w nie krople deszczu, który znowu się wzmógł.

Frankie kucnęła obok mnie, położyła rękę na moich plecach.

– Nikki tam została – powiedziała cicho.

Nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem przez huk płomieni i szum deszczu, przez szalejący wiatr.

– Była z nami w piwnicy. Chyba złamała kręgosłup.

Spojrzałem na pożeraną przez ogień chatę. Nic nie mogłem zrobić.

Zginęli wszyscy troje: Kruk, Kozioł i Lisica.

– W piwnicy było też ciało Everetta – powiedziała Frankie.

Nie przyswajałem tych informacji.

– Musimy... Musimy wrócić do ośrodka – wychrypiałem, po czym znowu zaniosłem się kaszlem. Czułem, jakbym w miejscu płuc miał zużyte tacki do grilla.

Usiłowałem wstać, ale upadłem na ziemię. Wszystko wokół wirowało. Zbierało mi się na wymioty od tego gorąca, od widoku dymu i latających wokół strzępów popiołu. Tak musi wyglądać piekło. Ale moja córka żyje. Uratowałem ją. Ją i Ryana. Teraz mogę umrzeć, wszystko mi jedno.

Już chciałem się położyć, ale Frankie mnie powstrzymała.

– Musimy się odsunąć od gorąca i dymu!

Miała rację. Pomogła mi wstać. Dym wypełnił polanę jak gęsta mgła. Usłyszałem głos Ryana:

– Tędy! – Poszliśmy za nim.

Dym się przerzedzał i w końcu mogłem zaczerpnąć świeżego powietrza. Znowu opadłem na kolana, czułem się taki słaby... Tlenu, potrzebowałem tlenu... Położyłem się na boku i skupiłem na oddychaniu. Na pewno już zauważono pożar. Ktoś zaraz przyjdzie i mnie stąd pozbiera.

– Tato, co się dzie...

Urwała w pół słowa.

Przed nami pojawiły się niemal w magiczny sposób dwie postacie.

Buddy i Darlene.

Mieli na twarzach maski Kozła i Lisicy.

Przez chwilę patrzyli na pożar za nami, potem znowu na nas. Frankie podpierała mnie z tyłu, Ryan stał obok. Za nami znajdowała się sekretna ścieżka, droga ucieczki.

Resztkami sił się wyprostowałem.

Buddy trzymał pistolet, Darlene nóż.

Patrzyłem na unoszącą się lufę.

– Z powrotem! – krzyknąłem. – Już!

Frankie i Ryan rzucili się między drzewa. Gdy już znalazło się tę ścieżkę, nie można było zablądzić. Zerwałem się i pobiegłem za nimi, ale skąd nagle zebrałem w sobie tyle siły, było dla mnie niezrozumiałe. Jak w filmie, w którym matka podnosi wrak samochodu, by wydostać spod niego dziecko. Nie chroniłem tylko własnego życia, przecież Frankie też tu była!

A może tylko tak sobie wmawiałem.

Słyszałem, jak bliźniaki przedzierają się przez gąszcz za nami, a gdzieś z oddali przez ten hałas dochodziły odgłosy silnika. Z góry? Samolot albo helikopter poszukujący pożaru. To nie było teraz ważne.

Wypadliśmy na polanę przed płonąca chałupą. Zatrzymałem się gwałtownie, widząc zapadający się dach. W niebo strzelał czarny dym. Na szczęście mokre drzewa wokół powstrzymały rozprzestrzenianie się pożaru. Próbowałem nie myśleć o uwięzionej w piwnicy Nikki, panikującej, niezdolnej jakiegokolwiek ruchu. Wiedziałem, że wróci do mnie w koszmarach.

Rozejrzałem się za kryjówką i zobaczyłem, że Frankie biegnie w kierunku chaty.

– Co ty wyprawiasz? – wrzasnąłem.

Zniknęła w chmurze dymu. W tej samej chwili za nami pojawili się oprawcy.

Buddy odrzucił maskę. Przez chwilę patrzył w zachwycie na płomienie, a potem wycelował we mnie, trzymając pistolet w obu dłoniach.

– Co ci da zabicie nas? – przekrzykiwałem trzaskające płomienie. – Dowiedzą się, że to wasza sprawka. Że zabiliście własnego ojca!

– Mam to gdzieś! – odkrzyknął chłopak.

Darlene stała obok niego, w jednej ręce trzymała swoją maskę, w drugiej nóż. Czy to właśnie nim zadźgała Grega i Carla?

– Wiedziałem, że jesteście porąbani już wtedy, gdy pierwszy raz na was wpadliśmy! – krzyknął Ryan.

– Sam jesteś porąbany! – Buddy skierował na niego lufę.

– Parka wykolejeńców! – wrzasnął Ryan.

Buddy postąpił krok, nie opuszczając pistoletu.

– I tak nie zamkną ośrodka! – Usiłowałem zwrócić jego uwagę na siebie.

– Gównu nas to obchodzi! – odezwała się Darlene.

– To po cholere to wszystko robicie? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Mieliśmy dość tego, że wszyscy nam rozkazują.

– Nudziło nam się – dodał Buddy.

W ich szalonych oczach tańczyły płomienie.

– Gdzie Frankie? – chciała wiedzieć Darlene.

– Tu jestem! – rozległo się za mną.

Odwrociłem się.

Jej czarna sylwetka odcinała się od ognistego tła. Frankie stała na rozstawionych nogach, wyprężona jak struna. Trzymała naciągnięty łuk. Ogień nie dotarł do ganku i go nie zniszczył. Mierzyła w Buddy'ego.

Musiałem działać.

Rzuciłem się na ziemię, wrzeszcząc jego imię. Instynktownie odwrócił się w stronę mojego głosu, ale za późno się połapał; nie zdążył we mnie wycelować i po ułamku sekundy zdał sobie sprawę z tego, że powinien strzelić do Frankie, ale ona była szybsza.

Wypuściła strzałę.

Gdyby chybiła, zdążyłby unieść lufę i ją zastrzelić.

Ta scena powracała do mnie w snach; widziałem strzałę ze świstem przelatującą obok głowy Buddy'ego, jego kpiarski uśmiezek, unoszącą się lufę, słyszałem huk i ciało mojej córki, które w zwolnionym tempie osuwało na ziemię.

Ale ona nie chybiła.

Trafiła w środek jego piersi. Padł jak worek kartofli, wypuszczając z dłoni broń. Rzuciłem się po pistolet.

Darlene po sekundzie szoku ruszyła biegiem. Zanim którekolwiek z nas zdążyło wycelować, zniknęła wśród drzew.

Rzuciłem się na ziemię, adrenalina buzowała w moich żyłach, siły mnie opuściły. Zanim urwał mi się film, usłyszałem jeszcze rytmiczny łopot śmigła nad głową i głos Ryana oznajmiający, że Buddy nie żyje.

ROZDZIAŁ 49

SOBOTA

David i Connie przyszedli się pożegnać, gdy wkładałem ostatnie pakunki do bagażnika.

– Jak tam płuca? – zapytał David.

– Coraz lepiej – odparłem. – Lekarze twierdzą, że trwałych uszkodzeń nie będzie, ale radzą, żebym nie biegł w maratonie przez kilka najbliższych sezonów.

Uśmiechając się lekko, klepnął mnie w plecy. Od czasu powrotu ze szpitala, gdzie zatrzymano mnie na noc na obserwacji, Butlerowie traktowali mnie jak jakiegoś bohatera. Wcale się tak nie czułem. Gdybym nie zaufała Nikki, Frankie i Ryan nie trafiliby do niewoli w piwnicy. Moja córka nie musiałaby w naszej obronie nikogo zabijać. No i Nikki może nadal by żyła.

Czekała mnie długa autoterapia.

– Widzieliście Frankie? – zapytałem, poprawiając w kufrze ostatnią walizkę.

– Żegna się z Ryanem – rzuciła Connie.

– Już się umawiają na przyszłe lato u nas – dodał David. – Mamy nadzieję, że ty też wpadniesz. Jesteście zawsze mile widziani. W każdej chwili.

– Nie mieszkamy w pobliżu lasu – zażartowała Connie.

Zamknąłem klapę bagażnika.

– Mam nadzieję, że zrobicie z tego najlepszy odcinek podcastu.

Spojrzeli po sobie niepewnie.

– Nie chcemy, żeby ktoś stwierdził, że żerujemy na nieszczęściu własnego syna... – zaczęła Connie przeproszająco.

– Ale słuchacze zasługują na prawdę – odezwał się David.

– Cały świat musi się dowiedzieć, że Everett Miller był niewinny. To trzeba nagłośnić.

Nie zamierzałem się spierać.

– A ty? Dalej planujesz napisać artykuł? – zapytał David.

– Nie wiem...

Jeszcze nie zdecydowałem. Jakoś musiałem zarobić, oszczędności topniały. Ale w tej chwili miałem dosyć Płytkich Zdrojów i chatki w lesie.

– Przydałyby mi się teraz porządne wakacje...

Wszyscy się zaśmialiśmy.

– Jeśli jednak zdecydujesz się napisać, chętnie zaprosimy cię jako gościa specjalnego do naszego podcastu – zaoferowała Connie.

Pojawił się Neal Fredericks, który zbierał się do odjazdu nieopodal. Wyciągnął do mnie rękę na pożegnanie.

Gdy wróciłem ze szpitala, bardzo się zdziwiłem, widząc go wciąż w ośrodku. Byłem pewien, że wrócił do Portland. Miał do mnie jednak mnóstwo pytań, w końcu przez ostatnie dwadzieścia lat wierzył w to, że to Everett Miller zamordował jego żonę. Pewnie cała ta sprawa rozdrapała stare rany. Chciał wiedzieć wszystko, co powiedzieli mi Carl, Greg i Nikki.

– To co, pora do domku? – Klepnął mnie w ramię.

Przytaknąłem na potwierdzenie. Skracalem pobyt, bo chciałem jak najszybciej stąd wyjechać.

– Odwożę Frankie do Albany, zabawię tam dzień albo dwa.

Na razie nie mogłem opuścić kraju, bo policja chciała mnie jeszcze przesłuchiwać.

Pokiwał głową, jakby ze smutkiem.

– Jeszcze raz dziękuję za odkrycie prawdy.

Czułem się nieswojo, gdy wszyscy tak ciągle mi dziękowali.

– Od początku coś mi nie pasowało – zaczął wyjaśniać. – Z tym całym Everettem. To było zbyt oczywiste, prawda? Wygodne, łatwe wytłumaczenie.

– Spojrzał w stronę lasu, mniej więcej w kierunku polany, na której odnaleziono ciała. – Ale nie czuję, by wymierzono sprawiedliwość. Ta trójka

powinna zgnić w więzieniu. – Skrzywił się z niesmakiem. – Nienawidzę tej głuszy...

Odszedł do swojego auta, a chwilę potem pojawili się Frankie i Ryan. Stali blisko, on coś szepnął jej do ucha, ona się uśmiechnęła, zobaczyła, że na nich patrzę.

Byłem z niej taki dumny... A myśl o tym, że nie będę widział jej przez kolejny rok, napędzała łzy do moich oczu.

Ale przynajmniej mogłem zobaczyć ją żywą.



– Tato...

Poprzedniego wieczoru, gdy wróciliśmy do kwatery i zaczęliśmy się pakować, podeszła do mnie i przytuliła mocno. Po chwili się odsunęła i potarła dłońmi ramiona.

– Czuję się... jakoś dziwnie.

– To akurat nie jest dziwne – stwierdziłem.

– Ale musiałam to zrobić, prawda?

Złożyłem dłonie na jej ramionach.

– Oczywiście, że musiałaś! Uratowałaś mnie i Ryana. Byłaś niesamowita!

Stanęła przy oknie, wyjrzała przez nie.

– Myślisz, że złapią Darlene?

Poszukiwania trwały od dwudziestu czterech godzin, przetrząsano wszystkie okoliczne lasy. Helikopter nie pomógł. Psy nie odnalazły tropu w mokrej trawie. Zniknęła tak samo jak Everett dwadzieścia lat wcześniej. Z tą różnicą, że ona nie ukryła się w sekretnej chacie w lesie i nikt nie miał wepchnąć jej na wieczność do piwnicy.

– W końcu gdzieś wypłynie – powiedziałem. – Kiedyś.

– Może związała do Kanady? – zasugerowała Frankie.

– Współczujmy więc Kanadzie!



Ostatni raz rozejrzałem się po domku, sprawdzając, czy nic nie zostawiliśmy. Uścisnąłem dłonie Ryana i Davida. Connie objęła mnie po przyjacielsku, Frankie przytuliła jej syna o wiele dłużej.

Wsiadliśmy do auta.

Zatrzymałem się przed recepcją, żeby oddać klucze. Vivian pełniła tymczasowo funkcję kierowniczkę.

– Dzień dobry! – powiedziała, a na jej twarzy odmalował się wyraz jawnej ulgi.

Chciała, by wszystko znormalniało. Może wyegzorcyzmowanie starych duchów Płytkich Zdrojów miało w tym pomóc.

– Cześć.

Wręczając klucze, spojrzałem na kontener na ladzie.

– Zgodziłam się zaadoptować kota Nikki – wyjaśniła.

– Cujo? To super!

– Słodziak z niego.

Ruszyłem w stronę drzwi.

– Halo, panie Anderson! – zawołała, więc odwróciłem się na chwilę. – Niech pan nie zapomni wystawić nam recenzji w necie!

Tłumiłem śmiech, podchodząc do auta. Minął nas wóz Neala Fredericksa; mężczyzna pomachał nam na pożegnanie przez otwarte okno.

Spojrzałem na ośrodek. Był bez wątpienia przepiękny. A my nigdy tu nie wrócimy.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała Frankie, gdy zapinałem pas.

– No wiesz, zastanawiałem się, jak wytłumaczymy to wszystko twojej mamie...

EPILOG

Znali z Buddym sekretne leśne miejsca, kryjówki, o których nie wiedział nikt inny. Opuszczone gawry. Spróchniałe pnie. Chowala się w norach i między skałami na całe godziny, usiłując siłą woli spowolnić oddech i bicie serca. Umiała to robić. Kiedyś lekarz ze zdziwieniem stwierdził, że ma wyjątkowo niską temperaturę ciała i ledwie wyczuwalny puls. Była z tego w jakiś sposób dumna. Buddy był jej przeciwieństwem. Dopełniali się.

A teraz ta równowaga zniknęła.

Przez tamtą cholerną dziewczuchę!

Carl mówił o niej „Katniss” i strasznie ją to wkurzało, bo *Igrzyska śmierci* były jednym z jej ulubionych filmów. Oglądała to w kółko. Wyobrażała sobie, że bierze udział w takich rozgrywkach i eliminuje przeciwników. Łatwizna. Knucie i mordowanie, bułka z masłem.

Tamta Angielka nie była żadną Katniss!

Miała po prostu fart z tym łukiem, a dla Darlene to była cenna lekcja. Nawet najmarniejszy przeciwnik może wygrać dzięki łutowi szczęścia albo chwili słabości kogoś silniejszego.

Jej brat odczuł to na własnej skórze. Miał się za niezwycięzonego.

Darlene nie zamierzała popełniać jego błędów.

Wczoraj przez cały dzień trwały poszukiwania. Faceci z psami. Helikopter niebezpiecznie nisko nad głową. Niezbyt się jednak przykładali. W pewnej chwili dwóch przeszło tuż przed jej kryjówką. Dosłyszała, jak rozmawiają, że to wszystko to tylko strata czasu, że pewnie związa już do samego piekła.

Miała ochotę wyskoczyć jedynie po to, by udowodnić im, że są idiotami. Poderżnąć gardła, raz-dwa i po sprawie. Przecież nie spodziewali się tego. Wzięłaby ich z zaskoczenia. Zdecydowała jednak, że nie warto ryzykować.

Najważniejsze, że ona przeżyła. Trzeba było tylko przetrwać kolejny dzień.



Poranek.

To już drugi wschód słońca od chwili śmierci Buddy'ego i ucieczki. Nie spała, bo w jej głowie odtwarzały się jego ostatnie sekundy. Świst strzały, obrzydliwy, chrupiąco-młazszczący dźwięk, gdy grot przebijał mostek. Upadające ciało brata.

Cofała te obrazy jak w starym magnetowidzie. Buddy unosi się, strzała z chrzęstem wyrywa się z jego piersi i wraca na cięciwę.

Ale wtedy suka znowu ją wypuszcza. Raz za razem. Trzask pękającej kości, rozrywanego ciała. Buddy pada.

W tę i we w tę, raz za razem, przez całą noc.

Przed samym świtem scenariusz się zmienił. Darlene rzuciła się przed brata, odbiła lecącą strzałę przedramieniem, dopadła do dziewczyny i wbiła ostrze w jej gardło.

Marzenia.

A w rzeczywistości wypełzła z gawry w ostre światło poranka. Brudna, pokryta smugami cuchnącej sadzy i błota. Śmierdziała jak leśne stworzenie, prawdziwa lisica, a nie gówniara w masce. Oblizwała usta, poczuła muł. Burczało jej w brzuchu, chciało jej się pić. Possała kilka liści, w których zebrała się deszczówka. Może uda jej się zdobyć materiał na jakieś wnyki? Pochwycić buszującego w poszyciu kosa? Jak długo zdoła tu przetrwać?

Przypomniała się jej domowa lodówka wyładowana zapasami coli i innych napojów gazowanych. Szafki pełne żarcia. Jajka, które ojciec przyrządzał im na śniadanie. Sadzone, z keczupem. Takie lubiła najbardziej.

Poczuła żal, wspominając, jak zaskoczony zaczął kwiczeć, gdy wbiła nóż w jego ciało. Już nigdy nie zrobi jej śniadania.

Stąd do domu jest niedaleko. Nikt pewnie jeszcze nie opróżnił lodówki i szafek. No i jej dzieciaczki na górze, jej karaluszki! Pewnie tęsknią za mamusią! Ona za nimi tęskniła. Te małe nóżki czepiające się skóry dłoni. Ich syk brzmiał w jej uszach jak najsłodsza muzyka.

Głód, pragnienie i tęsknota skierowały jej kroki ku Penance.

Wyszła z lasu, przekroczyła ulicę, wdrapała się na jeden parkan, potem kolejny, i przekradła przez cudze ogródki. Zdawało się, że te wkurzające

dzieciaki z sąsiedniej chałupy, bawiące się przed domem, ją zobaczyły. Nie, za bardzo były zajęte jakąś swoją durną zabawą.

Wspięła się na palce, wyjrzała znad płotu swojego niedawnego domu.

Przed drzwiami stał gliniarz. Drugi na tyłach.

Kurwa!

Wyobrazila sobie siebie przeskakującą jak kocica przez płot, skradającą się jak ninja po trawniku, jedno cięcie, drugie cięcie. Chwył od tyłu i ostrzem po gardle. Bezgłośnie. Łatwizna.

Znowu zaburczało jej w brzuchu.

Puściła krawędź płotu. Odwróciła się.

Zobaczyła gówniarę z naprzeciwka.

– Cześć – powiedziała mała.

– No cześć – odparła Darlene, zerkając w stronę ich domu. – Gdzie twoja mama?

– Jeszcze śpi. – Dziewczynka wzdrygnęła się, widząc nóż w jej dłoni. – Zakopiesz mnie? Jak kota?

Darlene uśmiechnęła się przebiegle.

– Nie. Jeśli zrobisz wszystko, co ci każę.

Pięć minut później gnała z powrotem w las, obładowana butelką napoju, paczką chipsów i cukierkami. Prawie w biegu pakowała przekąski do ust, zapijając słodkim napojem. Krztusiła się z łakomstwa.

Musiała pomyśleć.

Nie umie łowić ryb ani polować. Tak się nie da żyć! Jak jakiś bezdomny lump. Przecież nie może się wiecznie ukrywać!

Wiedziała, co musi zrobić.



Przez kilka godzin przedzierała się przez lasy, aż do drogi wiodącej do autostrady. Zanim dotarła do cywilizacji, znowu chciało jej się pić, bo dzień był gorący. Mogła kazać gówniarze przynieść sobie jeszcze butelkę wody. Musi nauczyć się lepiej organizować. Planować i przewidywać. W tym, niestety, nigdy nie była dobra.

Kucnęła w cieniu na poboczu, skrobiąc się nożem w nogę, żeby nie zasnąć. Słońce prażyło. Wyobrażała sobie, że dźga delikatną skórę na gardle Angielki, słyszała gulgot wydobywającej się z ust krwawej piany. I jej stary, on też musi zginąć. Wydłubuje mu oko, potem drugie. Wycina język. Te urocze wizje pomagały jej utrzymać świadomość.

Gdy usłyszała nadjeżdżający samochód, zerwała się z miejsca. Wyskoczyła na środek szosy.

Stary, brązowy gruchot zarzucił kufrem, hamując. Nie zamierzała wybrzydzać.

Otworzyły się drzwiczki i wysiadł jakiś łysy grubas. Rozpoznała go. To ten pajac, który przemawiał w ośrodku kilka dni temu, podczas imprezy. Ten, co jęczał nad zabitą żoną.

– Co jest, w mordę? – Mrugał, usiłując przyjrzeć się jej pod słońce.

– Proszę pana! – Ruszyła w jego stronę. – Zgubiłam się i...

– To ty! – krzyknął. – To ciebie szukają!

Zaczął grzebać w kieszeni, pewnie usiłując wyciągnąć telefon, ale była szybsza. Dopadła go i wbiła ostrze w jego brzuch. Otworzył usta, jakby zdziwiony. Kolejny sztych w pierś. Upadł, ale wołała mieć pewność, więc poderżnęła mu gardło. Uskoczyła przed bryzgającą krwią.

Gdy skonał, chwyciła go pod ramiona i z wysiłkiem przeciągnęła na pobocze. Chwilę to zajęło, bo był jak pokryty mięsem wór piachu. Musiała użyć sposobu. Na wszystko znajdzie się sposób. Podnieś jego girę i przerzuć. Już leży na boku. Przeturlaj. I od nowa. Zanim przewaliła go w chaszczę, była zapocona i umierała z pragnienia.

W aucie leżała butelka wody. Dziewczyna usiadła za kółkiem i powstrzymała się od wypicia wszystkiego duszkiem. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Był i GPS. A nawet – hurra! – prowiant na drogę na tylnym siedzeniu. Zabrała mu też portfel z kartą i prawie stówką w gotówce.

Przez chwilę wspominała lekcje jazdy, których udzielił jej ojciec. Musi tylko trzymać się bocznych dróg. Zaraz nabierze wprawy. Wygrała. Dokona wszystkiego, co sobie umyśli!

Zapuściła silnik i ruszyła wolniutko. Po kilku minutach dostrzegła we wstecznym lusterku auto, więc skręciła w boczną dróżkę w obawie, że to policja albo znowu ktoś, kto ją rozpozna.

Patrzyła za siebie, gdy samochód mijał ją niespiesznie. Kierowca i pasażerka nawet nie patrzyli w jej stronę.

Ona jednak rozpoznała ich natychmiast.

Angielka i jej stary.

Odruchowo rozejrzała się za nożem. Chwyciła drążek zmiany biegów, wrzuciła wsteczny.

Zaraz ich dogoni, dociśnię gaz, zepchnie z drogi!

Stop.

Myśl.

Ważniejsze było, aby uciec jak najdalej i się ukryć w bezpiecznym miejscu. Zdobyć zapasy żywności i wody. Poszukać jakiegoś lubiącego lolitki frajera, który ją przygarnie i się nią zaopiekuje. Pełno takich na świecie.

Nie musiała się przecież spieszyć. Obejrzała sobie dokładnie zawartość telefonu dziewczyny. Wiedziała, gdzie mieszka, do której chodzi szkoły, kim są jej przyjaciele. Rozpozna jej domeczek i ogródeczek. Zagrodę dla jej króliczka. Wszystko przecież wie.

W lusterku wstecznym zobaczyła twarz brata. Siedział na tylnej kanapie, uśmiechał się. Był z niej dumny. Z tego, że okiełznała instynkt, potrafiła myśleć do przodu.

Wyjechała z bocznej drogi i ruszyła, zostawiając za sobą tę głuszę i Płytkie Zdroje, w stronę reszty swojego życia.

POSŁOWIE

Mam nadzieję, że dobrze się bawiliście podczas lektury *Głuszy*. Jeśli chcecie podzielić się ze mną wrażeniami, piszcie na adres mark@markedwardsauthor.com. Znajdziecie mnie również na FB (@markedwardsauthor), IG (co za niespodzianka – jako @markedwardsauthor) i Twitterze (@mredwards). Zostawcie też ślad na Amazonie i Goodreads!

Na stronie www.markedwardsauthor.com/free znajdziecie cztery opowiadania, które będziecie mogli przeczytać po dołączeniu do Readers Club.

Pisałem *Głuszę* w 2020 roku, w szczycie pandemii. Akcję osadziłem rok wcześniej, latem 2019, więc nie musiałem się martwić o oddawanie współczesnych realiów, dystans społeczny czy opisy odkażania rąk. Myślę sobie jednak, że maski miały w tej historii podwójne znaczenie, bo przecież stały się częścią naszego życia. Piszę to posłowie w grudniu 2020 roku, siedem miesięcy przed publikacją książki, i mam szczerą nadzieję, że do chwili, w której będziecie czytać te słowa, świat zmieni się na lepsze. Wiem, że dla wielu, dla mnie również, czytanie stanowi wielkie pocieszenie w tych trudnych czasach i nie mogę przestać myśleć o tym, że ta książka zaspokoi wasz wybujały czytelniczy głód. Muszę mieć to na uwadze, zasiadając do pisania kolejnej powieści.

Chciałbym podziękować kilku osobom:

Davidowi Downingowi, Jackowi Butlerowi, Gemmie Wain, Madeleine Milburn i wszystkim pracownikom agencji. Sarze Lotz za naprowadzenie mnie na pomysł miłośników nierozwiązanych zbrodni. Lisie Harrison, której umiejętności organizacyjne i ciężka praca pozwoliły mi skupić się na pisaniu. Kolegom po piórze, którzy pomogli mi z tytułem i dbali o to, bym przez ostatni rok nie zwariował. Bardzo za wami wszystkimi tęsknię! Dziękuję

Lucie Whitehouse, która wymyśliła nazwę dla miasteczka Penance (dosł. pokuta – przyp. tłum.). Matthew Farrell, dzięki za rady co do baseballa! No i oczywiście mojej rodzinie: Sarze, Poppy, Ellie, Archiemu i Harry’emu. No i Peggy, mojej kotce maine coon, która zawsze pilnuje mnie podczas pracy, choć momenty, w których czuje potrzebę przytulania i kładzie mi się na klawiaturze czy zajmuje moje krzesło, nie są zbyt pomocne...

Glen Troiano wygrał konkurs, w którym nagrodą było umieszczenie nazwiska w książce. Mam nadzieję, Glen, że widok twojego imienia i nazwiska da ci mnóstwo frajdy i satysfakcji!

W książce kilkakrotnie puściłem oczko w stronę wcześniejszych powieści: *The Magpies* (Sroczki), *The Lucky Ones* (Szczęściarze), *The Retreat* (Kryjówka) i *The House Guest* (Gość w dom)[1]. Wyłapaliście je wszystkie? Jeśli nie, napiszcie do mnie, a podpowiem, gdzie ich w tekście szukać!

Dziękuję Wam za przeczytanie *Głuszy*!

Mark Edwards

[1] Tytuły niewydanych w Polsce powieści przełożone dość swobodnie przez tłumaczkę.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](http://MAGRAF.s.c.), Bydgoszcz